

Nowy Zapis

NR 2-3

luty-kwiecień 1983

S P I S T R E Ś C I

I.	Czego już nie ma? Co zostało?	3
II.	Czwarta pieczęć	8
III.	Agitka	9
IV.	Wiersze	
	- x x x	27
	- Moja słodka ojczyzno	27
	- Oszczęczyłeś mnie	27
	- 22 III 82	27
	- x x x	28
	- Ładnej ofiery	28
	- x x x	28
	- Otworzy cię miecz	29
	- Kówwlięzy prostym językiem żywiołów	29
V.	Władimir Bukowski Ruch Pokoju a Związek Radziecki	30
VI.	Trzeba więc dalej rzykować	53
VII.	Guliwer nad Wiszę	59
VIII.	W obronie słowa: "nie"	
	1. U źródeł: teatr lat siedemdziesiątych	64
	2. Sierpień	66
	3. Bojkot	68
	4. Jokci bojkotu	69
	5. W świecie fikcji	71
	6. W obronie słowa: "nie"	72
IX.	Czy niewiele więcej	75
X.	O M i e s i ą c a c h Kazimierza Brandysa	80
XI.	Pióro i miecz	88
XII.	W r ó g l u d u: granice teatru politycznego na dziś?	90
XIII.	Zapada noc	95
XIV.	Kino niedozwolone	97
XV.	Bohdan Kosiński Na prostej	103
XVI.	Recenzje	
	- Stan wojenny: margines i autor	107
	- Zbawienia nie będzie	110
	- Świadectwo nieświadomości	114
	- Podręcznik powojennego dwunastolecia	117
XVII.	Rozmyślania nad gazetą	
	- Rocznica	122
	- Świnia na dwóch nogach	123
XVIII.	Kronika	126

Numer złożono w wydawnictwie w maju 1983 roku

DRUK: Wydawnictwo KRAJ, Warszawa 1983

CZEGO JUŻ NIE MA ? CO ZOSTAŁO ?

Cichną odgłosy bitew. "Nasi" opierają się jeszcze tu i ówdzie, czasem czasem jakaś "partia" wyskoczy z lasu i przetrzepie wroga, czasem ktoś pieśń zaintonuje w kościele lub kwiat położy na bruku. Ale wojna się skończyła. "Solidarność", jak armia powstańcza, poszła częścią do niewoli, częścią na emigrację, częścią w rozsypek, a częścią ukryła się w podziemiu, aby przygotować następną armię i następne powstanie. Z jej dobrych i złych doświadczeń, z jej organizacyjnych resztek na obczyźnie i w konspiracji, z nęki jej więźniów i jeńców, z kłopotów i dramatów, jakie przeżywają jej członkowie, którzy znaleźli się na powrót w oficjalnych strukturach PRL, rodzi się nowa "Solidarność", która po pierwszej dziedziczy nazwę i legendę, ale cele ma inne przed sobą i inne sposoby działania. Tamtej już nie ma i nigdy nie będzie.

Nie ma i już nigdy nie będzie masowego ruchu na rzecz wewnętrznej zmiany ustroju PRL, ruchu, który przed wszystkim przeciwnikiem, przed swymi sojusznikami i przed samym sobą ukrywałby swe cele, tak jak to robiła "Solidarność". Następnym razem te cele będą jawne. Następną polską wojną, jeżeli do niej dojdzie, będzie wojną o władzę. Będzie krwawa lub bezkrwawa. Wybuchnie dopiero wtedy, gdy powstaną pełne szanse jej wygrania, albo nie wybuchnie nigdy, jeżeli takich szans nie będzie, lub jeżeli aparat władzy PRL z jakichś nie znanych nam jeszcze powodów podda się, rozpadnie, czy też - jak mu się to już zdarzało - po prostu ucieknie.

Następnym razem walka nie będzie się toczyć o to, by radzieckiego satelitę znośnie w środku urządzić, lecz o to, aby Polskę oswoiło w ogóle z rolą satelity, a o jej wewnętrzny ustroj decydować w warunkach zagwarantowanej prawem międzynarodowym suwerenności. O te cele będzie się toczyć następną polską wojną, ponieważ wszystkie inne, cząstkowe, okazały się nierealne. Przekonaliśmy się raz jeszcze, że ZSRR nie zgodzi się nigdy na to, aby w Polsce, czy gdziekolwiek w jego obozie, z urny wyborczej wyłonili się rząd nie przewidywany i nie sprawdzony przez kramlowskie biuro, choćby potem na kolanach zapewniali, że nie zamierza występować z Paktem Warszawskiego czy z RWP, ani uczynić ze swego kraju bazy wypadowej przeciw Krajowi Rad. Więc zgoda ZSRR na demokratyczne reformy jest nierealna, niemożliwa. Natomiast realne, możliwe, a nawet pewne jest to, że ZSRR straci kiedyś kontrolę nad Europą wschodnią. I nie musi się to stać na skutek jakichś olbrzymich kataklizmów. Możliwe, a nawet pewne jest także zużycie polityczne ZSRR jako imperium, że nie potrafi wykonać dość mocnego kierownictwa, że zostanie osłabiony przez walki wewnętrzne, że brak instytucji zapewniających mu sukcesy władzy okaże się fatalnym, które wisiało nad nim od początku, i kres mu położy... Przypomnijmy, że formowanie centralnej władzy po śmierci Lenina trwało kilkanaście lat i kosztowało kraj miliony trupów; że dopiero w 10 lat po śmierci Stalina Breżniew, odsunąwszy nieobliczalnego Chruszczowa, zdołał władzy radzieckiej zapewnić stabilność na następnych lat osiemnaście. Więc stan oczekiwania, w jakim staszygę teraz wszystkie "demokracje ludowe", z których każda odgania od progu własne widmo kryzysu, i w jakim staszygę sam ZSRR, ten stan wyczekiwania nie polega na urojeniu, lecz na doświadczeniu i na ocenie obecnej, zdumiewająco biernej polityki tego państwa. I nie jest urojeniem wiara w to, że któryś kolejny kryzys władzy doprowadzi do dezintegracji imperium, i że stanie się ono czymś innym niż jest dzisiaj. To nie jest urojenie, bo ten proces już się zaczął. Już jedna część imperium zmienia swój charakter i nie pasuje do jakości. Tą częścią jest właśnie PRL.

Nie ma już tej PRL, przeciw której "Solidarność" wystąpiła ze swoim zakamuflowanym powstaniem. Wszystkie jej instytucje, hasła i emblematy tkwią wprawdzie na swoim miejscu, ale nic nie znaczą i nie funkcjonują zgodnie ze swym przeznaczeniem. Ontologicznym celem ustroju PRL jest eliminacja alternatyw; na to został stworzony komunistyczny aparat władzy z własnym systemem

szkolenia kadr, aby w tym kraju nie był zdolny do rządzenia nikt poza ludźmi wykształconymi w partyjnych szkołach i objętymi partyjną nomenklaturą. W ciągu ostatniego roku ta zasada została dwukrotnie złamana: po raz pierwszy przez "Solidarność", po raz drugi przez wojsko. Wobec kryzysu gospodarczego i strajku generalnego aparat partyjny przestał funkcjonować i już się z tej swojej klęski poniesionej latem 1980 roku nie podniósł. Do ciosów, jakie zadały mu komitety strajkowe przekształcone potem w "Solidarność", dołączyły się te, które mu zadały wojskowe grupy operacyjne przekształcone potem w WKON. Aparat okazał się nieefektywny, niekompetentny, skorumpowany i tchórzliwy, a instytucje, emblematy i hasła ideowe PRL, których zadaniem była osłona monopolu władzy, pozostały na pustej scenie, jak dekoracje po zagranym spektaklu. PRL jest dziś krajem rządzonym doraźnie przez wojsko, policję i biurokrację administracyjno-techniczną. Została zerwana ciągłość kształcenia i selekcji kadr kierowniczych. Aparat władzy jest tymczasowy i niezdolny do wyłonienia stabilnego kierownictwa. PRL utraciła zdolność realizowania swego celu ontologicznego; nie dopuściła do alternatywy, ale zrodziła karykaturę. Politycznie umarła. Do szczątkowych funkcji życiowych pobudzają ją jeszcze te siły, które ją zabiły: dyktatura wojskowa oraz głucha, ślepa, nieubłagana nienawiść narodu.

PRL, którą znaleźliśmy, była państwem pozorów i nadziei. Pozory były dla świata zachodniego, przed którym Stalin zobowiązał się utrzymać polską suwerenność i formę rządów odpowiadających polskim tradycjom, zapewnić narodowi rozwój kulturalny i swobodę praktyk religijnych. Nam pozostały nadzieje, że z czasem te pozory zbliżą się do rzeczywistości, tzn. że wybory będą uczciwsze, sejm prawdziwszy, sedy bardziej niezależne, środki informacji bardziej niezależne, twórczość mniej kontrolowana, zakres prywatnej i społecznej inicjatywy gospodarczej szerszy, pieniądź bliższy wartości, a z czasem może wymierny, i że stosunki z ZSRR ułożą się może kiedyś na nowych zasadach, a monopol polityczny partii ograniczony lub zniesiony. Liczyliśmy na upływ czasu, na zmiany pokoleń i świadomości, na postęp techniczny, na rozwój międzynarodowej współpracy, na chińskie zagrożenie, na inicjatywę amerykańskie albo francuskie, na eurokomunizm, na finlandyzację Europy razem z nami, na zjednoczenie Niemiec, na ograniczenie zbrojeń, na strefę bezzatomową w środkowej Europie, na Helsinki, na Genewę, na szalenstwa Chruszczowa, na upór Gomułki, na spryt Gierka, na potęgę Papieża, na moce nadprzyrodzone. Teraz nie liczymy już na nic, bo już wiemy, że PRL nie musi funkcjonować na to, aby istnieć. PRL nie jest na to, aby być dobrym państwem, lecz na to, aby nie było tutaj żadnego innego państwa. Wszyscy wyłożyli karty na stół: ZSRR okazał, że lepszy dla niego jest trup PRR niż państwo politycznych niespodzianek, aparat rządzący Polską okazał, że zamierza utrzymać się u władzy niezależnie od rezultatów i od zdania opinii, a ludność okazała, że od tej władzy nie chce już ani zmiany ekipy, ani reformy gospodarczej, ani swobód narodowych i religijnych, ani zupy rezeracyjnej, ani rogatyki na żołnierskiej głowie, ani mszy nawet w telewizji. Nie chce już niczego, tylko żeby wszystko, co nosi na sobie sowiecki stempel, poszło sobie do wszystkich czerwonych diabłów.

Bo ludność już wie na pewno, że żadna reforma, jakiej udzieli jej wojskowi czy jakaś inna zaaprobowana przez Moskwę władza, nie dotknie dwóch rzeczy najistotniejszych: niepodległości i nomenklatury. I że na tych dwóch kłódkach zrzuconych w poprzek drogi naszego rozwoju historycznego przewróci się każda reforma.

Nie ma więc ani PRL, ani "Solidarności".

Na miejsce dawnej PRL powstała PRL II, która jest czysto administracyjnym reżimem bez perspektyw, a na miejscu dawnej "Solidarności", tj. masowego ruchu na rzecz polityczno-prawnej poprawy, powstała "Solidarność II", tj. półtajny, pół-emigracyjny, elitarny ruch na rzecz zupełnej zmiany politycznego i gospodarczego ustroju państwa polskiego. PRL II żyje dzięki odruchom obronnym. "Solidarność II" żyje i żywi się wciąż jeszcze wspomnieniami swej półtorarocznej, chwalebnej historii, żądzą odwetu, powszechną nienawiścią do

reżimu, zagranicznym poparciem oraz trwającym nadal kryzysem w kraju. Bodźce podtrzymujące przy życiu PRL II i "Solidarność II" są podobnej, negatywnej natury. Przed pierwszą przyszłości żadnej nie widzę, bo wszystkie pozytywne czynniki współczesnej rzeczywistości polskiej pracują przeciw niej. Te same czynniki zasilają zamiast "Solidarność" i sprawiają, że ten ruch żyć musi i że gdyby nawet ten, który znamy, zaraz zamarł, odrodzi się nowy, w nie przewidzianych formach i treściach.

Pierwszy jest czynnik ekonomiczny, tj. ciążenie na gospodarkę polską długów zagranicznych. Te długi postawią każdy rząd polski przed drastycznymi opcjami i nie pozwolą owej PRL II zatęgnąć w "normalizacji", czyli w neostalinizmie czechosłowackiego typu. Jeżeli rząd zdecyduje się płacić długi kosztem wyrzeczeń społecznych, zdając się na pomoc kredytową i surowcową RWPG, przedłużą kryzys w nieskończoność, doprowadzi kraj do zacołania budżetowego litości i trwogę, będzie miał do czynienia ze stałymi wybuchami niezadowolona, na które będzie musiał odpowiadać represjami, ekipy będą padać jedna za drugą, kto rozsądny i sprytny będzie stronił od polityki, więc coraz gorsi ludzie będą brać się do rządzenia i zarządzania, kto będzie mógł, pójdzie na emeryturę i Polska stanie się ropiejącą raną Europy. Podobnie będzie, jeżeli rząd zdecyduje się tych długów nie płacić, ogłosi bankructwo, zerwie wszelkie więzy kredytowe i kooperacyjne z całym "drugim obszarem płatniczym", ograniczając wymianę handlową do RWPG i trzeciego świata.

Jedyną pozytywną rozwiązanie to dokończenie i rozwój podjętych inwestycji i spłata kredytów ze zwiększonej produkcji eksportowej do "drugiego obszaru płatniczego". Ale na to trzeba wziąć nowe kredyty i uruchomić bodźce społeczne. A na to, żeby wziąć nowe kredyty i uruchomić bodźce społeczne, trzeba przeprowadzić rzeczywistą reformę zarządzania i kooperacji i zmienić stosunki polityczne w kraju.

Żadne z tych posunięć nie zmierza do odtworzenia PRL w jej pierwotnym kształcie; przeciwnie, każde z nich mobilizuje do akcji społeczeństwo, które albo musi bronić siebie i kraju przed pauperyzacją, albo podejmować próby odzyskania inicjatywy. Te zagraniczne długi zaciągnięte w prawdziwych pieniądzach, stanowią stały czynnik prawdy ekonomicznej i politycznej fikcji PRL.

Drugi czynnik prawdy, czynnik pozytywny, jest demograficzny, tj. pokolenie, które w razie zahamowania rozwoju gospodarczego nie ma żadnych szans, a w razie jego przyspieszenia ma szanse olbrzymie, wyjątkowe w naszej historii i na tle współczesnej, przeinwestowanej, ekonomicznie przegranej Europy. Jeżeli administracja PRL wybierze drogę wegetacji pod opieką ZSRR, miliony ludzi w Polsce znajdują się bez zatrudnienia lub otrzymują zatrudnienie fikcyjne, bez mieszkań, bez opieki zdrowotnej, bez rozrywki, a w następnym pokoleniu już bez wykształcenia. Poziom Polski zostanie zrównany z rządzonymi republikami, czyli dokładnie, choć z opóźnieniem półwiekowym spełni się ponura wizja naszych ojców, którzy to właśnie przewidywali z nadejściem Armii Czerwonej. Zagrożone tą klęską pokolenie Polaków jest w pełni świadome tego, co je czeka, co traci, tego co mu się należy i tego co mieć może, jeżeli wzmacni presję. Nie można go straszyć, jak straszono pokolenia poprzednie, widmem kryzysu kapitalistycznego, bo przeżywa własny, ani widmem głodu dawnego, bo mu grozi nowy, ani bezrobociem z czasów sanacji, skoro stanęło przed jego zagrożeniem, ani wspomnieniem slumsów i czworków, bo samo nie ma gdzie mieszkać. Nie można go tak obezwładnić, jak obezwładniono pokolenie poprzednie, porównaniem dzisiejszego standardu z przedwojennym, bo przywykło swoje aspiracje mierzyć standartami powojennego rozwoju Europy zachodniej i południowej. Dynamika demograficzna Polski lat powojennych była taka, że to właśnie pokolenie stanowi czynnik decydujący o obrazie życia w naszym kraju; ono stworzyło "Solidarność", ono poniosło klęskę wraz z "Solidarnością" i płacić będzie kosztą każdej operacji rządowej. Ono właśnie jest najmniej podatne na rządową argumentację i propagandę.

Jeżeli zaś rząd, zapewniwszy sobie drogą ugody społecznej poparcie, wybierze politykę uzdrowienia gospodarki przez jej uintensywnienie, czyli przez wykorzystanie stworzonych mocy, a nawet długów, jako siły napędowej, to właśnie pokolenie będzie świadkiem i beneficjentem podobnego skoku gospodarczego, jaki zachodnia Europa przeżyła po 1954 roku. Gospodarka polska podobna jest teraz do ogromnego basenu, do którego woda dopłynąć nie może, na skutek braku odpowiednich kanałów i śluz. Czekają nie dokończzone lub zaplanowane inwestycje na to, aby je uruchomić i wykorzystać; czeka nie doinwestowane, ale bardzo silne rolnictwo, aby je wzmocnić chemią i tanią maszyną; czeka zniszczona infrastruktura na gruntową naprawę i odbudowę; czeka ogromna masa świetnie przygotowanych do zawodu robotników, inżynierów, agronomów i rolników. Czekają wygłodzony do ostateczności rynek i masa pieniędzy na skupiona w prywatnych i społecznych rękach. Czekają z drugiej strony kapitał, który wobec zagrożenia inflacją potrzebuje nowych inwestycji i międzynarodowe firmy szukające nowych terenów ekspansji. Czekają przede wszystkim bardzo silny polski kapitał w USA /ostatnie obliczenia wykazały, że Polacy jako grupa etniczna znaleźli się w USA na trzecim miejscu co do bogactwa - po Żydach i Japończykach, a przed Włochami, Niemcami i Anglo-saksonami!/, kapitał równie skory do inwestowania w starym kraju, jak skorzy byli do tego amerykańscy Włosi, którzy zbudowali nowoczesne Włochy. Czekają wreszcie banki, aby odebrać swoje pieniądze i gotowe są na ten cel poświęcić jeszcze więcej pieniędzy, jeśli tylko na miejscu zmurowanej PRL pojawi się jakaś nowa, młoda, dynamiczna alternatywa.

O tym wie młode pokolenie Poleków, które powołało do życia "Solidarność". To jego oczekiwania wyrażała "Solidarność". Nie ma "Solidarności", ale oczekiwania pozostały i nadal są realne, realniejsze mimo wszystko od absurdalnej myśli, że karykaturalna PRL II, państwo WRON-u i PRON-u, wojska, milicji i zgorzkniałych urzędników będzie trwało na wieki.

A do tego dochodzi jeszcze czynnik trzeci - ideologiczny. Jakkolwiek zmieniły się w ciągu ostatnich dwóch wieków poglądy na państwo, naród, klasę, na ich wzajemne odniesienia, na wartość i wolność jednostki, we chrześcijańskich wariantach myśli rewolucyjnej i reformistycznej, czy była ona przesłaniającej, czy marksistowskiej, czy innej inspiracji, jeden powtarzał się wspólny pewnik: że dobro zbiorowe jest wyższe ponad dobro poszczególnego człowieka, i że nie ma ani szczęścia, ani wolności, ani godności poza szczęściem, wolnością i godnością zbiorową - wszystko jedno jak tę zbiorowość nazwać: ludzkością, narodem, klasą czy państwem lub ojczyzną. Jest to dogmaty rodem z Oświecenia, skąd wywodzą się wszystkie doktryny społeczne XIX i XX wieku; wtedy historię człowieka porównano do naturalnej, wtedy ją uznano za proces rozwojowy większych lub mniejszych organizmów, wtedy społeczny organizm porównano z organizmem człowieka i z porównania tego wyszło, że społeczny jako większy jest zorganizowany wyżej, przeto decydujący o poszczególnym. "Na świecie dominujący prąd niesie za sobą wszystkie partykularne zdarzenia" - pisał Monteskiusz.

A może analogia między światem człowieka a jego otoczeniem naturalnym jest fałszywa i rację mieli antropologowie średniowieczni przyznając człowiekowi wśród natury miejsce wyjątkowe i jej prawom tylko w oświeleniu podporządkowane? Bo człowiek wnosi do natury jakość zupełnie nową i do niczego niepodobną, a jakość ta, rozpoznawalna właśnie w człowieku poszczególnym, zaciera się w organizacji społecznej, która stanowi jego ustępstwo na rzecz natury, jest zejściem na jej poziom... Więc organizacja społeczna jest właśnie w hierarchii organizmów stanem niższym i wtórnym, stanem, w którym człowiek pozbawia się tego, co go spośród natury wyróżnia, aby się do niej upodobnić i przeciw niej umocnić. To nie ona zatem, nie organizacja społeczna, nie zbiorowość warunkuje jego wartość, wolność, godność, lecz całkiem na odwrót. Nie ja będę taki, jaka będzie ludzkość czy Polska, lecz ludzkość i Polska będą takie jakli jestem, jakli jesteś ty. Zbiorowe szczęście nie powstaje z mojej i twojej ofiary, z mojego i twojego wyrzeczenia, lecz na odwrót: twoje i moje szczęście, twoja i moja wolność, twoja i moja godność są

celem i sprawdzianem społecznych walk i prac. Osoba ludzka to nie fragment zbiorowości, lecz jej najwyższa synteza, która ze społecznej ewolucji wyłania się jako jej najwyższe osiągnięcie - jedyny, rzeczywisty miernik postępu, jedyny rzetelny sprawdzian społecznej teorii i praktyki.

Jeśli tak pomyśleć i o tej myśli począć tworzenie społeczno-państwowej budowy, z tą myślą układać program oporu i walki, strategię i taktykę związków pracowniczych i partii politycznych, wszystko wygląda inaczej: hierarchia celów, styl politycznego działania i kultury, filozofia społeczna.

Powie ktoś, że to myśl nienowa. Nienowa - głosili ją niektórzy romantycy, głosili ją katolicycy personaliści - ale inną ma dzisiaj akustykę i inne argumenty. To całkiem co innego, gdy ją głosi grupa intelektualistów, a co innego, gdy ją przed całym światem wyznaje rosyjski pisarz, mający za sobą pełnię doświadczeń rewolucji i wojny, oraz przybyły z Europy wschodniej papierek wyrosły w kraju nieprzeliczonej ofiar, składanych dla zbiorowego dobra, na "ożtarzu ojczyzny". Bo tę myśl, a raczej nowy styl myślenia wnieśli w naszą epokę - epokę gasnących doktryn - dwaj ludzie podobnego doświadczenia, choć różnej formacji duchowej: Aleksander Sołżenicyn i Jan Paweł II. Na nich kończy się wiek ideologii. Kończy się na tej myśli, że historia jest to chemia, w której tajemniczych reakcjach zawiązuje się osoba człowieka z prawem do nieograniczonego rozwoju w czasie, który jej przypadł. W średniowiecznych wizjach Narodzenia cały świat przeszły, współczesny i przyszły chylił się w pokłonie przed nagim niemowlęciem, którego przeznaczeniem jest wypełnienie wszystkich oczekiwań ludzkości. Ono jest celem historii i wartość jego jest nie skończona.

Czego już nie ma? Co zostało?

Nie ma PRL. Jest zamiast niej jakiś nowy twór, nie wykazujący ani cech stałości, ani możliwości rozwoju.

Nie ma "Solidarności". Zamiast niej jest wola oporu i zmiany ustroju, z którego i przeciw któremu się narodziła.

Jest poza tym nowa sytuacja społeczna, która nie dopuszcza żadnych fikcji i pozorów.

Jest nowa sytuacja ekonomiczna, która wymaga rzeczywistych rozwiązań.

Jest nowa sytuacja duchowa: z narodowo-klasowych mitów XIX i XX wieku wyłonił się odwieczny bohater dziejów: człowiek i upomniał się o najwyższe miejsce w hierarchii przyrodzonych bytów.

Z tym zbliżamy się do końca XX wieku.

13 listopada 1982

C Z W A R T A P I E C Z Ą C

Koń maści trupioszarej, mówi nowy przekład
Albo koń błąd, według księdza Wujka.

Jeździec siedzący na nim nazywa się Śmierć.
Nad ówwartą częścią ziemi jest mu dana władza.

Jego są wszystkie rzeki płynące na północ.
Jego są lagry w śniegu i psy milicyjne.

Jego są wszy w więzieniu na Zamarastynowie.
Jego są wszystkie skargi pod podartym kocem.

Jego są ciała skostniałe w bydłych wagonach,
Pięści walące w drzwi o czwartej nad ranem.

Jego są wszystkie siekiery pracujące w tajdze,
Usta i oczy, które zasypywał śnieg.

Jego są reflektory na strażniczych wieżach,
Wszystkie prycze w barakach i wszystkie sienniki.

Jego jest czterech aniołów w czterech stronach świata
I siedzący pod sosną żołnierz w płaszczpalatce.

Koń maści trupioszarej, mówi nowy przekład,
Cała kraina zmarłych za jego plecami.

I zabijał nas mieczem, głosem i zarazą
I przez dzikie zwierzęta, które są na ziemi.

A G I T K A / 1 /

Sala jest okragła, z czerwonymi, pluszowymi fotelami; amfiteatr. Jaskrawe światło. Dopiero co po ciemnym wyjeździe na ciemny, nocny dworzec, wskazówki zegara pokazywały trzecią; albo samolot lądował na lotnisku, chłód, wiatr, w Belfascie podłożono bombę zegarową pod cysternę z benzyną, a w Boliwii partyzant Felix Guardia został trafiony w brzuch, zachwiał się, zatrzepotał rękami i runął w błoto; tu jest czerwień, światło, długi stół przydzielny, a nad nim w trzech językach, na czerwonym płótnie: PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!, "Le Soir" już zdążył zamieścić pierwszy artykuł z serii "Goszyści wszystkich krajów łączcie się", "La Nation" napisała o "Komunii marksistowsko-leninowskiej" i tak dalej, przy stole przydzielny kłębi się tłum, to Francuzi, Włosi, może ktoś jeszcze, ale przede wszystkim Francuzi i Włosi, śpiewają, jeszcze nie pozajmowano miejsc, na salę wchodzi David Sinclair w czerwonym swetrze, z wąsami, z rękami w kieszeniach i z papierosem w ustach, patrzy w dół, tamci śpiewają - pour réchauffer la salle?

"... alla riscossa
bandiera rossa! bandiera rossa!"

Ci, którzy przeciskali się w puste rzędy, szukając miejsc, podejmują ten śpiew: nie wszyscy, ale jednak. Prawie wszyscy. Ktoś podnosi wysoko zaciśniętą pięść: Szwedzi i Finowie nie rozumieją tego gestu, ale inni go rozumieją, nawet Anglicy, Niemcy oczywiście także, rudy Dieter tłumaczy tłumemu Szwedowi, że to tradycyjne pozdrowienie antyfaszystowskie, wszyscy śpiewają teraz od początku "Aventi, popolo!", Skandynawowie znów milczą, za to rudy Dieter wyśpiewuje na cały głos, Niemcy widzą to znają, lewe poręcze foteli zawierają oprócz słuchawek i urzędzenia do odbioru jednego z języków Kongresu, francuskiego, niemieckiego, angielskiego, hiszpańskiego lub włoskiego, jeszcze popielniczki, więc się pali, ruch, hałas, Martha Doherty zbiegła na dół, do śpiewających, nosi krótką niebieską sukienkę i wysokie buty, rude włosy spadają jej na ramiona, na brzydką, piegowaną twarz, za dużo w niej wyrazu, żeby była ładna, i jeszcze szpary między wiewiórczymi zębami, gdyby była Amerykanką, od dziecka męczono by ją prostującym aparatem, ale nie jest. Część trockistów bojkotuje, część nie. Najważniejsze, że są Hiszpanie! Dla Marthy Doherty najważniejsze. Zresztą tylko jeden przyjechał z Hiszpanii, w końcu państwo faszystowskie, pojeżdżali się głównie z Francji, ale wszyscy przecież walczą o wolną Hiszpanię - nie wszyscy o czerwoną, to cały problem - no i jest Estravados! Jest Estravados! Estravados, legenda rewolucji! Tak, jest: w grupie stojącej przy stole przydzielny zrywa ją się okrzyki, piosenka nagle pękła na pół, kogoś podrzucają do góry i cała sala podejmuje: E - STRA - VA - DOS! A potem już nierówno, bez skandowania, z lewej i prawej strony sali: "Pablo! Pablito!"

Martha Doherty stoi o dwa kroki od niego: szczupły, z czarną, krótką brodą, z twarzą Chrystusa, wszyscy, którzy go uwielbiają, mówią, że ma twarz Chrystusa, chcą, żeby coś powiedział, ale on nie chce, unosi tylko rękę w pozdrowieniu, uśmiecha się, jakie ma białe zęby!

I nagle wszystko idzie bardzo szybko: zajmowanie miejsc; i Estravados, i Martha znaleźli się naprzeciw sali, za tym długim stołem: walcząca Amerykańka łacińska! walcząca Irlandia!, ktoś woła: "Niech żyje wolna Irlandia!",

/ 1 / Z obszernej powieści wyjmujemy cztery fragmenty, które wprowadzając Czytelnika w klimat dzieła dadzą się też czytać jako swego rodzaju zamknięte całości. Wybrane przez nas fragmenty nie wiążą się ze sobą w sposób bezpośredni. Nie zachowujemy oryginalnego podziału powieści ci na rozdziały. / Red. /

i wszyscy wstają; nie, parę osób nie wstało: Niemcy? Z jakiego ugrupowania? "Bydłota!" - woła trockiści Raymond Krivitzky, ale w końcu każdy ma prawo do swych przekonań, w ten sposób nigdy nie osiągniemy jedności, żadnej jedności; nie, nigdy nie będzie jedności! I zaraz przejście do Międzynarodówki; teraz i Niemcy - z którego ugrupowania? - wstają, wszyscy wznoszą wysoko pięści, śpiewają, każdy w swoim języku; ile są wari? Ale cokolwiek są wari, Estravados wystarczy za nich wszystkich, jakiegokolwiek są ich winy, Estravados je odkupi: jak on wygląda, śpiewając! Co za twarz! Skąd tu naprawdę przyjechał? Z Hawany? Czy może z Boliwii? Może z Hiszpanii! Jedno wiadomo: nikt tak jak on nie ofiarował całego życia, całego życia... Gdzie teraz walczy? W Boliwii, Argentynie, Hiszpanii? Czy rzeczywiście był w Chinach? A w Indonezji? Czy naprawdę reorganizuje indonezyjskich komunistów, ich reztki? Ile legend wokół jednego czkowieka! Ale choćby legend było tyśiące, on je wszystkie uniesie, i nie ma na świecie słowa, które by go prze-rzoło: Estravados, legenda rewolucji, Chrystus rewolucji!

Jak u Błoka - myśli Raymond Krivitzky - w wienku z białych róż, to śmie-szne, skąd ta legenda? Dlatego, że naprawdę walczy, nie tylko mówi, nie tylko pisze, ale przede wszystkim walczy, z bronią w ręku, czy o to chodzi? Martha Doherty też była na barykadach, kiedy strzelające weekendy zaczęły przechodzić w wojnę domową, przemawiała na meetingach pod kulami, dosłownie pod kulami, nawet rzuciła kamieniem w brytyjskiego żołnierza, za co też i posiedziała sobie w więzieniu... czy o to chodzi? O bezpośredni udział? Nadmiar wymagań! Romantyzm. My tworzymy teorię.

Ale ledwo po raz ostatni wszystkie te głosy pod bagnietami umieszczonych rąk, wszystkie te połączone głosy odpiewały "Bój to jest nasz ostatni", Raymond Krivitzky wykonuje nieznamy ruch: trockiści wstają z miejsc, znów otwierają szeroko usta, słowa jak wystrzały, jeden po drugim, twardo, głośno, tnąc salę na pół, od wklęsłego sufitu jaskrawego od światła po czerwoną miękkość podłogi, wystrzał po wystrzale: MARKS! - ENGELS! - LENIN! - TROCKI! - ROSA! - MARKS! - ENGELS! - LENIN! - TROCKI!... jednocześnie zrywają się inni, inne pięści idą w górę, wystrzał po wystrzale: MARKS! - ENGELS! - LENIN! - STALIN! - MAO! - MARKS! - ENGELS! - LENIN! - STALIN!..., aż nagle z dna tego krzyku, tej bitwy, zaczyna narastać uspokajające, łagodzące, łą-czące: E-STRA-VA-DOS! E-STRA-VA-DOS!, i stopniowo to jedno nazwisko obejmuje salę, co za bzdura, myśli Raymond Krivitzky, to przecież nie teoretyk, to praktyk, ale nazwisko praktyka przeszło już w co innego: RE-WO-LU-CJA! RE-WO-LU-CJA!, co do tego wszyscy są zgodni, potem trockiści zaczynają coś krzyczeć o czerwonej Europie, tu już nie ma walki, wszyscy są za czerwoną Europą, ale David Sinclair, złożywszy dżonie w trąbkę, ryczy całą siłą płuc: CZERWONA AMERYKA!, prawda, nie można zapominać o Ameryce, więc Czerwona Ameryka, ale trockiści skandują już o Socjalistycznych Stanach Zjednoczo-nych Europy, tu jedni są za, a drudzy przeciw, zamieszanie, DOWN WITH STA-LINISM! - woła ktoś, kto chyba nie jest trockiści: ktoś z Mao Spontex? Nie wiadomo; w każdym razie Raymond Krivitzky odpowiada natychmiast: DOWN WITH MAO SPONTEX! - trockiści są przeciw stalinizmowi, tak, ale dla nich stali-nizm to nacjonalizm, a dla innych internacjonalizm, każdy ma takiego Stali-na, na jakiego zasłużył. Nie taki Stalin straszny, jak go malują, odpowiada natychmiast ktoś z Czerwonej Linii: ale w końcu mamy kongres zjednoczeniowy, do diabła! VIVE L'INTERNATIONALE! - woła ktoś z Ligi Komunistycznej, czyż-by z Ligi Komunistycznej? Nie, to chyba Włoch z Manifesto; ale skąd, Włoch, owszem, ale jeden z tych, którzy redagują "Bolszewika", z L'Organizzazione Comunista Bolscevica Italiana Marxista-Leninista, o, już mu ktoś odpowie-dział: A NARODOWA DROGA DO SOCJALIZMU? Przeciw Międzynarodówce, w imię narodowej drogi... no, tu odpowiedź jest łatwa! A NARODOWY SOCJALIZM? - woła Raymond Krivitzky. - MAMY TU NARODOWYCH SOCJALISTÓW! I zaraz pięści w górę: PASZYŃ NIE PRZEJ-DZIE! PA-SZYŃ NIE PRZEJ-DZIE! Patrzcie go, Togliatti w miniaturze! Ale w końcu mamy kongres zjednoczeniowy, do diabła, nie czytano jeszcze messages, a apel o solidarności z uwziętymi towarzyszami, z czerwonymi więźniami świata? To miało być na początku, zaraz po

Międzynarodówce; VIVE L'INTERNATIONALE! - woła teraz ktoś z Lewicy Proletariackiej, i nikt już nie wyskakuje z Narodową Drogą ani z Narodową Specyfiką - VIVE L'INTERNATIONALE! VIVE L'UNITÉ! LONG LIFE REVOLUTION! AVANTI; POPOLO! BANDIERA ROSSA! Wreszcie sala cichnie.

Jak gdyby wybuch rozsadził wszystko od środka, mit rozprysnął się bezładnie, rozpadła się nierzeczywistość; a co zamiast niej? Irlandia Joyce'a i tak dalej, długie wąskie ręce z kości szoniewej, wieża z kości szoniewej. Najświętsza Panna na wielkich ciemnych obrazach, w tęczy witraży, i przemyki świec, złote i srebrne serduszka, wota, ołtarz świętego Patryka, Dzień Świętego Patryka, u szczytu Kościoła, ponad ołtarzem, małe, ciemne okienko otwarte na wieczność, krynico źródłana, fale morskie przy brzegu, kręta, biała droga w nieskończoność - a rzeczywistość? "Londyn, 13 marca" - pisał Karol Marks w 1855 roku. - "Irlandia zemściła się na Anglii: pod względem społecznym, ponieważ każde większe angielskie miasto fabryczne, portowe czy handlowe uszczęśliwiła dzielnicą irlandzka, a pod względem politycznym, ponieważ..." Książki! A jednocześnie - weekendy wystrzałów, weekendy trupów. Pierwsza barykada w Belfaście. Pierwszy podpalony dom w Belfaście. Rok po roku. Narastanie. Płonienie! Wybuchające cysterny z benzyną. Barykady. Kamienie, wyrwane z bruku. Wystrzały. Już nie w sobotę, już w niedzielę: codziennie. Dziecko, zabite przez policję, i manifestacja, Martha Doherty po raz pierwszy na trybunie. Ale przedtem nierzeczywistość musiała się rozprysnąć. Wszystko, co niekważne. Wszystko, co drugorzędne.

"Irlandia jest sceną walki klasowej, nie - wojny religijnej!" - mówi Kartha Doherty pierwszy, drugi, piąty raz, ręce splecione z tyłu, rude włosy wokół pigowatej twarzy. - "Najeżdźcy byli protestantami, podbici i okupowani katolikami: takie są fakty! Kłamstwo burżuazyjnej prasy, kłamstwo, w które nikt z was nie wierzy, usiłuje sprowadzić to, co się dzieje w Irlandii Północnej, do poziomu wojny religijnej, średniowiecznego przeżytku, drugiej wojny o włos z brody Mahometa! Nikt prócz reakcjonistów i głupców nie wierzy w to kłamstwo. Prawda jest taka: W Irlandii Północnej toczy się walka, która ma - następstwo historyczne! - aspekt narodowy, która ma aspekt religijny, to wszystko jest prawdą; ale która, przy tej swojej specyfice, przy tych swoich obciążeniach, jest walką klas. Chcemy Irlandii wolnej, zjednoczonej, socjalistycznej! Long live the socialist Ireland!"

Więzienie, zakonnice przebierające palcami jej włosy w poszukiwaniu wzy. Przez cały czas drżenie z niecierpliwości, gorączka niecierpliwości, bezsenność niecierpliwości: to wszystko, co się dzieje tam, poza murami, a od czego ona jest odcięta! Rzeczywistość! A jednocześnie, po raz pierwszy od dawna, cisza, spokój. Skupić się, zastanowić, myśleć. Teoria! Co z teorią? Przemysłać wszystko jeszcze raz. Opracować. Napisać. Jak bardzo brak nam teorii! Studia po dwóch latach rużone dla wieców, komitetów, manifestów, przemówień, walki. Ekonomia polityczna! Tyle braków. Nareszcie trochę gąsnu na ich uzupełnienie. Gdyby nie ta niecierpliwość! Za krótko. Za długo!

Wolność.

"Cóż bardziej naturalnego, niż dążenie do połączenia dwóch części wyspy, rozbitych przez obcych najeźdźców?" - kolejny meeting, ludzie, skandujący imię Marthy Doherty, jest już sławna, jest już legenda. - "W marcu 1971 połączyły się partie komunistyczne obu Irlandii. Wszystkie postępowe siły wyspy powinny..." - Anglia prowadzi przeciw Irlandii Północnej politykę fałszywską! Obecność wojsk angielskich w Ulsterze jest bezpośrednim zagrożeniem Irlandii i Europy przez faszyzm!

Oklaski, burza oklasków. Faszyzm! Irlandkom, spotykającym się z żołnierzami wojsk brytyjskich, goli się głowy, jak dziewczętom, które żyły z hit-

lerowcami: zdrada! Przywiązuje się je do latarni, oblewa smołą, tarza w pieczu: zdjęcia na pierwszych stronach gazet.

- To nie walka dwóch frakcji religijnych! - powtarza dziesiąty, dwudziesty, setny raz Martha Doherty - to walka z kapitalizmem! Prasa burżuazyjna kłamie! Zdemaskujmy jej kłamstwa! co robi armia brytyjska w Irlandii Północnej? To samo, co armia amerykańska w Wietnamie! I to, co się dzieje teraz w Irlandii, nie da się oddzielić od światowego ruchu antyimperialistycznego, od światowej walki przeciw imperializmowi! Long live the united Ireland! Long live the socialist Ireland!

Przemówienie za przemówieniem, meeting za meetingiem, w którymś momencie zniknęła trema, pozostało tylko jedno: treść słów, nic poza tym. Powiedzieć to, co trzeba powiedzieć! Nic poza tym. Irlandia zasnutą dymem. Irlandia w płomieniach. Który raz z rządu?

Ale przedtem musiał nastąpić ten wybuch, wszystko musiało się rozprysnąć, cała nierzeczywistość, tęcze witraży i płomyki świec, ciemne okienka otwarte na wieczność, fale morskie przy brzegu, Najświętsza Panna na wielkich, ciemnych, ponękanych obrazach - i miłość także, oczywiście, że miłość także! Tego też trzeba się było nauczyć: kolacja, hotel, i do widzenia na zawsze, masz na imię John, tak? Zresztą to bez znaczenia. Wstąpimy jeszcze gdzieś? Nie mam czasu! Było ci przyjemnie? Nieważne! Trzeba się było nauczyć: nie można tego godzić, miłości i walki, cokolwiek by o tym mówili idioci, nie można, nie można; i żeby wejść w rzeczywistość, żeby w niej utonąć, żeby ją kształtować - cudowne, szmirowate słowa: ciemną, chropowatą, nieforemną, gorzką, żeby nie prócz niej - z tym kłamstwem także trzeba było skończyć, z tą ostatnią słabością, z tą banką mydlaną: rozbić ją. Jednym uderzeniem. Koniec złudzeń, wolność.

Tylko jeden prawdziwy romans: a potem wybuch, rzeczywistość. I już nigdy więcej!

Przez rok mówili tylko o miłości! Pięknie to brzmi, dopóki człowiek nie uświadomił sobie przyczyn: przez rok mówili tylko o miłości, bo nie mieli innych tematów.

Żabko, króliczku, ślimaczku, sarenko: Wilczku, zającą, skarbie, kochanie. Naokoło było życie, a my byliśmy poza nim, miłość, tylko miłość, przez rok mówiliśmy tylko o miłości właśnie dlatego, że miłości nie było!

Głóg trzy razy ścinany, trzy razy łączył jeden grób z drugim, w ciągu nocy wyrastał ponad kaplicę, pałac miał być z kryształu, miał pachnieć różami i świecić o poranku, a trzynastoletnia dziewczynka dotyka bicia serca końcem noża - "Tu jest twoje miejsce! Zbawczy puginale..." - i pada w dół, w mrok grobowca. Panowie miłośnicy! dobrzy rybakowie dawnych czasów, Béroul, Thomas i przewielebny Eilhart, i mistrz Gotfrid powiedzieli tę opowieść dla tych, którzy miłują, nie dla innych - co mamy z tym wszystkim wspólnego? Zmarnowaliśmy taką szansę! Niestety, kochane dziewczę, cóż znaczy ten śpiew, i szalenie bez pospiechu oddalił się tańcząc. Niech Bóg ma kochanków w swojej pieczy! Co mieliśmy z tym wszystkim wspólnego?

Na ulicach wyrastały barykady, i wracało się z wiecu, i wracało się z bitwy do tego, co nie było ani rzeczywistością, ani miłością. - Dotknij mnie obejmij pocałuj moja śliczna moja ciepła. - Co to miało wspólnego z życiem, ten romans, ten głos przez telefon, ten samochód i "Why don't my mother love my hair..." z małego magnetofonu, który Martha trzyma na kolanach, i hotele, hotele, wynajęte pokoje, restauracje i bary, i butelki, wypijane wieczorem, zanim się poszło do łóżka, i łóżko też, co miało wspólnego z rzeczywistością, i pocałunki, kotku, wróbelku, kanarku, a potem wstyd, że się to przeżyło. - Ach, panie! Wiemy, czym jesteśmy, ale nie wiemy, co się z nami stanie. Trzecia w nocy, niebo już prawie jasne. Czarne domy, czarne okna, nie wracać, teraz na koniec świata, iść teraz na dworzec i do któregośkolwiek pociągu, w którymkolwiek kierunku, w jakimkolwiek miejs-

ce... Powiadają, że sowa była córką piekarza. Już schody! Na jak długo? Dzień? Dwa? Wieczność pustki do następnego spotkania. Niech wam Bóg pomaga przy wieczery. "Kochaj mnie!" - "Kocham cię!" - "Ale naprawdę!" - "Naprawdę".

Z okna, z półmroku schodów: ciemna sylwetka, odchodząca szybko pod jasnym, sinawym niebem, między czarnymi budynkami: mrok zepchnięty z nieba / już jasno! / na ziemię, słońce jeszcze ukryte, jeszcze przed wschodem... Boże was chron, panowie, obcyście mogli żeglować szczęśliwie! Ku jakiej ziemi plyniecie? - Do Tyntagielu. - Do Tyntagielu? Ach, panowie, wzięcie mnie ze sobą!

I tak przez rok! Żadnego innego tematu: kiedyś zaczęła mówić mu swój ulubiony wiersz, ale jej przerwał, bo właśnie stali przed domem, w którym mieszkał w dzieciństwie. Kiedy indziej przeczytał tekst jej przemówienia, i powiedział, że to czysty faszyzm: ich jedyna rozmowa na inny temat!

- Wezwanie do użycia siły jest czystym faszyzmem!

- A jak zwyciężyć bez użycia siły?

- Demokratycznie!

- Ach, demokratycznie! Daj spokój, my się nigdy nie zrozumiemy, nawet nie warto rozmawiać.

- Faszyzm, Martha, to jest czysty faszyzm: zachwycać się Komuną Paryską! Równie dobrze mogłaby uwielbiać Hitlera. I uwielbiasz go, prawda? Na pewno go uwielbiasz! Walka zbrojna! Kpiny z Parlamentu! Nazywać demokrację spróchniałym szkieletem dawnego bohatera! Faszyzm, mówię ci, Martha, to jest czysty faszyzm, mówię ci, Martha...

- Ach, daj spokój, przestań, przestańmy o tym rozmawiać, przestań, wilczku, pocałuj mnie, pogłaszcz mnie, wilczku, proszę, tutaj, dotknij mnie tutaj, ach, skoniecz z tym tematem, o, tak mnie dotknij, ach, jak mi dobrze, wystarczy, że mnie dotkniesz, a prawie mdleję, o Boże ja zaraz zamdleję, wilczku, zającą, jeszcze trochę, jeszcze ciągle, zawsze, nie przestawaj, nigdy nie przestawaj...

I tylko jeden powrót do tego tematu: przygotowała coś o faszyzmie, w jego mieszkaniu, siedząc przy jego stole pisała szybko o Hitlerze i tak dalej; "Ach, o Hitlerze!" - powiedział - "czy dałaś ostateczny wyraz swemu uwielbieniu?" A przecież nie mogła z nim zerwać, nikt inny nie umiałby jej tak dotykać, tego nie mogła się wyrzec, więc tylko: "Tak, ostateczny... chodź tu do mnie, ach, zdejmij to, Boże mój, zdejmij szybciej!"

A jednak, mimo wszystkich kompromisów, mimo wszystkich "pocałuj mnie", kiedy aż sztywniała z nienawiści, mimo tego wszystkiego, po roku: "Martha, nie możemy się pobrać, długo nad tym myślałem, wszystko nas dzieli, jesteś za wielką indywidualistką na małżeństwo, no i różnice światopoglądowe, to znaczy, ja nie mam światopoglądu, a poza tym, w gruncie rzeczy, Martha, ty mnie nie kochasz"; może wystarczyłoby paru pocałunków, żeby to wszystko naprawić, ale już nie chciała naprawiać, zbyt zamczona tym wszystkim - przez rok rozmawiać tylko o miłości z braku innych tematów! kto by to wytrzymał? - powiedziała tylko: "Tylko się!", a kiedy wyszedł, zaczęła robić wyciąg z najnowszych gazet amerykańskich, wszystko o Irlandii.

I raz na zawsze koniec z poważnymi historiami!

Tylko po nocach, i w ciągu dnia, w którejkolwiek chwili, przywołanie i udręka: nikt już nie zrobi tego tak jak on, nigdy, z nikim, małżeństwo to bzdura, ale gdyby można zawrzeć z nim układ, na dziesięć lat czy do końca życia: zwykłą umowę handlową, będzie do niej przychodził dwa razy na tydzień, nie powie ani słowa, będą się kochali, ona będzie mu ościć... ale trudno zaproponować coś takiego człowiekowi, z którym rozmawiali tylko o małżeństwie, więc trudno: przygody, hotele. A zresztą to drugorzędne, trzeciorzędne, pięćorzędne!

Tak więc doszła do dwudziestu czterech lat nozbywszy się wreszcie nierze-
czywistości i złudzeń: teraz tylko prawda! Nic prócz prawdy!

Estravados powiedział już ostatnie słowa, zastygł na moment z pięścią uniesioną w górę, wszyscy podnieśli się z miejsc, E-STRA-VA-DOS! E-STRA-VA-DOS! CUBA SI, YANKEE NO! CZERWONA HISZPANIA! CZERWONA EUROPA! Ale jedni znów wołają swoje: ... TROCKI! ROSA!, a inni... STALIN! MAO! - i znów bitwa haseł, w ten sposób nigdy nie wypracujemy wspólnej linii, do diabła, czym obrzucają jedni drugich? Prawdą czy symbolami? Co znaczą te nazwiska? Czy to istota rzeczy, czy tylko słowa? A jeżeli jedność - to według jakiej linii, na jakiej podstawie? Niech żyje wolna Irlandia!

-Ktoś musi zacząć.

Wiecznie te same słowa! Wiecznie te same słowa, a taki mądry piękny świat, taki ciekawy świat, można być za rewolucją, więcej: nie można być przeciwko rewolucji, ale taki mądry ciekawy świat, jasne, jasne, rewolucja, o to właśnie chodzi: kiedy pomyślisz, że przyjdzie rewolucja i zniszczy to wszystko, Jean-Pierre, dopiero wtedy widać, jakie to piękne, wszystkie te głupstwa, które skończą się zresztą i bez rewolucji, samego czasu wystarczy, więc o co chodzi? Zobacz, Jean-Pierre, to zupełnie jak o nas, to jest prawdziwe, spójrz tylko, Jean-Pierre, jaka w tym prawda!

Na rysunku w "Jours de France" para leży w łóżku, nad łóżkiem rewolucyjny plakat, w rękach rewolucyjne gazety, nawet spodnie i koszulki, jakie oboje mają na sobie, są rewolucyjne; dziewczyna ma ładniutką, nadąsaną buzię, podparła podbródek zaciśniętą pięścią i mówi do chłopca: "Boję się jednak tego świata, o który walczyliśmy. Świata, w którym nie będzie przeciw czemu protestować!"

Niczego nie rozumiesz, Sylvie... ależ, Jean-Pierre! Niezogo nie rozumiesz zjemy coś? Tak. Na rysunku w "Jours de France" siwowłosa starszuszka robi na drutach; wchodzi młoda dziewczyna z transparentem i skarży się: "Nie jesteś miła, mamo! Nigdy nie przyjdiesz popatrzeć, jak manifestuję!"

Na ścianie wszystko, co powinno być na ścianie: Che Guevara w czapce z pięcioramienną gwiazdką /dobito go, rannego, we wsi Figueras, po torturach, seria z automatu od pasa w dół, żeby nie umarł od razu: straszliwe męki do chwili, w której któryś z żołnierzy, pijany, strzelił jeszcze raz/, plakat Toulouse-Lautreca z May Milton w nocnej koszuli i czarnych północach, ten sam plakat, który wisiał w pokoju Picassa podczas jego Błękitnego Okresu, i jeszcze flaga wietnamska: słuchaj, Sylvie, o co ci chodzi z tym starym światem?

Ach, wszystkie te piękne rzeczy, które są naszą epoką, a których potem nie będzie, nigdy nie będzie, i będzie się o nich czytało jak o dyliżansach, albo jak o dorożkach na gumach, mieszkaniach oświetlonych gazem i o spółnicy Klaudyny, krótkiej, bo sięgającej tylko do ziemi... owszem, coś z tego zostało, le col Claudine, ale nie więcej! Reklamy w czasopiśmie: codziennie budzisz się z fanfarami, bo na śniadanie są biszkopty Gringoire! albo: Pierwsze perfumy dla kobiety samodzielnej!, a jakiś mężczyzna pisze do Kuriera Serc: "Kiedy wrócisz z wakacji, zobaczyła na moim palcu pasemko nieopalonej skóry i domyśliła się wszystkiego..." - mówisz, Jean-Pierre, że w społeczeństwie przyszłości nie będzie cudzołóstw, kłamstw, podwójnego życia, że ludzie będą wobec siebie bezwzględnie szczerzy, będą się porzucali, ale nie zdradzali, nie upokarzali; ale Jean-Pierre, czy wtedy nie będzie nudno?

- Porażka nie jest argumentem - mówi Estravados, obrysowany ostrym światłem, z uniesioną, zaciśniętą ręką, podkreślającą swym ruchem padające słowa

- i tysiące porażek nie jest także argumentem dla zaprzestania walki... Jakim wspaniałym argumentem przeciw rewolucji była klęska 1905 roku! Lenin nie przyjął tego argumentu, i ponieważ za drugim razem zwyciężył, tchórze i nędznicy, tacy sami, jak ci, którzy dzisiaj - nazywając siebie marksistami! - piętnują jako awanturników - idealistów ludzi, którzy zginęli, dlatego właśnie nie, że zginęli, tacy właśnie nędznicy i tchórze upadli przed nim na kolana! A gdyby rewolucja zwyciężyła dopiero za trzecim razem? Gdyby interwencja osiemnastu państw odniosła skutek, gdyby rewolucję i tym razem pokonano, czy komuniści powinni byli przestać walczyć? Ci, którzy potępiają nas za to, że nie ograniczamy się do bogobójnej, grzesznej, miłej działalności związkowej, do popierania podwyżek płac i budowy żłobków, ci, którzy potępiają nas za to, że walczymy o przełom społeczny, potępiają jednocześnie Lenina i partię Lenina, która poniosła klęskę w 1905 roku! Potępiają Komunię Paryską! Potępiają rewolucję hiszpańską, za którą zginął mój ojciec, potępiają rewolucję indonezyjską; i potępiają także pierwszą, nieudaną rewolucję chińską, pierwszą, nieudaną rewolucję kubańską... Ale my odpowiadamy im oto z tej sali - mówię w imieniu wszystkich, którzy teraz na tej ziemi walczą czynnie w imię rewolucji socjalistycznej - odpowiadamy im oto, tchórzom i oportunistom, karyerowiczom z legitymacjami partyjnymi, obrońcom imperializmu; odpowiadamy im oto: nie zatrzymamy się. Nie przerwiemy walki. Nasze zwycięstwo będzie dla nich najlepszą odpowiedzią. Niech żyje proletariacki internacjonalizm! Niech żyje rewolucja!

Michael wysiada z samochodu, kiwa na Krzysztofa.

- Chodź, to tutaj.

Obskurna, stara kamienica; ciemna, wilgotna brama. W bramie, po prawej, niskie, nie malowane drzwi, jak do stróżówki. Czy to żart?

Drzwi się otwierają. I bucha z nich muzyka.

Są w dużym, mrocznym pokoju. Jak w puszczy sardynek. Ludzie stoją jeden przy drugim, stłoczeni, opierając się o siebie plecami i ramionami, z twarzą przy twarzy. W spranych, popielonych dżinsach, w dziurawych i połatanych swetrach, w rozciągniętych podkoszulkach, z pełnami przyklejonymi do warg. A między nimi przepychają się nieliczni dumni i pełni godności wytwornisie w białych smokingach. To kelnerzy!

Krzysztof nie może się powstrzymać od śmiechu. Michael patrzy na niego zdziwiony.

- Co cię bawi?

- Kontrast.

Nie tłumaczy tego bliżej, nie ma nawet czasu. Michael przepycha się przez tłum. Całuje w rękę jakąś brudną, rozczochraną kobietę w luźnym, czarnym golfie, w połatanych spodniach, w okularach zasłaniających pół twarzy.

- Droga hrabino - mówi.

Czy to żart? Ależ nie, nie! Skądże!

- To mój przyjaciel z Polski - recytuje Michael, i Krzysztof pochyła się również, całując rękę hrabiny; może to rzeczywiście hrabina? Chyba tak!

- Lubi pan muzykę południowoamerykańską? - pyta hrabina z twarzą tuż przy jego twarzy, z badawczym, owadźm spojrzeniem tuż przy jego spojrzeniu, ścisnąc mocno jego ramię; głos ma donośny, niski, tubalny.

- Ta-ak.

- Tam można posłuchać - hrabina wskazuje na coś w kącie pokoju, nie zauważając tego od razu, to zejście na dół, do piwnicy. - A poważne rozmowy - tam.

Ruch ręką w drugą stronę: kręte schody, prowadzące na pięterko.

- Ach, dziękuję.
- A ty, Michael, chodź ze mną. Mam do ciebie parę słów.

Michael i hrabina jak podwójny korkociąg wkręcają się, wóróbowują w żywy mur, znikają.

Oóż, czemu nie miały posłuchać muzyki południowoamerykańskiej?

Po drodze wykwinął się w smokingu, balansując jak cyrkowa foka uniesioną nad głowę tacą, oferuje mu drinka: whisky, wódka, wino czerwone, białe, cocktail? Chwila wahań. Nie, woli być trzeźwy. Bierze szklaneczkę soku pomarańczowego, do którego elegant srebrnymi szczypcami włożył dwie kostki lodu, i ostrożnie przeslizguje się dalej. Z każdym krokiem nabiera wprawy.

To prawdziwa piwnica, o ścianach z gołej, czerwonej cegły; czuć tu stęchliznę i perfumy. Ale betonowe klepisko przykryto skórami niedźwiedzimi, i człowiekowi, wnoszącemu tu trzydzieści lat schludnej pustki, trzydzieści lat zycia wyłącznie intelektualnego, znów zbiera się na śmiech. Znajduje wolne miejsce i ostrożnie ełada na brunatnym futrze, podciągając kolana pod brodę. Upija trochę soku i stawia szklankę obok. Przyćmione światło ma kolor krwi. Muzyka rozbija się o ściany, wibruje, zatacza koła, zalewa go, ogłusza: tango,

Obdartusy przycupnięte lub wyciągnięte obok słuchają tanga nabożnie, jak hymnu.

Po chwili jeden z nich podczołguje się do Krzysztofa, siada obok niego.

- Przyszedeś z Michałem Bernardem? - pyta.

Tak, przyszedł tu z Michałem Bernardem. Przez trzydzieści lat nic się w jego życiu nie wydarzyło. Urodzony w mieście, które niedawno było gigantyczną kupą gruzu: gruzu uprzęgnięto i wszędzie wzniesiono osiedla z półfabrykatów, blok przy bloku, otępiałe z nudów okna patrzą prosto przed siebie, w inne okna, ani na chwilę nie zmieniają kierunku spojrzenia. Jeździł tramwajami i autobusami, i począł się tak zatłoczonym, że gdy był dzieckiem, trzeba go było wypchać do wnętrza wagonu przez okno: dwanaście, czternaście godzin turkotania do piaszczystej góry i dwóch zmarniałych sosen. I znowu miasto. Chodził do szkoły - pokrajane nożem ławki, biały orzeł na czerwonym tle nad tablicą - uczył się matematyki i rozbiórów gramatycznych, fizyki i rosyjskiego, chemii i geografii, skoków przez kozioł i chodzenia po równoważni. Studia, praca. Obrzydzenie przy pierwszej kobiecie, zachwyty przy piątej, rutyna przy ósmej, znużenie przy dwunastej. Jakieś kawiarnie, restauracje, okienka kasowe, przeliczanie banknotów; maszyna do pisania i pranie koszuli; przejście przez park, w którym kwitną drzewa, i przymierzanie butów, które kupował, i które przez pięć lat gniotły w palcach; pustka, pustka, pustka. Czytał, pisał. Nie miał czasu na muzykę południowoamerykańską i nigdy w życiu nie widział niedźwiedziej skóry ani smokingu. Kupował cienkie koperty z czerwonymi paskami przy brzegach i z napisem AIR MAIL, wkładał do nich zapisane kartki, naklejał znaczki. Któregoś dnia położył przed sobą dwa toniki, kupione w księgarni wydawnictwa importowanych przy Alejach Ujazdowskich, pięć numerów "Temps Modernes" i plik wycinoków. Przejrzał to wszystko solemnie, raz jeszcze, i napisał długi list do Michaela Bernarda. Michael Bernard mu odpowiedział. On odpowiedział Michaelowi Bernardowi. Potem Michael Bernard przyszedł mu zaproszenie i pieniądze na drogę. I jest tutaj; czy to nie głupie?

- Tak - mówi.
- Ile masz lat?
- Tyle, co Hamlet.
- Chcesz papierosa?

Czemu nie? Sięga do podsuniętej mu paczki gauloise'ów, bierze jednego, pochyla się nad płomykiem zapalniczki.

- Mój ojciec jest księciem.

No, no. Krzysztof patrzy z ukosa na twarz obdartusa, oświetloną przez moment rozżarzoną końcówką gauloise'a

- W zasadzie ja też jestem księciem - rozgadał się obdartus. - Albo postawmy sprawę inaczej: mój ojciec też nim nie jest. Skoro władza radziecka skasowała tytuły...

- Jesteś Rosjaninem?

- A jakże. Już mój dziadek biedaczysko, był b y ł y m księciem. Znasz exodus arystokracji rosyjskiej? Przez Konstantynopol do paryskiej taksówki?

- Któż tego nie zna.

- O, to, to! moja rodzina zawsze ulegała stereotypom. Dziadek, biedaczysko, został taksówkarzem. Pomiędzy tatusia i przejdźmy od razu do mnie. New Left, my dear! MARKS, ENGELS, LENIN, TROCKI, ROSA! Biały książę, wnuk taksówkarza, syn sklepikarza: bum! bum! à bas! long live! down! Nasz sztandar płynie ponad trony! I co ty na to?

Krzysztof unosi brwi i nie odpowiada; co mógłby odpowiedzieć? Facet nie robi nawet wrażenia pijanego, skądże, ani trochę.

- Kuzyn ojca, książę Wiazemski, ożenił się z córką tego lokajczuka klechów, Mauriaca - paple dalej obdartus. - A z jego córką czenił się Gogard, Jean-Luc Godard, takie mamy teraz drzewo genealogiczne, takie koneksje, lubisz filmy Godarda?

- Bardzo.

- Księżniczka Wiazemska grała w jego "Chince". To jest film, przyjacielu! Nie film, a bomba! Księżniczka Wiazemska zagrała lewaczkę pierwszej klasy, cała reszta była już naśladownictwem. Księżniczka Wiazemska, moja kuzyneczka, pod światłym kierownictwem małżonka dała prototyp terrorystki, kiedy nikomu się nawet o terroryzmie nie śniło!

- No - openuje Krzysztof - terroryzm jest wieczny.

- Ale ten nowy, ten nasz! Co kogo obchodzi historia? Mój pradziadek kochał się w Wierze Zasulicz, à propos: uwierzyłbyś? Noś! zawsze przy sobie jej fotografię. No, Hamlecie, egzamin: kogo próbowała usunąć z tego świata Wiera Zasulicz?

- Policmajstra Trepowa, w 1878. - odpowiada Krzysztof z uśmiechem: podoba mu się ten ozłowiek, podoba mu się o wiele bardziej, niż Michael, ta żywa legenda, to sztywne pudło. A nikogo prócz nich dwóch przecież nie zna.

- Bravo, Hamlecie! - Obdartus dwukrotnie z namaszczeniem uderza w dłoń.

- Serio, nie sądzę, żeby w tych salonach - ruch ręki dokoła i w górę - znalazł się ktoś drugi, kto by słyszał o Wierze Zasulicz. Lewica też ma swoich nuworyszów, i to jakich! Co, przyjacielu, nie warto by o tym napisać? O nuworyszach lewicy? Wyskoczyło to wszystko spod ziemi wczoraj lub onegdaj, ani chwili wczesniej! Twój Michael również. Zdradzę ci wielką tajemnicę, Hamlecie: O n i n i e m a j ą p r z o d k ó w ! I to ich zgubi. To jest z wódką?

- Co?

- Twój soczek.

- Nie, czysty.

- Coś takiego! Ty też nie pijesz! Przyjacielu!

Książę kwiczy z radości, młóćąc piętami o niedźwiedzią skórę.

- Skąd o mnie wiesz? - pyta nagle Krzysztof. - I co właściwie wiesz?

- Ależ nic. Że jeeteś s t a m t ą d. Zza żelaznej. Ach, człowieku, serce mi taje na widok każdego stamtąd, i zawsze, zawsze źle na tym wychodzę! Jesteś z Warszawy, Prwiśliański Kraj, znam, znam, a jakże. Niemal z ojczyzny! Dawno przyjechałeś?

- Dziś wieczorem.

- Coś takiego! I nikogo nie znasz? Poza Michaelem?

- Nikogo.

- No, no. - Książę pochyla się ku niemu, poważniejąc nagle: młoda, podłużna twarz w czerwonym świetle, sczerwieniła od światła jasny lok, unoszący się zawadiacko nad czołem. - Dam ci dobrą radę, Hamlecie: nie daj mu się opętać. Wiem, wiem: stary Michael po śmierci Estravadosa, świeć Panie nad jego duszą, rzucił bombę pod samochód szefa policji, i wprowadził bomba nie wybuchła, ale wszyscy ludzie o czystych sercach będą go za to kochać do końca swoich dni.

Czy można było mieć piękniejszy i szlachetniejszy odruch, powiedz sam - Hamlecie? Jeżeli się jest synem barona tekstyliów, a po kądzieli wnukiem angielskiego lorda, nie można było, w żadnym wypadku, Hamlecie, wykluczone. I pełne cztery w marmrze, chociaż bomba nie wybuchła, co za okrucieństwo! Takie delikatne stworzenie, takie płomienne serduszko, potomek lordów i tekstyliów - w marmrze! To oczywiste, że od wyjścia stamtąd - a wszyscy interweniowali w obronę naszego lordziątka, wszyscy byli nim wzruszeni - siedzi na złotym tronie w carskiej koronie, i panuje. Peruje wyroki, chwali, rzuca anatemy. Procywi, stary Michael! Car Nowej Lewicy, dzięki jednej bombie, która nie wybuchła!

- O, jesteś tu, Chris!

Michael stoi nad nimi, opanowany, spokojny; jego łysina pionie czerwonym światłem. Czy coś słyszał? Choćby nawet, i tak nie zmieniliby wyrazu twarzy.

- Mam jeszcze z kimś do pogadania na górze - mówi. - Wpadnij tam. Potem pojedziemy chyba, czy? Musisz być zmęczony po podróży.

- Dobrze.

Michael wspina się już po drabince, prowadzącej na górę - bo to zwykła drabina, nie schody. Książę opadł na wznak na niedźwiedzie futro, jedną ręką podłożył pod głowę, drugą sięgnął do kieszeni.

- Domyślałem się, że musisz teraz pędzić za swym przyjacielem, Hamlecie. Weź chociaż moją wizytówkę. Odpowiedz mi, nie będziesz tego żałował. Ale nie mów lepiej swojemu carowi, że ci to dałem.

- W porządku, książę.

Krzysztof chowa wizytówkę do kieszeni i niepewnym, błazeńskim ruchem schyla głowę przed leżącym, który podłożył już pod głowę obie ręce i przyrymka oczy. Dopiero teraz ogarnia wzrokiem całą piwnicę, widzi ich wszystkich, niewyraźnych, purpurowych, męczących i kobiety, na jednej z głów zawój w drobną kratkę, jak u Arafata; Arab? Mniejsza o to.

W głównej sali bierze sobie kanapkę z kawioorem, bierze też kieliszek białego wina i rusza na "górkę".

Tu też podłogę pokrywają skóry niedźwiedzie, ale białe. Poza tym nie ma niczego. Parę osób leży, parę siedzi w kucki z plecami opartymi o ścianę.

- Ach, jesteś, Chris. Już idziemy.

Michael rozmawia ze szpakowatym mężczyzną w tweedowym garniturze, wyraźnie nieswojo się tu czującym: przycupnął pod ścianą, ale jest mu niewygodnie, wierci się, z trudem utrzymuje równowagę.

- Mój przyjaciel z Polski. Raymond Krivitzky.

- Ach!

Raymond Krivitzky - to on przemawiał przed Estravadosem, na parę sekund przed śmiercią Estravadosa, któż o tym nie wie? - ożywia się nagle. Z Polski? Rozpieprzyli u was ruch trockistowski, a tak się już ładnie kilkanaście lat temu zapowiadał! Jak pan myśli, mógłby być odbudowany? Jest baza? Jakie są nastroje? Macie sporo dysydentów, prawda?

- Daj spokój, Raymond - ucisza go Michael. - Jeżeli w ogóle mogą cię cieszyć dysydenci - t a m - w socjalizmie...

- Ależ, Michael! Przecież wciąż ci to tłumaczę! To nie jest socjalizm!

- ... i to po tym, a czym przed chwilą mówiliśmy - kontynuuj Michael, patrząc na niego z nagana. - Wiesz, o czym, Chris? Mam taki plan: trzeba założyć pismo, na tej samej zasadzie, na jakiej Pablo zorganizował Kongres. Wszystkie oddamy Lewicy, wszystkie stanowiska, wszystkie fronty. To jest punkt wyjścia, prawda?

- I masz moją zgodę, musimy to bliżej omówić. Ale dlaczego nie pczwalasz mi porozmawiać z twoim przyjacielem? Niech mi pan powie, jak tam u was jest? Jaka sytuacja? Jakie nastroje?

Krzysztof przysiadł na białym futrze, sięga do podsunętej mu przez Krivitzky'ego papierošnicy.

- W największym skrócie - mówi. - Dam panu jeden fakt. Niedawno w pewnym naszym piśmie...

- Partyjnym?

- Tak, partyjnym... ukazała się taka definicja socjalizmu: jest to ustrój, który zapewnia godziwe warunki bytowania dla wszystkich, dla bogatych i biednych.

- Być nie może! - woła Raymond Krivitzky; Michael nie rozumie o co chodzi, przygląda się ze zdumieniem jego podnieceniu.

- Być nie może! - powtarza Krivitzky. - I nie ukazało się nic, żadne sprostowanie, polemika, nic?

- Nic.

- Ale o co tu chodzi? Co w tym jest nie tak?

- Michael, człowieku! - woła Krivitzky, uderzając się otwartymi dłońmi w podciągnięte wysoko kolana. - Przecież to jest definicja kapitalizmu i socjalizmu, m u, współczesnego kapitalizmu, kapitalizmu z sektorem socjalnym, to niebywałe!

- To jest fakt symboliczny - mówi Krzysztof Paliwoda - ale nie wyjątkowy. Streszcza prawidłowość. Polaryzacja społeczna jest bardzo silna...

- I z czego ona wynika? - podnieca się Raymond Krivitzky; na jego policzkach płoną czerwone plamy. - Czy pan sądzi, że wytwarza się nowy podział klasowy? Czy chodzi o postawienie p a n s t w a ponad wszystkimi innymi wartościami i o towarzyszącą temu, z drugiej strony, bałagan, zawalenie gospodarki, rozwój korupcji, fatalny system rządzenia, tworzący pożywkę dla cwaniactwa, szkodliwstwa, escrocu?

- Drugie sprzyja pierwszemu.

- Ach, dajcie spokój! - irytuje się Michael. - Ty, Raymond, jesteś zupełnie opętany swoimi aksjomatami... a Chris patrzy na to, co się dzieje w jego kraju, że zbyt bliska, bez żadnej perspektywy. Wszędzie są jakieś wypaczenia, czemu nie miałyby ich być i w socjalizmie?

- To nie jest socjalizm, Micksy! A zresztą, co t y o nim wiesz? Nawet nigdy tam nie byłeś.

- Czytałem w "Mondzie".

- Ach, on czytał w "Mondzie"! Źródło wiedzy naszego Mickey, "Le Monde"!

- Idziemy, Chris.

. . .

Siódmego dnia - dowie się o tym potem, stracił poczucie czasu - a więc siódmego dnia STANU WOJENNEGO, siódmego dnia INTERNOWANIA, wywożują go nagle z celi. Jest już wieczór.

Prowadzą go przez jakieś biurko. Dziwiają się jego sztywnej od brudu piżamie, ubolewają. Czemu nie ubrał się ciepło, wychodząc z domu? Czemu rodzina nie doniosła ubrania? Ma przecież jakąś rodzinę, prawdę? Matkę? To dziwne, że matka nic mu nie przyniosła, że nie zrobiła paczki, to przecież wolno. Cóż, tak czy owak, w piżamie nie pojedzie. W taki mróz! Znajdzie się coś dla niego. Przynoszą oduze, cywilne spodnie, podkoszulek, sweter, skarpety. Wkłada to wszystko na swą piżamę. A na wierzch kozuch. Nie odzywa się. Tamci też szybko kończą z uprzejmościami. Wychodzień.

Bez kajdan. Po prostu, między dwoma cywilami. Trzeci czeka za kierownicą obtuzowanej, szarej "Syreny". Każą wsiąść, częstują papierosami. Bierze i zapala żaruje. Nie palił od tamtej nocy i nie czuł potrzeby, nie brakowało mu tego. Samochód rusza. Jest ciemno. Nie wie, dokąd go wiozą. Nie pyta. "Ręce się panu trzęsą" - mówi jeden z cywilów. - "I czego się pan tak boi? J e - z c z e się pan boi?" Wzrusza ramionami. "Strasznie zdenerwowany" - informuje jeden cywil drugiego: jak o eksponacie w gablotce! Bawi go to, szalenie go bawi; aż chichocze. "Spójrz na jego ręce! Trzęsą się. No, dam rację, czy

nie?" Krzysztof milczy. Nie będzie im mówił o gorączce, o chorobie. Niech ich szlag trafi! "Jest pan wierzący?" - pyta gadatliwy cywil. - "Tak" - odpowiada Krzysztof, sam nie wiedząc, o czemu; cywil gwizdże oicho. "No, no! Naprawdę wierzący? Katolik?" - "Nie praktykujący. Ale wierzący, katolik, tak". Cywil milknie. Jest cisno. Jada, stają. To jakaś ulica; skoro jechali krótko, więc chyba w Warszawie. Wielkie gmaszyko ze światłami przy bramie, z budką strażniczą. Ależ tak. Rakowiecka. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Innych tu nie wozili. Innych nigdzie nie wozili. Nie zabierali z celi. Wchodzą: on i dwaj cywile. Tamci legitymują się dwukrotnie, przy budce strażniczej i przy biurku, stojącym w hallu, tuż za drzwiami. W gmachu jest pusto i cicho. Idą do windy. Gadatliwy cywil naciska guzik i wskazuje na gładką, kamienną posadzkę. "Tam, pod spodem - mówi - są nasze kazamaty. Tam właśnie torturujemy i tak dalej. Słyszał pan chyba o kazamatach na Rakowieckiej?" Ni to żartem, ni serio: jak przez cały czas. Czeka na odpowiedź. Krzysztof Paliwoda milczy. "Słyszał pan?" - powtarza cywil głośno, z naciskiem. "Nie pamiętam". Winda już jest, wsiadają, jadą na górę. Nie wie, na które piętro. Drugi cywil otwiera jakieś zamknięte na klucz drzwi. Ciągłe ta cisza. Drugi cywil znika; pierwszy zostaje sam na sam z Krzysztofem. Proponuje zdjęcie kożucha, ale nie nalega. Sadza go przy tym małym stoliczku, plecami do drzwi. Sam siada naprzeciwko. Kładzie między nimi paczkę papierosów - tych właśnie, które Krzysztof zawsze palił. Przygląda mu się kąpiąco.

- No, i po co to panu było? - pyta. - To internowanie, te nieprzyjemności? Mógł pan tego wszystkiego uniknąć.

Krzysztof milczy. Mężczyzna jest w jego wieku: tak ich doberają, słyszał o tym. Trochę już łysieje od czoła. Podłużna, nijaka twarz, sweter z golfem. Czego on chce?

- Wie pan oczywiście, o czym mówię?

Krzysztof potrząsa głową.

- Nie? Naprawdę nie? Pan ma interesujące nas znajomości zagraniczne. Mój kolega rozmawiał z tym z panem... ale pan nie zachował się wobec niego zbyt grzecznie. Potem warunki nie sprzyjały dalszemu naciskom z naszej strony, trzeba było poczekać. Więc poczekał. Wciąż nie rozumie. "Solidarność", w te strajki, w te ekspertyzy! Nas to nie interesuje. Słyszysz mnie pan? Nas to nie interesuje! Nas interesują wyłącznie pana kontakty zagraniczne. Czy to jest jasne?

Pochyla się do przodu, oczekając na odpowiedź. Ma wąskie, brązowe ocozy o ciężkich powiekach, mętne oczy, bez głębi.

- Nie sądzę - mówi Krzysztof, splatając ręce na kolanach i starając się oparować to przekleśte drzenie.

- Niesee-a? Pan mnie chyba nie rozumie?

- Doskonale rozumiem.

- I nie zgadza się pan ze mną? No, no! - Mężczyzna uśmiecha się nagle, odsłaniając górne zęby. Po czym wraca do poprzedniego tonu, ciepłego, poufałego. - Szkoda, że mój kolega wzbudził wtedy w panu taką niechęć. Gdyby nie to, mógłby się pan spokojnie bawić w tę "Solidarność", w te strajki, w te ekspertyzy! Nas to nie interesuje. Słyszysz mnie pan? Nas to nie interesuje! Nas interesują wyłącznie pana kontakty zagraniczne. Czy to jest jasne?

Krzysztof kiwa niepewnie głową.

- No właśnie! Ma pan duży atut... z takim atutem tylko duření miewa przykrości. Dziwne, że nie przytkomnął pan sobie o tym zaraz po zatrzymaniu. Kolega podał panu sposoby kontakowania z nami, podał nazwisko, które trzeba wymienić. Wytarczyłoby, żeby się pan na to nazwisko powołał. Wolał pan sterceż w zimie w bransoletkach? Wolał pan się trząść w Białołęce?

- Nawet nie pamiętam tego nazwiska.

- Nie pa-mię-ta pan?

Rozmowa Krzysztofa nie wierzy; a przecież to prawda. Kiedyś, przed wiekami, facet ze Służby Bezpieczeństwa - tak się przynajmniej przedstawił - wetknął mu w rękę kartkę z jakimiś nazwiskami i telefonami. Mówił mu też, że może o każdej porze dnia i nocy zadzwonić do Komendy Głównej i prosić o skon-

taktowanie go z kimś tam, a każdy oficer dyżurny z miejsca, natychmiast... Nie wiadomo, co z miejsca, co natychmiast, ci ludzie zawsze mówią tak mgliście. Krzysztof przepisał wszystko do kalendarzyka, ale kalendarzyk chyba wyrzucił na Nowy Rok, a kartkę zgubił. Szukał jej nawet, sądził, że mogłaby się przydać ludzi z "Solidarności", ale kto by ją znalazł wśród tych szpargałów? Musiała gdzieś przepaść.

- Kapitan Pa-włu-czuk. Nie pamiętał pan tego nazwiska?

Owszem. Teraz sobie przypomina. No i co z tego? Czy w ich branży naprawdę czego nie mówi się jasno i wprost?

Łysawy wzdycha. No, już dobrze.

- Jasno i wprost? Dobrze, będzie jasno i wprost. Chce pan wyjść z więzienia? Dostać paszport? Mieć możliwości swobodnych wyjazdów, dokąd pan tylko zechce? Wzajemnie za wykonywanie drobnych, naprawdę drobnych poruczeń w kontaktach z pańskimi... znajomymi?

"Swobodnych wyjazdów", tyle tylko usłyszał Krzysztof przez wypełniającą jego głowę drżąca watę gorączki. To musi być podstęp. Czy są aż tak głupi, żeby wierzyć, że wróci, że wróciłby, gdyby go raz wypuścili? Cóż, może ryzykują. Muszą czasem ryzykować. Jeżeli jest dla nich aż tak cenny... Ale czemu, na litość boską?

- Z jakimi znajomymi?

Łysawy znowu wzdycha.

- Z Michałem Bernard... dobrze wymawiam?... doradcą obecnego prezydenta Francji, wie pan chyba, że jest jego doradcą. Z Conchitą Estravados i jej przyjaciółmi, z panem Sperlingiem, no i ze wszystkimi tymi terrorystami.

- Nie rozumiem, po co wam to potrzebne.

- I nie musi pan rozumieć.

- Muszę.

- Stawia pan żądania? W swojej sytuacji? Tak się panu podoba w Białołęce? Cóż, bywają gorsze warunki. O wiele gorsze. I gorsze sytuacje niż internowanie. Chce pan mieć proces o szpiegostwo? Chce pan?

Krzysztof nieoczekiwanie zaczyna się śmiać. Głośnym, drewnianym śmiechem. Wstaje, podnosi sweter, poprawia wetknięty za pasek od spodni pistolet - wychodzi. Krzysztof śmieje się jeszcze przez chwilę w pustym pokoju. Ociera zawiąże oczy.

Potem zapala kolejnego papierosa. Czeka.

Łysawy wraca z drugim mężczyzną, o wiele starszym, siwym. Ten drugi siada na środku pokoju, patrzy na Krzysztofa przez grube szkła okularów; przejmuje przesłuchanie.

Kiedy został pan zwolennikiem terroryzmu?

Krzysztof wzrusza ramionami. Szaleńcy.

Zjawik się pan w Stoczni Gdańskiej prosto po rozmowach z przywódcami międzynarodowego terroryzmu. Przywiózł pan instrukcje. Jakie?

Co za bzdury?

Miesiąc wcześniej był pan w Pradze Czeskiej. Kto panu przysłał zaproszenie? Zna pan chociaż tego człowieka?

Milczenie. Ale teraz niepewne, trochę przestraszone.

Na lotnisku w Pradze czekał na pana Rolf Sperling. O czym pan z nim rozmawiał? Kto w tych rozmowach uczestniczył? Znał pan przedtem Sperlinga?

Korespondowałem z nim - wyjaśnia Krzysztof. - Sperling był adwokatem dziewczyny, która... z którą... no, Moniki. Conchita nas skontaktowała.

Chciałem się dowiedzieć czegoś o Monice. Porozmawiać o niej z kimś, kto ją znał. Więc kiedy Sperling miał być w Pradze, tak blisko...

- Chciał pan z nim tak po prostu, prywatnie porozmawiać? Tak?

Tak.

Dobry tych kłamstw! - krzyczy nagle Conchy. - Za co panu przysyłano pieniądze? Trzy tysiąty na pańskie kontr... od Sperlinga, Rolfa Sperlinga

i od... - Łysawy uszkuśnie podsuwa kartkę. - Od Hildegard Braun z Monachium. Trzy wpłaty: Paryż, Londyn, Monachium. Za co?

- Nie za co, tylko na co. Na podróż. Conchita chciała, żebym przyjechał, do niej. To wszystko od niej. Wysyłały trzy osoby, ale to od niej.

- Kim jest Hildegard Braun?

- Nie wiem. Chyba jakaś znajoma Conchity.

- Czemu Conchita posługiwała się różnymi nazwiskami? Mogła sama przysyłać panu pieniądze.

- Nie wiem, nie wiem! Musiało jej tak być wygodniej.

- Jaka jest pańska definicja terroryzmu?

- Nie interesują mnie definicje terroryzmu.

- Tylko praktyka, tak? Jakie instrukcje przekazywali pańscy znajomi polskim kontrrewolucjonistom?

- Jakim kontrrewolucjonistom? Jakie instrukcje? Niech pan skończy z tymi bzdurami!

- Mamy wierzyć, że utrzymywał pan z tamtymi ludźmi kontakty czysto prywatne?

- Oczywiście, że tak! Interesowali mnie. Byłem ich ciekaw. Wydawało mi się, że mają rację. Ale po pierwszym spotkaniu z nimi i po powrocie do Polski zmieniłem zdanie. Uznałem, że to my mamy rację.

- Jacy "my"?

- Polacy. "Solidarność". Ale to nie był powód, żeby przestał nawet odpowiadać tamtym na listy! Lubiłem ich. Conchitę lubiłem. Aż do czasu, kiedy...

Milknie. Tamtych zresztą nie interesuje to "kiedy".

- Więc pana zdaniem nie było żadnego związku między zachodnim terroryzmem, zachodnim lewactwem a polską kontrrewolucją? Tak?

- Jaka kontrrewolucją?!

- Macie w oślach głośniki. Wie pan, co się stało w kopalni "Wujek". Czy to jest terroryzm czy nie?

Krzysztof na chwilę głupieje. Nie spodziewał się pytania aż tak absurdalnego. Kopalnia "Wujek"? To tam, gdzie przy tłumieniu strajku ZOMO zastrzelili siedmiu górników. Czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach?

- Terroryzm? - pyta. - Nie rozumiem... czyj terroryzm? Górników czy ZOMO?

Stary daje znak. Łysawy wstaje i, nad stolikiem dwukrotnie uderza Krzysztofa w twarz.

Gdyby nie siedział na krześle, wołanięty między stół a ścianę, zwałiby się na ziemię. Kark mięknie mu nagle, nie może już utrzymać głowy, głowa zwisa bezwładnie, światło zgasło, zrobiło się ciemno.

Kiedy pokój wraca na swoje miejsce, Łysawy siedzi znów naprzeciwko. Uśmiecha się.

- Teraz będzie pan z nami rozsądnie rozmawiał?

Krzysztof ostrożnie porusza głową. Jak wahadłem, z boku na bok.

- O, nie. Teraz już na pewno nie.

Patrzą na niego przez chwilę.

- Dobrze.

- No i niech mi pan powie szczerze: czy pan jakoś odczuwa ten "stan wojenny"?

Krzysztof Paliwoda siedzi ze "swoim" ubekiem, tym Łysawym, w restauracji hotelu "Victoria". Wypił już dwa aperitify; jest ładny, słoneczny dzień; na wykąpanym, wyleczonym ciele spoczywa czysta koszula, czysta bielizna, ulubiony krawat, porządny garnitur; twarz jest świeżo ogolona i przetarta wodą kolońską z zagranicznej paczki - jakże to dalekie od obozów dla internowanych!

Łysawy nie pije, jest na służbie; rachunek także zostanie zapłacony z funduszów służbowych; mało to Krzysztofa wzrusza.

- No, jak? Bo ludzie reagują tak historycznie, że czasem sam siebie pytam: a może ja mam jakieś skrz... ienie zawodowe? Więc niech mi pan powie: czy panu osobście, na co dzień, "stan wojenny" jakoś przeszkadza?

- Nie - odpowiada Krzysztof grzecznie. - Szczерze mówiąc... rzeczywiście nie.

- Właśnie! I pan to mówi! Żoną też pytałem, też jest zadowolona. Wię o co im chodzi, tym z opozycji? Konspiracja, podchody, zamieszki uliczne, co krok powielacz, co dwa kroki drukarnia, nawet radiostację sobie zafundowała... tego się nie spodziewaliśmy! Liczono się ze znacznie większym oporem na początku, z wieloma ofiarami... ale potem miał być spokój i powrót zaufania. A tu nic podobnego! Jak w gnieździe os. Aha, przyniósł pan swoje wypracowanie?

Krzysztof sięga do kieszeni i podaje Łysawemu złożoną na pół niebieską kopertę z kolejnym raportem. Z kolejnym uzupełnieniem do tamtego, pierwszego raportu, przekazanego w głównym punkcie kontaktowym szpiclów i konfidentów, w obokurnej kawiarni "Ali-Baba". Tym razem informuje o niesłabnącym / jak wynika z otrzymanych listów/ zainteresowaniu wywiadu, w służbie którego pozostaje Rolf Sperling, możliwością dotarcia przez niego, Krzysztofa, do Michała Bernarda, a zatem, pośrednio, do prezydenta Francji - i odpowiada na pytania. Czy zetknął się ze środowiskami emigracyjnymi na Zachodzie? Nie. Czy wie coś na temat ich kontaktów - to ich ukochane, magiczne słowo, "kontakty"! - z lewakami? Nie. Emigrant-lewak, cóż to za bzdura! Tylko w bezpieczniackiej głowie mogło się coś podobnego wylęgnać. "Proszę podać wszystkie polskie kontakty Paliwoy. Co to za kontakty?" O, nie. Odmawia odpowiedzi. To pytanie jest sprzeczne z umową. Mają podsłuch, mają wywiadowców, mogą go śledzić; nie będzie uciążliw im roboty. Łysawy kiwa głową i niedbale chowa kopertę. Zacząk właśnie opowiadał o sobie. Pracował kiedyś nad człowiekiem, który wysadził w powietrze pomnik Lenina.

- Ciężkie to było! Co tu będę przed p a n e m ukrywał: chiłocy z milicji porządnie go pobili. Nogi miał w wielu miejscach połamane i tak dalej. No i ział nienawistcią, w ogóle nie chciał współpracować. Pracowałem nad nim przez cztery miesiące, po sześć godzin dziennie. Chole nie uparty! Ale, ale. Zna pan ten dowcip? Siedzi sobie milicjant przy biurku, na biurku ma magnetofon. Nagle dzwoni telefon. Milicjant wysłuchuje polecenia, po czym łapie półkę i rozbija magnetofon w puch. Jakie polecenie otrzymał milicjant?

- Nie wiem - odpowiada Krzysztof.

- "Przesłuchad taśmę".

Śmieją się obaj. Krzysztof kiwa parokrotnie głową: no, no. Świetny dowcip! Łysawy wraca do swego opowiadania.

- Wie pan, co to jest tygrysowy? Cela z kratą: w środku celi jest klatka, w klatce przysrubowany taboret, na nim siedzi więzień w samych slipach. I wie pan, że ten facet uciekł z tygrysowy? Podstępnie zdobył kawałek żelaza. Tarł nim o beton, wyszlifował, zrobił śrubokręt. Wydostał się, napadł strażnika, włożył jego ubranie i wyszedł. I to nie z byle jakiego więzienia, ze Strzelców! Kto tam był, ten wie, co to jest. Cóż, w końcu go ujęto. Ależ on nienawidził naszych chiłoców! Wie pan, po ujęciu złożył skargę, że strzelano do niego celując w głowę. Skąd mógł to wiedzieć? A on uciekając uważał, jak leca kule. Leciały koło głowy. Cholerny typ.

Piją zupę. Łysawy się rozkrochmalil, opowiada o zamachach. Potem znów sypie dowcipami: a ten pan zna? a ten? Cóż, Krzysztof też może opowiedzieć jakiś dowcip.

- Czy pan wie, jak udzielić pierwszej pomocy zomowowi?

- Nie wiem - mówi Łysawy, zaciekawiony i z góry uśmiechnięty.

- No i bardzo dobrze.

Uśmiech znika.

W przerwie między zupą a drugim daniem przechodzą do spraw zasadniczych. W resorcie postanowiono nie sprawdzać tożsamości Karela i Hany. Ukryje się przed Czechami, że wiemy cokolwiek. O, Cześci to chytra bestie! Enerdowcy też!

Ale żeby wciągać naszych obywateli do swojej gry... Swoją drogą wie pan, że pana główni znajomi mają zakaz wjazdu do wszystkich krajów socjalistycznych? A jednak bywają w Czechosłowacji i NRD... nie bez powodu.

- Zamiast bywać w Moskwie - wtrąca Krzysztof.

- Ta-ak. Zapewne o to chodzi. Nawiasem mówiąc, gdyby córka Estravadosa albo ten Sperling chcieli p a n a odwiedzić, dostaną polskie wizy. Wolimy oczywiście, żeby zrobili to z lipnymi paszportami... ale i tak dostaną wizy. To, żeby pan wiedział.

Kelner podjeżdża do stolika z wózkami, zastawionym drugim daniem. Manipuluje patelniami, garnuszkami, talerzami; wreszcie stawia przed nimi porcję doręcza w otoczeniu frytek i jarzyn. Kiedy to robi, Łysawy podziwia boazerie na ścianach. Właśnie coś podobnego zakłada u siebie w domu. W przedpokoju i kuchni. Sufity będą licowane drewnem, a poza tym - boazerie. Ma taki segmentik... Każdy segmentik, Krzysztof sam to kiedyś zobaczy. Zaprosi go, kiedy się lepiej poznają.

- Czy to kosztowna rzecz? - pyta Krzysztof.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie mam pojęcia.

Kelner odszedł. Atakując swego pstrąga Łysawy omawia najbliższy wyjazd Krzysztofa, do Conchity, do Francji. Ładnie to namotali, z depeszą Krzysztofa, że odmówiono mu paszportu, ale będzie się odwoływał, z listem sugerującym cieniusiętko, że załatwia na podkadkę zaświadczenie lekarskie, poświadczone przez znajomego znajomego z Ministerstwa Zdrowia... niech TAM się nie zdziwiał, że tak łatwo udało mu się wyjechać. Teraz można już planować termin. Ale Łysawy uprzedza: zaczyna się ryzykowna gra! Czy Krzysztof lubi ryzyko?

- Od czasu do czasu.

- Francja to ciężki kraj. Już paru naszych agentów znaleźniono rozjechanych samochodami. "Wypadek drogowy", tak się to załatwia. No, i będzie się tam krzyżować żadne kilka wywiadów. Mocodawcy Sperlinga zrobią, co się da, żeby panu ułatwić kontakt z Bernardem, cholernie im na tym zależy, a oni umieją to robić. Tylko jedna rzecz. Pan wróci, prawda? Takich, którzy nie wracali, też znajdowano rozjechanych samochodami.

- Nie zamierzam nie wracać.

- Oczywiście. Przecież nie zostawiłby pan starej matki, w dodatku chorej, wiedząc, że biedaczka nigdy nie dostałaby w tej sytuacji zgody na wyjazd. Natomiast potem... potem, gdyby pan chciał wyjechać na staż, zabierają matkę, wystarczy poprosić. Będzie zgoda.

Krzysztof nabiera ziarnka groszku na widelec. Akurat, już wierzy!

Myśli o matce, przez sześć tygodni wydeptującej na próżno drogi do władzy i opozycji, wysyłającej pięć paczek, z których żadna do niego nie dotarła, czekającej w drugiej kolejce do więzienia, w którym już go nie było, dowiadującej się, że dawno został zwolniony i że ślad po nim zaginął... Powraca do niego niewyraźny, błady cień dawnej wściekłości. Miał szczęście, że TAMPO stało się z nią właśnie przed więzieniem, przy ludziach: gdyby zachcowała w domu, musiałyby umrzeć. Przy wyłączonych telefonach, sama, odcięta od świata, musiałyby umrzeć. Myśli o matce, wiedzącej już - powiedział jej - dlaczego go wzięli i dzięki czemu wyszedł; o matce, nie mogącej mu tego wybaczyć. Uduje tylko, że wybaczyła. Nawet w jej oczach jest zhańbiony. Podpisał! Mogąc być bohaterem, mogąc być męczennikiem, podpisał! "Oświadczam, że podejmuję współpracę..." I to z kim, z kim!

Łysawy kończy pstrąga. Tyle na teraz, szczegółowe instrukcje w ostatniej chwili. Można porozmawiać o sytuacji ogólnej.

Odkał ogłoszono, że internowani mogą swobodnie emigrować, tłumy ludzi błądzą, żeby ich internowano. Naiwni! Jasne przecież, że nie wystarczy być internowanym, żeby dostać paszport, tak się mówi tylko dla picu. Zamierzamy puścić tylko niektóre osoby, wierchuszkę "Solidarności". Jeżeli złączą podania o wyjazd... Ale ani im się śni. W ogóle nikt nie składa. Wszystkiego ożery osoby - na tyle tysięcy zapudłowanych! Cóż, skoro tak, będą procesy. Pożądają,

że nie poprosili o pozwolenie na emigrację.

Kelner przynosi kawę.

Łysawy ma osobistą prośbę do Krzysztofa. Taki inteligentny człowiek. Otóż on robi doktorat z terroru. I, psiaakrew, już przy definicji się rozkłada. Ze chińskiego boga nie może znaleźć dobrej definicji terroryzmu. A już w polskich warunkach... Na przykład te porwania samolotów, sporo ich było, czy to terroryzm?

- Skądże - mówi Krzysztof. - Te porwania nie były zjawiskiem politycznym. Nie kierowała nimi żadna organizacja. Po prostu, przy trudnościach z wyjazdem, ludzie chwyтали się jedynej możliwości, żeby uciec. Więc, bywało, porywali samoloty. Ale porwanie "terrorystyczne" wyglądałoby inaczej. O, na przykład tak: grupa ludzi uprowadza samolot, biorąc pasażerów na zakładników. I oznajmia, że ich zwolnią, jeśli władze zwolnią internowanych. Wymiana. Rozumie pan?

W oczach Łysawy pojawia się blask. Odsuwa od siebie filiżankę.

- Ależ to genialne! - woła. - Wymiana! Mamy sposób na naszą wierzuszkę! Wyrzucamy ich poza granice Polski na żądanie porywaczy, ich kompanów... dla ratowania życia niewinnych zakładników. Kobiet, dzieci. O, pan ma głowę! Trzeba było tak od razu... zamiast dawać im możliwość dobrowolnej emigracji. Nie, to jest pomysł!

Widać po nim, że już w duchu pisze raport do zwierzchników, że już marzą mu się awans i premia. Krzysztof przez chwilę żałuje, że cokolwiek powiedział, ale zaraz się pociesza. Na to za późno. Nie trzeba było rozgłaszać na wszystkie strony świata marzeń o deportacji politycznych.

- Nie chciałby pan pracować w policji? - pyta nagle Łysawy. - Może ma pan rację, paskudna robota. Ale jakąś stałą pracę warto by wziąć. Oczywiście z pracą przymusową nie będzie pan miał kłopotów... podpada pan pod odpowiedni paragraf, ale p a n a ciągać nie będą. Tylko... jak pan wyżyje? Ceny podwyższone trzy- cztery razy i więcej, pracy prawie nie ma, chaftur nie ma, zaczyna się bezrobocie... jak pan wyżyje? Znaleźlibyśmy dla pana coś dobrego. Sprawy kontaktów z zagranicą w Ministerstwie Kultury naprawde pana nie interesują? Byłby pan szefem. A może jakaś gazeta, którą będziemy wznowiać? Wymienia się całe redakcje, poszedłby pan od razu na kierownika działu, po roku wyżej. Albo...

- Dziękuję - mówi Krzysztof. - Chcę być wolny.

- W nędzy, ale wolny?

- Znalazłem sobie to zastępstwo w poradni przeciwalkoholowej, wie pan. Cztery godziny dziennie po trzy razy w tygodniu.

- Ależ to groszel!

- Mnie wystarczy.

Łysawy nie nalega. Idzie szukać kelnera. Krzysztof przyryka oczy. Przez chwilę jest znów w pokoju na Rakowieckiej. Bity, bity przez tamtego! Przez człowieka, przed którym teraz się czołga, do którego się uśmiecha! Znow mięknie mu kark, światło gaśnie, zapada ciemność.

Wciąż siedzi przy stoliku. To była chwila, mgnienie. Widzi swoje dłonie na białym obrusie. Jeżeli istnieje piekło - myśli głupio - już zostałem na wieki potępiony. Ta myśl przynosi mu ulgę. Za to, co teraz robi, zapłaci nie tylko zmarnowanym życiem; zapłaci wiecznością, czy to wystarczy? Czy to dobra cena? Pomyślcie o niej, zanim spluniecie z pogardy dla tchórze! Zna swoje dalsze losy; tym gorzej. Dość wiele czytał, żeby je znać. Byli już tacy jak on, wielu takich jak on. Ulegali, łudzili się. Bali się. Dawali się przekonać. Myśleli, że szpiegostwo jest czy innym, niż torturowanie chorych, bezbronych i skutych, niż robienie rewizji w mieszkaniach, niż czatowanie na rogach ulic; sam fakt, że to się dzieje w Buenos Aires, Paryżu, Pekinie miał wystarczać. Jakby to nie był ten sam resort! Myśleli, że odejdą po oddaniu TAMTYM jednej przysługi, po wykonaniu jednego zedania. Potem skakali z okien, odkrecali gaz, podcinali sobie żyły. Jego czeka to samo. Wie, na jaką drogę

wszedł, wie, co jest na jej końcu. Ofiara sprzymierzyła się z katem; i cóż spodziewa się przez to osiągnąć? Czy wszystko nie jest z góry przesądzone?
- Jeżeli kamień upadnie na jajko - biada jajku. Jeżeli jako upadnie na kamień - biada jajku

Powtórzył to perskie przysłowie bezwiednie i bezgłębnie, poruszając niemiłosiernie ustami z uniesioną ku twarzy ręką.

- Nad czym się pan tak zmyślił? Idziemy?

Owszem. Mogą iść.

.

W I E R S Z E-

X X X

Ani wczoraj, ani jutro, tylko dym,
Swad palących się ciał, map i czasu,
Jak wzniesiony miecz będzie się tlił
Wyrok, bez przyczyny i bez kresu.

Ani słowo, ani ręka, tylko mróz
W plecy dziecka śniegiem z pistoletu,
W twarz bijący zrozpaczony Bóg,
"Otsjuda wozwrata už nietu".

22 III 82

Melodia martwych pól
zabierze ci myśli.
Zabierze ci strach
spadający piach wieczoru.
Zamiast filozofii wybierzesz płaszcz.
Gdy będziesz wybierał, zawsze wybierzesz
dach nie dół, łyżkę nie nóż, papier nie krew.
Pisz listy, ocean cię przyjmie,
gościnnie, ciepły oprawco,
zbaw
beznadzieję.

MOJA SŁODKA OJCZYZNO

Urodziłem się w pociągu,
na ruchomej granicy,
jako żydowskie szczenię w kącie wagonu towarowego,
jako mówiący po polsku żołnierz Wehrmachtu
idący na Moskwę,
jako niewiadomego pochodzenia enkawudzista
strzelający do swoich przodków: Polaków,
Litwinów, Tatarów - szlachty z dwugłowym tyfusem
w herbie.
Urodziłem się na ich ruchomych grobach:
w Kazachstanie, na Litwie,
w Częstochowie, Krakowie, Katyniu, Londynie.
Oto moje obywatelstwo - twój wzniesiony
pod piersiami
brzuch /Anusiu, matko/.
/Moja Niewidzialna Ojczyzno,
bądźmy sobie wierni/
To już nie nie znaczy.

OSZCZĘDZIŁES MNIE

Rozpaczalbym, ale nie przebaczyłyby mi tego mróz
i zamieć.
Mógłbym zapisać Zawsze /śmierć, poniżenie,
strach/.
Ale nie wybaczłyby mi tego mury, judasz
i kraty.
Nie krzyżożę,
żeby cię obrazić, oszroniony
olbrzymie, tajgo mowy poetów.

/Głodny i opuszczony za mnie śpiewa psalm/.

Boję się. Nikt
dotyka mnie.
I świetliste królestwa zawieszają
u stóp.

X X X

/Skończyło się, Polaczku./ I patos
i ból. Żadnej roli nie zostawiono
dla ciebie.
Ani żałosnej maski, ani tragicznego losu.
Boś ani zapomniany cień,
ani samotny wygnaniec.
Ani duch, ani zagiew.
Aniś jest przeklęty, ani wywyższony.
/Skończyło się./ Nio
nie zostało powiedziane
w żadnym z języków.
Jak nad grobem samobójcy,
modli się nad tobą ukradkiem
oszałała Matka.

ŻADNEJ OFIARY

Cywilizacja jest zimne powietrze.
Ale nie można mylić chłodu betonu z chłodem
refleksji. Miłosierdzia dni
Z jasną godziną modlitwy.
Czymże bowiem jest słońce, które nie otworzyło
jeszcze cytrynowych podbiałów, przycupniętych
pod murem spacernika.
Odrobiną soli na języku? Nieskończoną
wędrówką serca? Obietnicą wolnej
śmierci?
Bo przecież za chwilę możesz stracić wzrok i pamięć,
i będziesz tłuki blaszaną miską w drzwi
i krzychał: gestapo,
i nie wiadomo co jeszcze
/Sen
jest cywilizacją./ Wiatr.

Chłodna jest noc, nad drzwiami krzyż,
zanim się odwrócisz i zamienisz w sól
nie rób nic, co by zburzyło cudowny porządek
wszechświata milionów drobni kurzu
wibrujących w promieniu światła.
Przebacz mi, zapamiętaj
o sobie.

X X X

Nie pisz nic. Niech mówią inni,
i chociażby nigdy nie używali słów
rewolucja, wolność, godność poniżenie,
choćby ich języki były tylko mięsem
a nie cytrami i o mieczami, pozwól,
niech mówią. Niech płynie krew
i ogień, niech grubieje
pień lipy, niech wędruje woda i owoc.
Nie zatrzymuj serca, niech pije i słucha.

OTWORZY CIĘ MIECZ

Rozmyślałam o Tobie, a więc jeszcze żyję.

Jest tak jakbym bał się nędzy, zimna, głodu.

To banalne, człowieku, ale jest tak jakbym bał się ciepła albo szczęścia.

Rozmyślałam o śmierci jak piętnastolatek, który nigdy nie dotknie dojrzałej kobiety.

Wstał dzień dwudziesty pierwszy miłosnego czerwca.

Dzień niejasnej rozmowy z nieobecnymi?
Z matką-ścianą? gorączką?

Spią wkoło więźniowie.

To tylko wiem, czego deszcz przypadkowych słów nie wypłakał ze mnie.

/Nie potrafiłam Cię kochać/

Reszta jest wapnem, gliną i zamrzniętym czasem.

Otwórz się, oniemiała, ociemniała
chwilo

MOWILIŚMY PROSTYM JĘZYKIEM ŻYWIŁÓW

Widzę i opisuję:

białe niebo, brunatna herbata w niebieskawym słoiku,
zielony pęd cebuli w metalowej puszcze.

Woda i mleko,

gołe drewno i nagły beton

niemo leżące w niepewnym bezruchu.

Staram się zrozumieć:

Biel chromowa to jest /to może być/ kobieta, choroba,
utrata tchu, sen?

Niedokończona rozmowa, ból, policzek dziecka,
pożegnany list, obietnica /to może być/ to jest

cynober, ostry i bezwstydy?

A głód - jasnyniebieski? bez zapachu? bezbarwny? zóć?
sadza?

A siena palona /drzwi?/, błękit paryski /judasz?/

Mówisz tak prosto, ziemio, a przecież nie rozumiem,
chłodna, śpiąca /Ojczyzno/.

Przeminałam - istnieję, narodzony - niebyły. Wiem,
co cichutko szepczesz?

choć nie powtórzę
ani jednego słowa.

Rozmawiały kamienie, słuchały zwierzęta,
obłok pokazał drogę i poszła tam

ciemność.

Pisane 1981-82

WŁADIMIR BUKOWSKI

RUCH POKOJU A ZWIĄZEK RADZIECKI

Pokój będzie zachowany i umocniony, jeżeli narody wezmą sprawę pokoju w swoje ręce i będą broniły jej do końca.

Józef Stalin, 1952

I

Walka o pokój zawsze była podwaliną sowieckiej polityki zagranicznej. Właściwie sam Związek Sowiecki powstał z popiołów I wojny światowej pod hasłami: "Pokój ludowi. Władza Sowieciom". Prawdopodobnie od samego początku ideolodzy sowieccy uświadamiali sobie, jak potężną broń może stanowić powszechne pragnienie pokoju - jak łatwowierni i nierozsądni mogą być ludzie, kiedy da im się choćby najsłabsze podstawy do nadziei, że pokój jest bliski.

Jeszcze przedtem, nim bolszewicy podnieśli swój sztandar, dla każdego Rosjanina najstraszniejszą perspektywą było palenie wsi i profanowanie kościołów przez nieprzyjaciela. Jednak oślepiiony hasłem: "Sprawiedliwy pokój bez aneksji i kontrybucji", ruszył z frontu razem z setkami tysięcy towarzyszy broni, zmiatając ostatnie pozostałości rosyjskiego państwa narodowego. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że jedynym skutkiem jego dezercji było przedłużenie wojny o dalszy rok, co nie tylko pochłonęło tysiące nowych ofiar na froncie zachodnim, ale także poddało Ukrainę i Rosję okupacji, której tak się lękał rok wcześniej. Na razie liczyła się tylko jedna rzecz - natychmiast i za wszelką cenę.

Mało kto z uczestników masowej ucieczki z frontu w 1917 roku wiedział cokolwiek o ideologii komunistycznej - poza może kilkoma sloganami i tym jednym zapalnym słowem: Pokój. W siedemdziesięciomilionowym kraju było tylko czterdzieści tysięcy komunistów. Każdy, kto zadał sobie trud przeczytania komunistycznych "drobnych druków", mógł stwierdzić, że to, co jego przyszli władcy nazywali "pokojem", nie było wcale pokojem, ale "przekształceniem wojny imperialistycznej w wojnę domową".

W każdym razie naród rosyjski miał tak dosyć wojny, że nie dbał o nic. Wszystko wydawało się lepsze czy przynajmniej nie gorsze. Jednak po trzech latach wojny domowej, w której około dwudziestu milionów ludzi zostało zamordowanych, zmarło od głodu, zimna i tyfusu /to znaczy d z i e s i ę ć razy więcej, niż zginęło na froncie/, wojna zaczęła się jawić jako bagatelka, jakaś potyczka w dalekich bagnach Białorusi.

I jeszcze raz nieodparte pragnienie pokoju skłoniło ludzi do aprobowania władzy sowieckiej - jako mniejszego zła. Wszystko było teraz lepsze od tej potwornej rzezi, głodu i tyfusu. Oddaliby wszystko za jakikolwiek porządek.

Porządek narzucony przez komunistów nie był niczym więcej jak tylko trwałym stanem wojny domowej, zarówno w samym kraju, jak i na świecie. Albo też, według słów Lenina, "Jako cel ostateczny pokój oznacza po prostu panowanie komunizmu nad światem". Zatem kiedy towarzysz Cziołżerin na konferencji w Genewie w 1922 roku wygłaszał apel do całego świata o całkowite i natychmiastowe rozbrojenie, tłumy otumanionych ludzi w Związku Sowieckim maszerowały w takt radosnej pieśni:

Rozniecimy ogień na całym świecie,
Kościoły i więzienia zrównamy z ziemią.
Armia Czerwona jest najsilniejsza
Od Moskwy do wysp Brytyjskich.

Istotnie, kościoły pierwsze miały oddane na pastwę płomieni. Natomiast co do więzień komunistów nie spieszyli się ze spełnieniem swojej świątej obiet-

nicy. Stało się przeciwnie: liczba więźniów wzrastała corocznie, aby pomieścić dziesiątki milionów "wrogów klasowych" czy "wrogów ludu". A jeżeli chodzi o rozniecenie ognia na całym świecie, to wystarczy porównać mapę świata z 1921 roku z mapą z 1981 roku, aby się przekonać, że obietnica zawarta w pieśni, nie była całkowicie pusta.

Raz poznawszy się broni, jaką stanowi "pokój", komuniści nigdy jej nie odłożyli. Trzeba przyznać, że w tym rozumieniu polityka sowiecka była nieodmiennie najbardziej "pokojowa". Musimy jednocześnie pamiętać, że zgodnie z komunistycznym dogmatem wojny stanowią "nieuchronny wynik konfliktu imperialistycznych interesów w ustroju kapitalistycznym", a więc będą nieuniknione, póki będzie istniał kapitalizm. Zatem jedynym sposobem uchronienia ludzkości od zła wojen jest "wyzwolenie" jej z "okowów kapitalizmu". Zgodnie z tym istniejącej bardzo ściśle rozróżnienie między wojnami "sprawiedliwymi" i "niesprawiedliwymi". "Wojny sprawiedliwe" to te, które toczy się w "interese proletariatu". Jest to doskonale proste i doskonale jasne. Wojny sprawiedliwe są całkowicie usprawiedliwione, bowiem prowadzą do stworzenia świata, w którym już nigdy nie będzie wojen. Wszyscy proletariusze są braćmi, czyż nie tak? Wtem skoro świat będzie wolny od kapitalistów, imperialistów i innych wrogów klasowych, po co pozostali mieliby walczyć ze sobą?

Według tej samej nieskazitelnej logiki interesy proletariatu najlepiej reprezentuje awangarda proletariatu, to znaczy partia komunistyczna, i powinien je określać Lenin, Stalin, Chruszczow, Breżniew, ponieważ oni z kolei stanowią awangardę partii komunistycznej.

Skoro dobrnęliśmy do tej formuły i rozszyfrowali jej terminologię, bieg historii staje się całkowicie jasny. Na przykład sowiecka okupacja państw bałtyckich i Besarabii, czy wojna z Finlandią w latach 1939-1940, była oczywiście całkowicie sprawiedliwa, tak jak rozbiór Polski dokonany na spółkę z hitlerowskimi Niemcami w 1939 roku. Natomiast napaść hitlerowska na Związek Sowiecki w 1941 roku była rażąco niesprawiedliwa. Na tej samej zasadzie wszelka napaść Arabów na Izrael jest sprawiedliwa, przynajmniej póki zostaje niewieczona powodzeniem. Natomiast jeżeli obrona Izraela przed napaścią jest skuteczna, to wszystkie narody miłujące pokój muszą podnieść sprzeciw.

Rozumie się samo przez się, że światowa opinia publiczna musi aprobować przedstawione wyżej rozróżnienie i potwierdzać je wszelkimi wysiłkami podejmowanymi w walce o pokój. Na szczęście istnieje na świecie wielka liczba ludzi "postępowych", dla których wszelka linia ustalona przez Kreml jest postępową, bowiem z definicji jest przyjęta w interesie socjalizmu. Zatem przed podpisaniem w 1939 roku paktu Ribbentrop-Mołotow energia wszystkich postępowych ludzi była zmobilizowana przeciwko faszystowskiemu, czy to w Hiszpanii, w Rosji, czy w Niemczech. Kiedy tylko podpisano pakt, pojęcie o tym, co postępowe, a co nie, zmieniło się radykalnie.

Na przykład 2 lutego 1940 roku przywódca niemieckich komunistów, Walterowi Ulbrichtowi, który później miał zostać głową państwa wschodniemieckiego, przed hitlerowskimi zezwolił na ogłoszenie w "Die Welt" artykułu, gdzie pisał: "Ci, którzy intrygują przeciwko przyjaźni narodu niemieckiego i sowieckiego, są wrogami narodu niemieckiego i stają się współnikami brytyjskiego imperializmu".

Brytyjski "Daily Worker" zajął podobne stanowisko i powitał nowy sojusz jako zwycięstwo pokoju, podobnie jak amerykański "Daily Worker". Dnia 19 września 1939 roku, kiedy w Polsce szalała wojna, pismo to ogłosiło deklarację Krajowego Komitetu Amerykańskiej Partii Komunistycznej, określającą konflikt Francji i Wielkiej Brytanii z Niemcami jako wojnę imperialistyczną /to znaczy "niesprawiedliwą"/, której robotnicy powinni się przeciwstawić. Apel ten został natychmiast poparty przez sprzymierzeńców partii jak Theodore Dreiser, a komunistyczne związki zawodowe zaczęły sabotować produkcję w fab-

żykach zbrojeniowych, aby Wielka Brytania i Francja nie otrzymały pomocy. Aż do momentu napaści niemieckiej na Rosję propaganda komunistyczna robiła wszystko, co możliwe, aby odwieść Stany Zjednoczone od pomagania europejskim demokracjom w wojnie przeciwko hitlerowskim Niemcom. O tych kartach historii chwalebnej "walki o pokój" postępowych sił społecznych mało się teraz mówi, zwłaszcza kiedy może usłyszeć młodzież.

Jednakże nigdzie owa "walka o pokój" nie miała takich wpływów jak we Francji, gdzie partia komunistyczna i jej sprzymierzeńcy przed niemieckim najazdem na Francję przyjmowali postawę otwarcie defetystyczną i trwali przy niej w czasie najazdu i jakiś czas po jego zakończeniu. Francuska partia komunistyczna, dysponująca całkiem znaczną siłą, tak energicznie przeciwdziałała francuskiemu wysiłkowi wojennemu, że zasługiwała na mianc piątej kolumny. W ciągu miesiąca od wypowiedzenia wojny przez Francję przywódca partii, Maurice Thorez, czmychnął do Moskwy, aby kierować oporem przeciwko francuskim przygotowaniom wojennym. W listopadzie 1940 roku Thorez i jego kolega Duclos otwarcie triumfowali na wieść o upadku Francji. Thorez oświadczył, że "walka ludu francuskiego ma ten sam cel co walka niemieckiego imperializmu".

Sojusz francusko-niemiecki, do którego odwoływał się Thorez, wyraził się w konkretnych formach. Niemieckie ulotki propagandowe zrzucając na linię Maginota głosziły, że "Niemcy, po zwycięstwie nad Polską i dzięki paktowi z Rosją, dysponują niewyczerpanymi zasobami ludzkimi i surowcowymi", a wszyscy deputowani komunistyczni do parlamentu wezwali prezydenta Herriota, aby odpowiedział przychylnie na apel Hitlera o pokój. Po zakazie wydawania pism komunistycznych we Francji partia zaczęła drukować swoje publikacje propagandowe w Niemczech. Ulotki komunistyczne wzywały wojsko, portowców i innych robotników pracujących w kluczowych zakładach zbrojeniowych do oporu i sabotowania wysiłku wojennego. W marcu 1940 roku ulotka partyjna przechwalała się, że niepowodzenie Sprzymierzonych w podjęciu ofensywy dowodzi skuteczności partyjnej propagandy defetystycznej. Rzeczywiście nie można wątpić, że skuteczne szeregienie defetystów wraz z poważnymi kampaniami sabotażowymi w zakładach zbrojeniowych odegrało poważną rolę w katastrofalnej klęsce Francji w czerwcu 1940 roku.

W tym samym czasie, kiedy generał de Gaulle w Londynie ogłaszał swoje wezwanie do oporu, francuski dziennik komunistyczny "L'Humanité", pisał: "Generał de Gaulle wraz z innymi agentami kapitału brytyjskiego chciałby skłonić Francuzów do walki o City..."

Później Chruszczow wspominał: "Stalin powiedział mi kiedyś, że Hitler poprosił go tajnymi kanałami o pewną uprzejmość. Chciał, żeby Stalin, jako człowiek o największym autorytecie w świecie komunistycznym, skłonił komunistów francuskich, aby nie prowadzili oporu przeciwko niemieckiej okupacji Francji". Prośba Hitlera niewątpliwie nie epotkała się z odmową.

Nawet w Jugosławii, gdzie ruch komunistyczny skupił wszystkie wysiłki na oczernianiu Brytyjczyków i Francuzów, pierwsze wezwanie Tity do walki z niemieckimi najeźdźcami ukazało się dopiero po 22 czerwca 1941 roku. Nie niemiecki podbój Jugosławii obudził jego gniew, ale napaść Hitlera na Związek Sowiecki. Nawet w odległym Buenos Aires brytyjski dyplomata zanotował, że dyplomaci hitlerowscy "współpracowali z miejscowymi komunistami w bardzo niebezpiecznym zamiarze pozyskania dla nas hasła: Prez z brytyjskim kapitalizmem i wysysaniem handlowym".

Skoro tylko hitlerowskie Niemcy zwróciły się przeciwko swojemu wielkiemu wschodniemu sprzymierzeńcowi, "walka o pokój" natychmiast się zakończyła. Nagły wybuch patriotyzmu wśród "postępowych sił społecznych" był doprawdy zdumiewający. Żadnych strajków, żadnych potępień zachodniego imperializmu - tak jak gdyby nigdy nie istniał. Do końca II wojny światowej Sprzymierzeni szczęśliwie zażywali pokoju społecznego i osłabienia walki klasowej. Po prostu wojna stała się wojną "sprawiedliwą".

Osobliwa rzecz, że pragnienie pokoju zamartwychwało krótko po wojnie,

kiedy Związek Sowiecki pochłaniał całą grupę krajów Europy Środkowej i zagrażał zagarnięciem reszty kontynentu. Wtedy niektórzy "imperialistyczni podżegacze wojenni" podnieśli alarm z powodu postępowania Sowietów, a nawet zaczęli do stworzenia "bardzo agresywnego" sojuszu NATO. "Reakcyjne siły" na całym świecie rozpoczęły "zimną wojnę". Ponadto Związek Sowiecki był kłopotliwie zacofany w porównaniu z USA w rozwoju broni nuklearnych. Jednakże z jakichś dziwnych powodów "imperialistyczny kompleks wojskowo-przemysłowy" - wszyscy ci doktorzy Strangelove - jakoś nie rzucili na Moskwę bomby, kiedy jeszcze cieszyli się monopolem atomowym. Można to niewątpliwie poczytać za sukces wielkiego ruchu ludzi miłujących pokój. Bo jakże inaczej można by to wytłumaczyć, poza reakcyjną tezą, że generałowie NATO nie mieli bynajmniej agresywnych zamiarów?

W każdym razie należący do starszego pokolenia jeszcze pamiętają marsze, wiece i apele lat pięćdziesiątych /zwłaszcza słynny Apel Sztokholmski i niezmordowaną Światową Radę Pokoju/. Nis jest teraz żadną tajemnicą, że cała kampania była organizowana, prowadzona i finansowana z Moskwy przez tzw. Fundusz Pokoju i opianowaną przez Moskwę Światową Radę Pokoju - gdzie bezpieczną większość zapewniały takie postaci, jak Ilija Erenburg, N.A. Tichonow itd. W tym właśnie czasie towarzysz Stalin przedstawił swój pamiętny przepis na pokój, który stanowi motto tego artykułu. Sformułowanie Stalina zostało z entuzjazmem przyjęte przez miliony ludzi, do których należeli komuniści, ich lojalni sprzymierzeńcy, pewna liczba otumanionych intelektualistów czy hipokrytów gonionych za popularnością - nie wspominając o zawodowych organizatorach, nieuleczalnych głupcach, młodych ludziach chętnych do buntu przeciwko ozemkulkowi, i zwykłych agentach sowieckich. Niespodziewanie okazało się, że ta dziwna mieszanina stanowi znaczny odłam ludności każdego zachodniego kraju i nowa kampania pokojowa natychmiast osiągnęła imponujące rozmiary. Przyłączenie się do niej było w dobrym tonie, a rezerwa nieco ryzykowna.

Cel całej tej orgii pokojowej był znakomicie wykalkulowany na Kremlu. Po pierwsze zagrożenie wojną atomową /o czym Sowiety przypominały wywołując regularnie kryzysy międzynarodowe/ połączone z rozmiarami ruchu obrońców pokoju powinno zarówno zastraszyć burżuazję, jak i ułagodzić ją. Po drugie, niedawne ujerzwienie krajów Europy Środkowej mogło być gładziej aprobowane przez opinię zachodnią i szybko zapomniane. Po trzecie, ruch powinien wnieść wśród Europejczyków antyamerykańskie nastroje oraz brak zaufania do własnych rządów, co przesunęłoby sympatie polityczne w stronę Lewicy. Po czwarte, powinien sprawić, że wydatki zbrojeniowe i instalowanie broni atomowej stałoby się tak niepopularne, tak kłopotliwe politycznie, że w rezultacie proces wzmacniania obrony Zachodu zostałby przyhamowany, co dałoby Sowietom niezbędny czas na odrobienie zaległości. Po piąte, skoro opisana wyżej szczególna mieszanina durniów i łotrów rekrutuje się zwykle z najaktywniejszych warstw społeczeństwa, jej aktywność powinna zostać właściwie pokierowana.

Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Pieniądze sowieckie zostały niewątpliwie dobrze wydane. Podejmowanie Związku Sowieckiego jako sprzymierzeńca Zachodu /a nie Niemiec hitlerowskich/ było jeszcze świeże i niewątpliwie przyczyniło się do powodenia "walki o pokój".

Później śmierć Stalina, szok wywołany oficjalnym ujawnieniem jego zbrodni, Chruszczowska "odwilż" w stosunkach międzynarodowych, a przede wszystkim okoliczność, że Sowiety dogonili Zachód w broniach jądrowych, miały wywołać czasową wzbudność ruchu obrońców pokoju; znikł równie nagle, jak kiedyś się pojawił. Ponadto ułomność ekonomiki sowieckiej jeszcze raz przywiodła ją na skraj katastrofy. Związek Sowiecki rozpaczliwie zaprzagnął zachodnich towarów, zachodniej techniki i kredytów. Bez nich niezbędna byłaby bardzo głęboka reforma gospodarcza, zagrażająca panowaniu partii nad całym życiem gospodarczym Związku Sowieckiego. Jednocześnie dla Sowietów ważne było że strategicznych względów uprawnocnienie swoich zdobyczy terytorialnych w Europie Wschodniej i zapewnienie sobie możliwości dalszych podbojów. Trzeba było czegoś nowego. W głębinach Kremla narodziła się doktryna odprężenia.

Choć ruch obronców został odłożony do lodówki, sama sprawa pokoju pozostała ośrodkiem również tej nowej polityki Kremla. Zachód był tak wyczerpany stałym napięciem poprzednich dziesięcioleci, że ukazywana przez Kreml pokusa odprężenia była po prostu nieodparta. A po dziesięciu latach bezwzględnej "walki o pokój" żaden rząd zachodni nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie propozycji ograniczenia wyścigu zbrojeń, chociaż niektórzy z nich wiedzieli, że byłoby błędem starać się o porozumienie z Sowiecami, kiedy pozostała w mocy agresywna istota władzy komunistycznej. Chyba tego rodzaju świadomością można wyjaśnić, dlaczego rządy zachodnie upierały się przy połączeniu uczestnictwa w porozumieniach helsińskich z przestrzeganiem konwencji o prawach człowieka wewnątrz bloku komunistycznego. Zamierzały one wymusić zmniejszenie wewnętrznego ucisku przez władze sowieckie i uczynienie ich w ten sposób bardziej otwartymi i mniej agresywnymi. W zamian za to Zachód zapewnił prawie wszystko, czego domagał się Breżniew w swoim "programie pokoju" na XXIV Zjeździe Partii w 1971 roku. "Nienaruszalność powojennych granic w Europie" - czyli uprawomocnienie sowieckich zdobyczy terytorialnych między 1939 a 1948 rokiem - a także znaczne zwiększenie gospodarczej, naukowej i kulturalnej współpracy zostało uroczyste zapewnione przez kraje zachodnie w Helsinkach w 1975 roku. Poprzednio oddzielny traktat zatwierdził sztuczny podział Niemiec bez najmniejszej wzmianki o murze berlińskim.

Zachodnie demokracje ujawniły taką gotowość do ustępstw na rzecz sowieckich partnerów, że ich zachowanie odczytano jako słabość. Może najbardziej odrażająca strona odprężenia uwidoczniła się w Niemczech, gdzie "swobodny przepływ ludzi i idei" wyrodził się bardzo szybko w handlowanie ludźmi jak bydłem, a prawo do odwieczną krewnych na wschodzie stało się rodzajem nagrody za "dobre sprawowanie" rządu Niemiec Zachodnich. Wykorzystujący ten czuły punkt Sowietci mogli szantażować całe państwo i "modyfikować" politykę jego rządu. Niestety, Niemcy stanowią decydujący czynnik w stosunkach Wschód-Zachód, bowiem aby uniknąć poważnego rozłam w sojuszu zachodnim, inni jego uczestnicy muszą dostosowywać swoje stanowisko do polityki Niemiec. Tym sposobem nacisk Sowietów docierał tylnymi drzwiami a Zachód został politycznie sparaliżowany.

Ponadto nie tylko Sowiety nie zostały uzależnione - o nam obiecywali zwolennicy odprężenia - ale zwiększenie wymiany handlowej, a zwłaszcza wielkie kredyty zachodnie sprawiły, że Zachód stał się coraz bardziej zależny od Związku Sowieckiego. Rozmiary tej katastrofy dały się poznać całkiem niedawno, kiedy rozważanie sankcji ekonomicznych przeciwko wojskowemu rządowi Polski i ich sowieckim zwierzchnikom ujawniło niezdolność krajów zachodnich do zredukowania raz nawiazanych stosunków gospodarczych z blokiem wschodnim bez wyrządzenia sobie jeszcze większej szkody. W rzeczywistości to Sowiety mają teraz możliwość grożenia Zachodowi sankcjami gospodarczymi. Niewątpliwie bardzo szybko skorzystają z tej możliwości.

Tymczasem władze sowieckie, dalekie od zelżenia wewnętrznego ucisku, nasiliły swoją politykę represyjną, całkowicie lekceważąc słabe protesty Zachodu przeciw gwałceniu porozumień o prawach człowieka. Słabość tych protestów posłużyła z kolei władzom sowieckim jako dalsza zachęta do kontynuowania polityki represji bez skrupułów. Natomiast wojna ideologiczna, którą Sowiety prowadziły przez wszystkie dawniejsze lata, tylko nasiliła się w epoce odprężenia. Zresztą nie tały one tej wojnowości. Przeciwnie, w referacie na XXV Zjeździe Partii, 24 lutego 1977 roku Leonid Breżniew oświadczył otwarcie: "...nie ma najmniejszych wątpliwości, że odprężenie i pokojowe współistnienie odnosi się tylko do stosunków między państwowych. Odprężenie w żaden sposób nie zawiesza ani nie może zawiesić praw walki klasowej".

Ponadto zwiększając w ciągu tych lat wydatki zbrojeniowe i zbrojenia zamiast je redukować, co uczyniły kraje zachodnie, Związek Sowiecki wykorzystał odprężenie na Zachodzie i znacznie powiększył swój arsenał. Jeżeli w latach sześćdziesiątych można było powiedzieć, że osiągnięto pewną równowagę między Wschodem a Zachodem, to teraz Sowiety uzyskały niewątpliwą przewagę. Wiemy

też teraz, że korzyści czerpane przez Związek Sowiecki z handlu z Zachodem były z reguły kierowane na użytek wojska. Na przykład fabryka samochodów ciężarowych nad Kamą zbudowana przez Amerykanów w latach siedemdziesiątych ostatnio zaczęła produkować samochody, które zaobserwowano w najeździe sowieckim na Afganistan.

Pod koniec lat siedemdziesiątych Zachód coraz wyraźniej uświadamiał sobie ten groźny rozwój wydarzeń. Pożyteczność odprężenia długo podawana w wątpliwą przez nielicznych, została teraz zakwestionowana przez wielu. A potem nastąpił ostateczny cios - na Boże Narodzenie 1979 roku. Akurat w chwili, kiedy większość ludzi na Zachodzie zajmowało się takimi sprawami jak święteczne karty i prezenty, około stu tysięcy żołnierzy sowieckich wkroczyło do sąsiedniego Afganistanu, kraju oficjalnie "niezaangażowanego", z ludnością liczącą około 17 milionów. Świat oszupiał a ZSRR natychmiast znalazł się w izolacji. Nawet partie komunistyczne wielu krajów potępiły akcję sowiecką, jako przypadek brutalnej agresji. Napaść na Afganistan oraz późniejsze nieuzasadnione skazanie na wewnętrzne wygnanie laureata nagrody Nobla, Andrzeja Sacharowa, i jeszcze późniejsze zagrożenie najazdem Polsce /co doprowadziło w końcu do wprowadzenia stanu wojennego/ właściwie zakończyło epokę odprężenia.

Zakończenie to kosztowało Sowiety drogą. Właściwie stracili prawie wszystko, co udało im się stopniowo zyskać w czasie, gdy Zachód cieszył się swoim jednostronnym odprężeniem. Ratyfikacja układu SALT II została bezterminowo odłożona. Amerykanie obudzili się z długiego uśpienia i odkryli z przerażeniem, jak słaby, niesprawy i nieproduktywny stał się ich kraj. W tej nowej atmosferze psychologicznej zwycięstwo Ronalda Regana było nieuniknione, bowiem zapowiadało poćwienienie kresu amerykańskim cięciom w zbrojeniach, wprowadzenie nowej, poprzednio odkładanej generacji broni, jak bombowiec B-1, pociski manewrujące, rakiety MX i bomba neutronowa. Wydawało się również nieuniknione zwiększenie budżetów wojskowych wszystkich krajów zachodnich i zredukowanie czy przynajmniej utrudnianie zawierania umów handlowych, technicznych i kredytowych ze Związkiem Sowieckim.

Gdyby trwano przy tym stanowisku, Sowiety utraciliby swoją przewagę militarną - zwłaszcza wobec faktu, że ich gospodarka jest o wiele mniej wydajna od gospodarki "zgniłego kapitalizmu". Dodając do tego nową falę wrogości na całym świecie, dostrzegalną zwłaszcza w świecie Islamu /Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych głosowało przeciwko Sowietom w sprawie Afganistanu po raz pierwszy od czasu wojny koreańskiej/, przeciągający się kryzys w Polsce, beznadziejną wojnę w Afganistanie i rosnący niepokój wśród własnej ludności wywołany niedostatkami artykułów żywnościowych, otrzymany obraz tak ponury, że po prostu bliski rozkładu. Władcy sowieccy musieli podjąć jakieś zdecydowane kroki, żeby zapobiec totalnej katastrofie.

Muszę wyznać, że nie bardzo się zdziwiłem, kiedy w ciągu roku w Zachodniej Europie powstał potężny ruch pokoju. Zwłaszcza kiedy, dziwnym zbiegiem okoliczności, ruch ten pojawił się najpierw w tych krajach europejskich, gdzie stare rakiety miałyby zostać zastąpione nowszymi Pershingami i pociskami manewrującymi. Nie przypisuję sobie posiadania jakiegos daru proroczego; po prostu po trzydziestu czterech latach życia w mojej ukochanej komunistycznej ojczyźnie orientuję się nieco w zasobie podstępów, kawałów i sztuczek jej rządu. Właściwie nie było specjalnie trudno to przewidzieć, bowiem państwo sowieckie nie jest szczególnie rozwiniętym umysłowo stworzeniem. Niewiele pomylimy się wyobrażając go sobie jako wielkiego, beźmózgłego, przedpotopowego gada z bardziej lub mniej stałym zespołem odruchów. "No tak - pomyślałem sobie - więc znów jesteśmy w latach pięćdziesiątych."

O wiele zabawniejsze było obserwowanie, jak tysiące ludzi rzekomo dojrzałych i odpowiedzialnych wpadało w sowiecką pułapkę. Wydawało się, że historia na nowo rozwijała się przed naszymi oczami, oczalając nam zobaczyć jeszcze raz upadek państwa rosyjskiego w 1917 roku czy klęskę Francji w 1940. Całkiem zabawne jest również /dla kogoś, kto lubi takie rozrywki/ uświadamianie sobie, w jakim stopniu ludzie są właściwie niezdolni do wyciągania jakichkolwiek

pozytecznych nauk z choćby najwześniejszych lekcji historii. Jeszcze raz powtórzę pragnienie pokoju, natychmiast, w tej chwili i za każdą cenę, sprawko, że ludzie stali się nielogiczni, nierozumni i po prostu niezgodni do spokojnego myślenia. Ich obecna argumentacja, jeżeli można to tak nazwać, jest tak dziecinna, absurdalna i egoistyczna, że bezwiedny uśmiech pojawia się na wargach. W najlepszym wypadku słyszy się małpowanie starych, zapleśniałych sowieckich sloganów i stereotypów, z których śmiałyby się nawet dzieci w Związku Sowieckim.

Na początek zastanówmy się, dlaczego wszyscy tak nagle zaniepokoiли się znowu wojną jądrową? Czy stało się coś, co uczyniło ją dziś bardziej prawdopodobną niż dwa czy trzy lata temu? Cała historia stosunków Wschód-Zachód świadczy, że jedynym sposobem zmuszenia Sowieców do przestrzegania porozumień jest występowanie z pozycji siły. Czy wbrew temu mamy rozumieć, że to wojna jądrowa znowu się urealnia, bo Sowiety mają utracić przewagę militarną? Jeżeli doprowadzimy to założenie do logicznego wniosku, to stwierdzimy, że jedyną gwarancją pokoju jest przewaga wojskowa Związku Sowieckiego.

Tymczasem pojawiły się nagle niezliczone programy telewizyjne, ukazujące nam wielkie skarby naszej cywilizacji - obrazy, rzeźby, piramidy, zabytki itd. - a na końcu każdego z tych programów prowadzący audycję głosem drżącym od szlachetnego oburzenia uświadamia nam, jak potworne byłoby, gdyby wszystkie te skarby miały zostać zniszczone razem z wielką cywilizacją, która je stworzyła. A w innych kanałach częściej się nas kolejnymi filmami dokumentującymi wybuchy jądrowe i skutki promieniowania. Nic dziwnego, że po takim nieustrudzonym programowaniu badania opinii publicznej dowodzą nagłego wzrostu liczby ludzi przekonanych o groźbie wojny jądrowej.

Pojawia się również chytyliwa idea, że "Nasz środek odstraszenia przestał odstraszać". Dlaczego to? Czy wojna jądrowa już się rozpoczęła? Czy Sowiety napadły na jakiś kraj NATO? Czy po prostu dlatego, że ci, którzy mówią o utracie przez środek odstraszcający jego właściwości, obejrżeli już odpowiednią ilość telewizyjnych wybuchów jądrowych?

Łatwo wzbudzić popłoch. Chodzi tylko o to, komu ten popłoch służy. Oprowadzając przez Sowiety Światowa Rada Pokoju ogłosiła w 1980 roku /a cały europejski ruch pokoju powtarza, jak gdyby w hipnotycznym oczarowaniu/, że "Narody świata są zaniepokojone. Nigdy dotychczas nie było tak wielkiego zagrożenia jądrową zagładą świata. Zbrojenia jądrowe, nagromadzenie śmiercionośnych arsenałów osiągnęło punkt krytyczny. Dalsza eskalacja zbrojeń może stworzyć skrajnie niebezpieczną sytuację, stawiając ludzkość wobec groźby unicestwienia".

Nigdy dotychczas. Ale czy rok wcześniej świat nie był tak samo zagrożony? Przywódcy europejskiego ruchu pokoju sami głoszą, że potencjał nuklearny nagromadzony po obu stronach wystarcza do dziesięciokrotnego zniszczenia przeciwnika. Czy istnieje zatem jakaś techniczna przyczyna, dla której "dwudziestokrotne zniszczenie" jest bardziej niebezpieczne niż, powiedzmy "pięciokrotne"? Albo może jest tak, że podobnie jak sam ładunek jądrowy, nagromadzenie musi osiągnąć jakąś "masę krytyczną", żeby wybuchnąć?

Z jakiejś przyczyny w toku całej tej jądrowej histerii najwidoczniej całkowicie zapomniano, że same bomby są zupełnie nieszkodliwe, póki ktoś nie zechce ich użyć. Dlaczego zatem nagle zaniepokoił się składem żelastwa, a nie ruchem wojsk sowieckich w kierunku zatoki Perskiej?

Zupełnie niespodziewanie zaczęto również wykrzykiwać zgodnym chórem: "Bronie jądrowe są niemoralne". Chwileczkę. Czy one teraz zaczęły być niemoralne? A czy broń konwencjonalna jest moralna? Dlaczego ta idea przyszła jednocześnie do głowy tak wielu ludziom? Hejmy jeszcze przykład rozmieszczenia nowych pocisków w Europie. Dlaczego bardziej niebezpieczne jest zastąpienie starych pocisków nowymi niż pozostawienie starych na miejscu? Czy te stare nie są również wyposażone w głowice nuklearne? Oczywiście nowe pociski są dokładniejsze. No to co? Powinniśmy dziękować Bogu, że są po naszej stro-

Można nieco utrudnić tycis kremłowskiemu awanturnikom, ale dlaczego miliony ludzi na Zachodzie uważają to za tragedię i zagrożenie?

Głęboko w sercu większość tych zalekzionych ludzi ma bardzo prostą odpowiedź na wszystkie te pytania. Wiedzą oni, że jedynym rzeczywistym źródłem zagrożenia jest związek Sowiecki i że z tego powodu jest niebezpieczne wszystko, co go może osłabiać. Ale lęk jest siłą obszerną i ogólną, a nie ogólną. Tak osłabiająca, że skłania ludzi do zalecania rozwiązania polioji, to zbrodnia, a nie mogą stać się zbyt agresywni.

Właściwie najzabawniejszą stroną obecnej historii antywojennej - poza faktem, że wystąpiła w czasie tak ogromnie korzystnym dla Moskwy - jest ukierunkowanie całej kampanii. Miliony ludzi w Wielkiej Brytanii, w Niemczech, w Holandii, w Belgii, we Francji i we Włoszech, pozostając rzekomo przy zdrowych zmysłach i nie mając widocznych śladów znarkotyzowania, odbywają pochody, głosząc, że groźbę wojny stanowią... ich własne rządy i rząd USA. Psychologowie mogąby określić to zachowanie jako freudowskie podstawienie wyobrazonego przedmiotu lęku pod rzeczywisty. Nie mówiąc o tym, że nawet psychologowie mogąby stwierdzić, że prosowiecka propaganda wiąże się z powstaniem tego konkretnego złudzenia.

Fakty są zbyt oczywiste, aby je tu omawiać. Można lubić albo nie lubić prezydenta Reagana czy kanclerza Schmidta, ale w przeciwieństwie do towarzysza Breżniewa zostali oni wybrani przez większość swojej ludności i są całkowicie odpowiedzialni za swoje czyny przed swoimi parlamentami i narodami. Po prostu nie mogą na własną rękę wypowiedzieć wojny. Poza tym wystarczyło zobaczyć się, żeby zobaczyć rzeczywiste źródło agresji. Czy to amerykańskie, czy sowieckie wojska zajęły połowę Niemiec i zbudowały mur berliński? Czy to nie Sowiety nadal okupują Węgry, Czechosłowację, państwa bałtyckie, nie mówiąc o Afganistanie - wbrew woli ludności tych krajów? Czy to wschodnio - czy zachodniemieckie wojska brały udział w kupowaniu Czechosłowacji i są przygotowane do najazdu na Polskę?

Wszystko na Zachodzie dokonuje się zupełnie jawnie - można by powiedzieć, zbyt jawnie. Ale co możemy wiedzieć o decyzjach podejmowanych przez czterdziestu państw w Politiurze, których nikt nigdy nie wybierał, aby podejmowały takie decyzje, i których nikt nie może pociągnąć do odpowiedzialności? Nie wolno ich krytykować prasy, nie wolno zwoływać demonstracji protestujących przeciwko ich dyktatowi. Każdy, kto odmówił posłuszeństwa ich tajnym rozkazom, natychmiast zniknie na zawsze. Jest rzeczywiście bardzo mała różnica między systemem sowieckim a hitlerowskim. Czy jest ktoś taki, kto sądzi, że powinien być ufać Hitlerowi bardziej niż państwom demokratycznym?

Jednakże po kilku rozmowach z przedstawicielami współczesnego ruchu pokojowego wiem aż za dobrze, jak bezskuteczne jest odwoływanie się do argumentów racjonalnych. Z całą powagą oznajmiam, że nie ma żadnej sowieckiej przewagi wojskowej. To wszystko propaganda CIA; wydaje się, że dla nich jedynym niezawodnym źródłem informacji jest KGB. Powołują się na doniesienia jakiegoś Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badania nad Pokojem, nie interesując się metodami stosowanymi przez ten Instytut do oceny sowieckiego arsenału. Skoro nie dysponuje on własnymi satelitami wywiadowczymi, jego "badania" z pewnością stoją przed bolesnym dylematem: czy czerpać informacje z sifitu czy ze sputników. Wydaje się, że nikt w europejskim ruchu pokoju nie zastanawiał się nad rzetelnością tej mało znanej instytucji.

Ale to jeszcze złupstwo. Ważniejsze jest przekonanie naszych ludzi miłujących pokój - powtarzających jak za panią matką stary slogan moskiewskiej "Prawdy" - iż "obłąkami amerykańscy generałowie" są tacy wojowniczy, że mogą po prostu dla zabawy nacisnąć guzik. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego generałowie zawsze muszą być obłąkami - oczywiście amerykańscy generałowie, nie sowieccy, którzy widocznie mają jakąś wrodzoną odporność przeciwko obłądowi - a jeżeli są obłąkami, to dlaczego już dawno nie nacisnęli tego cholernego guzika. W każdym razie trudno zrozumieć, dlaczego generałowie, mający przynajmniej jakieś wykształcenie techniczne, są gorzej dysponowani do

rozumienia problemów nuklearnych niż nauczyciele ze szkół podstawowych tak licznie reprezentowani w ruchu pokoju.

Niektórzy z "ludzi miżujących pokój" szczerze wierzą, że skoro tylko Zachód się rozbroi, Sowisty pójdą w jego ślady, i dosłownie z niewiarogodną naiwnością zachęcają, abyśmy "wypróbowali" ten samobójczy eksperyment. Inni, o wiele bardziej wyrafinowani, doskonale wiedzą, że ich sowieccy towarzysze chcą zyskać na czasie, aby zająć korzystniejszą pozycję w przyszłych rozmowach z Amerykanami. Domagają się oni, żeby Zachód najpierw rozpoczął rozmowy, a potem poprawił swoją pozycję wojskową. Jeszcze inni nie krępują się swojego egoizmu i sprzeciwiają się tylko umieszczeniu broni jądrowych niejako w sąsiedztwie swojej wsi - jak gdyby posiadanie ochrony było bardziej niebezpieczne od jej braku. Albo jak gdyby jakaś pojedyncza wieś, miasto czy kraj mógł zachować neutralność w razie wybuchu wojny jądrowej. "Niech Amerykanie walczą z Rosjanami", mówią, sugerując, że wszystkie problemy współczesnego świata wynikły z jakiegoś niejasnego sporu między "Amerykanami a Rosjanami", którzy najwidoczniej zawiązali spisek w celu zgubienia biednych Europejczyków. Bo przecież jeżeli towarzysze Breżniew obiecał przestrzecząc "stref bezatomowych" w wypadku wojny, to ludzie mogą wydać westchnienie ulgi i spokojnie zasnąć. Jeżeli Breżniew tak powie, to nie będzie atomowych łodzi podwodnych u waszych brzegów. No bo czy towarzysze Breżniew kiedykolwiek nie dotrzymał słowa? Oczywiście nigdy. Jest uczciwym człowiekiem. Jest tak uczciwy, że może nawet ustalić, w jakim kierunku będą płynąć skażone chmury i zlokalizować na waszą korzyść opad pyłu radioaktywnego. "Po co by nas mieli Rosjanie napadać, gdybyśmy się rozbroili?" No właśnie, po co? Zapytajcie chłopów afgańskich, może wam powiedzą.

Nie ma doprawdy sensu wyliczać wszystkich "argumentów pokojowych", tak przeciwstawnych, a nawet niespójnych, że można się zdziwić, jak ci, którzy ich używają, mogą uczestniczyć w tym samym ruchu. Jedno tylko łączy te wszystkie kierunki: popióch i gotowość do kapitulacji przed sowieckim zagrożeniem, zanim nawet Sowisty tego zażądata. Lepiej być czerwonym niż martwym. Dlatego właśnie obecna sowiecka propaganda zyskuje tak znaczny posuch.

Trudno rzeczywiście wyobrazić sobie bardziej prosowieckie postępowanie niż to, które przyjmuje europejski ruch pokoju. Jest on bardziej prosowiecki niż linie narodowych partii komunistycznych, które przynajmniej muszą się maskować jakąś niezależnością od Moskwy. Jest na przykład zupełnie oczywiste, że obecny wzrost napięcia międzynarodowego został wywołany przez sowiecką napasą na Afganistan. Nie ma chyba kraju, partii politycznej /łącznie z niektórymi partiami komunistycznymi/ czy organizacji międzynarodowej, która by niedwuznacznie nie potępiła sowieckiej agresji. Ciekawe, że jedynym ruchem publicznym w Europie Zachodniej, który nigdy nie potępił tej napasą, jest ruch, nazywający się "ruchem pokoju". Potępienie takie nigdy nie zostało wyrażone na wiecach pokojowych w Europie Zachodniej, zawarte w uchwałach, ogłoszonych w głównych publikacjach ruchu ani też rozpowszechnione jako masowy apel. Może przypuszczacie, że ugrupowania pokojowe potępiły tę napasą w głębi serca? Otóż przeciwnie, są przekonujące dowody, że one po prostu usprawiedliwiają tę zbrodnię przeciwko prawu międzynarodowemu.

Niedawno sam zostałem publicznie oskarżony przez przywódców Brytyjskiej Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego /Campaign for Nuclear Disarmament - CND/ o przekraczanie ich stanowiska wobec Afganistanu. Uważam zatem, że na miejscu będzie posłużenie się cytatem z oficjalnej broszury CND *W h y W e N e e d A c t i o n - N o t W o r d s* /Dlaczego potrzebne jest działanie, nie słowa/ pła Betty England: "Interwencja w Afganistanie mogła być częściowo spowodowana obawą Związku Sowieckiego przed rosnącym okrażeniem. Obawy tej nie można uznać za nieuzasadnioną po oświadczeniu Sir Neila Camerona w Pekinie..." /s.12/. Inaczej mówiąc, biedni Rosjanie, których Sir Neil, marszałek RAF, tak przestraszył krytycznym wobec nich przemówieniem, mieli pełne podstawy uczynić, co uczynili. Zgodnie z tym rozumowaniem powinniśmy nałożyć ostrą cenzurę na wypowiedzi antysowieckie, bo inaczej Sowisty zajmą cały świat. Jednakże implikacje tego rozumowania idą jeszcze dalej. Idea

ukryta w zdaniu panny England Głosi, że jedynym sposobem zachowania pokoju jest stopniowe aprobowanie sowieckiego systemu i sowieckich roszczeń.

Jeszcze bardziej szczerą od CND jest Światowa Rada Pokoju. Jej broszura, Program działania 1981, zawiera wyraźny nakaz popierania obecnego marionetkowego rządu Afganistanu /s.25/. Program ten został je d n o g ł o ś n i e przyjęty w 1980 roku na sofijskim zgromadzeniu przedstawicieli większości ugrupowań pokojowych /o samym tym zgromadzeniu później/. Po tym nie było niespodzianką, kiedy na ostatniej Międzynarodowej Konferencji Pokojowej w Danii postanowiono zwołać w ciągu sześciu miesięcy następne spotkanie w Kabulu, stolicy Afganistanu.

Nie ma wątpliwości, że sowiecki najazd na Polskę przybliżyłby nas do wojny światowej, czy ściślej mówiąc całkowicie uniemożliwiłby zmniejszenie międzynarodowego napięcia przez dziesięć czy piętnaście lat. I tu znowu jedynym ruchem publicznym, który nigdy nie potępił nieustannej groźby sowieckiej wi szączej nad Polską /i ciągle nie jest pewny, jak ma zareagować na nakazane przez Sowiety wprowadzenie stanu wojennego/, jest ruch pokoju. Przywódcy największego brytyjskiego ugrupowania pokojowego CND, posunęli się jeszcze dalej, kiedy przechwalali się swoją "umiarkowaną reakcją" na wydarzenia w Polsce /list B.Kenta do "Timesa" z 9 grudnia 1981/ na kilka dni przed wprowadzeniem stanu wojennego i dowodzili swojej "bezzstronności" porównując polski kryzys z kryzysem we Wschodnim Timorze. Może przywódcom ruchu dążącego do zapewnienia pokoju w Europie należy przypomnieć, że w 1975 roku 35 krajów w Europie razem z Kanadą i USA uroczyście uznały nierozdzielny związek między bezpieczeństwem Europy a poszanowaniem praw człowieka w krajach uczestniczących w konferencji. Czy mamy stąd wnioskować, że przywódcy CND odmawiają aprobowania porozumienia z Helsinek, czy że są obojętni dla sprawy bezpieczeństwa europejskiego?

Przynajmniej w sprawie Polski nie wszystkiemu, co robi ruch, można zarzucać obojętność. Nie słyszałem, na przykład, o wypadku, żeby przedstawiciela rządu chilijskiego czy argentyńskiego zaproszono do przedstawienia stanowiska swego rządu na międzynarodowej konferencji pokojowej. Ale z jakiegoś dziwnego powodu niedawno uczyniono ten wyjątek dla przedstawiciela polskiej junty, którego Światowa Rada Pokoju zaprosiła, żeby wystąpił na Międzynarodowej Konferencji Pokojowej w Danii. Jego obrzydliwe kłamstwa na temat "Solidarności" i osobiste napaści na Lecha Wałęsę /zob. "Guardian" z 11 stycznia 1982 roku / zostały przyjęte gorącymi oklaskami ludzi miżujących pokój /relacja BBC/.

Już sam zdrowy rozsądek wskazuje, że jeżeli chce się utrzymać pokój, trzeba dążyć do powstrzymania obu stron od możliwego starcia. Jednak europejski ruch pokoju jest tak zjadale jednostronny, jak gdyby nie uswiadamił sobie istnienia "drugiej strony". Zawstydzają Amerykanów nie istniejącymi dotychczas broniąmi, jak bomba neutronowa, czy nie rozmieszczone jeszcze pociski manewrujące, czy pociski Pershing, ale mówi tylko czeptem, jeżeli w ogóle mówi, o setkach sowieckich SS-20 już z wycelowanych w Europę.

Skoro więc wywołałem gniewny odruch przywódców CND za wskazanie tego konkretnego wypadku jaskrawej jednostronności /"Times" 9 grudnia 1981/, jeszcze raz przeczytałem główne publikacje CND. Wspomniana już broszura Betty England nie wymienia ani razu SS-20, choć roi się po prostu od nazw różnych rakiet amerykańskich. Nis wymienia ich również szeroko rozpowszechniane sprawozdanie z dorocznej konferencji CND w 1981 roku /ostatniej, o jakiej wiem/, ani oficjalna ulotka CND Nuclear War and You /Wojna jądrowa a ty/ wrzucona przez jakąś troskliwą rękę do mojej skrzynki na listy. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że decyzję napomknięcia o SS-20 ostatecznie podjęto w CND po wielu gorących dysputach i wbrew woli przywódców CND, z których wielu należy również do brytyjskiej partii komunistycznej.

Dziwne to, ale w europejskim ruchu pokoju jest wielu takich, którzy współpracowali /i nadal współpracują/ z Amnesty International w sprawie więzionych za przekonania w krajach komunistycznych. Samo przez się nie zapobiega

to popełnianiu groźnych błędów politycznych ani też, wioskując z rezultatów, nie wywiera łagodzącego wpływu na przywództwo ruchu. Niezależnie od tego pozostaje faktem, że europejski ruch pokoju /i żadna z głównych organizacji wchodzących w jego skład/ nie wypowiedziała ani słowa w obronie tysięcy ludzi uwięzionych w ZSRR za sprzeciwianie się agresywnej polityce sowieckiej, za odmowę służenia w wojsku pozostającym na usługach agresji, za odmowę strzelania do cywilnej ludności w Afganistanie. Przez cały czas, kiedy setki tysięcy "ludzi miłujących pokój" hałaśliwie wyrażali swoje jednokierunkowe uczucia na ulicach Londynu, Bonn, Amsterdamu i Brukseli, nie padło ani jedno słowo o Sacharowie, nadal pozostającym na wygnaniu i prowadzącym strajk głodowy - Sacharowie, który dla powstrzymania doświadczeń z bronią jądrową uczynił więcej niż ktokolwiek na świecie. Te pokojowe dusze z radością rzuciłyby kamieniami w generała Haiga, ale przywitałyby marszałka Breżniewa z uszanowanym uśmiechem.

Nie chcę tu zaprzeczać, że w szeregach ruchu jest wielu ludzi działających w dobrej wierze i prawdziwie zatroskanych i zalekanych. Jestem pewien, że stanowią oni większość. Podobnie jak w latach pięćdziesiątych ruch ten składa się z przedziwnej mieszanki komunistów, ich sprzymierzeńców, otumanionych intelektualistów, cwaniaków goniących za popularnością, zawodowych spekulantów politycznych, przerażonych mieszczań i młodzieży gotowej do buntu dla samego buntu. Są tam także nieodłączni księża katolicycy mający poczucie miłości i inni ludzie religijni, przekonani, że Bóg wybrał ich, aby uczynili natychmiast pokój na ziemi. Ale nie ma też najmniejszej wątpliwości, że cały ten różnorodny tłum jest manipulowany przez garstkę kanalii kierowanych bezpośrednio z Moskwy.

I rzeczywiście, kiedy miałem oddać ten artykuł do druku, John Vinocur zrelacjonował w "New York Timesie" /6 kwietnia 1982/ "pierwszy pochodzący z ruchu antyatomowego dowód na to, /.../ że zachodniemiecka partia komunistyczna, na polecenie Związku Sowieckiego, starała się skierować nastroje społeczne przeciwko broniom jądrowym. Partia ochrony środowiska znana pod nazwą "Zielonych" stwierdziła, że zachodniemiecka partia komunistyczna, mająca powiązania z Moskwą, kierowała i manipulowała niedzielnym /4 kwietnia/ wiecem /w Bonn/, na którym przedstawiciele trzydziestu siedmiu grup określających się jako członkowie ruchu antyrakietowego, zamierzili potężną demonstrację przeciwko prezydentowi Reaganowi w czasie jego wizyty w Bonn /.../ 10 czerwca". "Zieloni", którzy uczestniczyli w wiecu, przyznali, że sami współpracowali z komunistami "w pewnych lokalnych kwestiach", ale to, co stało się w Bonn, było nawet dla nich "oburzające". "Komuniści całkowicie opanowali wiec. Odbywał się pozornie według zasad demokratycznych, ale to były kpiny. Ledwie dopuszczono nas do głosu". Wiec - w którym uczestniczyły takie organizacje jak Niemiecka Federacja Studentów, Ewangelicki Komitet Studencki, Federacja Niemieckich Organizacji Młodzieżowych i Niemieckie Towarzystwo Pokojowe - odrzucił uchwały potępiające sowiecką interwencję w Polsce i sowiecki najazd na Afganistan, a delegaci odmówili wyrażenia poparcia dla "Solidarności". "Natomiast przyjęli znaczną większością wniosek potępiający przedsięwzięcia Stanów Zjednoczonych w Ameryce Środkowej, na Eliskim Wschodzie, w Południowej Afryce i w innych rejonach świata".

Poprzednio, kiedy pisałem ten artykuł, podano do wiadomości, że aresztowano jednego z duńskich przywódców ruchu, Arnego Petersena wraz z żoną za przekazywanie sowieckich pieniędzy na fundusz ruchu pokoju. Jego zwierzchnik, drugi sekretarz ambasady sowieckiej w Kopenhadze, został wydalony z kraju. Co jakiś czas słyszamy o fundowanych przejażdżkach aktywistów pokojowych do najelegantszych sowieckich kurortów, gdzie czeka ich królewskie przyjęcie - i oczywiście zwiędzanie przedszkolki, szkół i szpitali /ale ani jednej fabryki zbrojniczej/.

Większość uczestników europejskiego ruchu pokoju niewątpliwie nie uświadamia sobie tych faktów. Może nie zwróca uwagi na zarzuty "Zielonych", tak jak przeoczyli wiadomość o działalności pp. Petersenów, która polegała na

umieszczeniu w duńskiej prasie płatnych /z dotacji sowieckich/ ogłoszeń na rzecz duńskiego ruchu pokoju, ogłoszeń podpisywanych przez wybitnych intelektualistów duńskich /którzy z pewnością nie mieli o tym pojęcia/. A nawet nasi gniewni przywódcy GND "nic nie wiedzieli o fundowanych przejazdach do sowieckich kurortów" /"Times" 9 grudnia 1981/. Oczywiście, czasem bardzo wygodnie - nawet zawodowym intelektualistom - nie wiedzieć o niczym...

Dla tych jednakże, którzy chcą wiedzieć, przedśledźmy początki współczesnego ożywienia "walki o pokój". Każdy, kto przeczytał powyższy tekst, nie zdziwi się, że najpierwsze ślady tego ożywienia można znaleźć w publikacjach sowieckich i są zupełnie wyraźne dla umiejących je czytać:

"Pierwsze jasne barwy jesieni musnęły już szmaragdowe parki Sofii. Złote liście klonów i osik drzę w powiewie wiatru. I wszędzie błękitne flagi z insigniami Światowej Rady Pokoju. Sofia oczekuje ważnego wydarzenia: Światowy Parlament Narodów na rzecz Pokoju obraduje tu od 23 do 27 września. Jeet to największe i najbardziej reprezentatywne zgromadzenie światowych sił pokoju zwoływane w ostatnich latach przez Światową Radę Pokoju". /"Izwestia" 23 września 1980/.

Tego samego dnia "Prawda" pisała o "największym w historii zgromadzeniu bojowników o pokój". I rzeczywiście, najbardziej pokojowy i niezależny kraj świata, Bułgaria, był w tych wrześniowych dniach gospodarzem 2260 ludzi miążących pokój ze 137 krajów mających reprezentować 330 partii politycznych, 100 międzynarodowych i ponad 300 nierządowych organizacji. Z pewnością nie było to zwykłe zgromadzenie międzynarodowego ruchu komunistycznego. Przekrój polityczny uczestników był niezwykle szeroki: 200 członków parlamentów różnych krajów, 200 przywódców związkowych, 129 czołowych socjaldemokratów /z których 33 należało do organów wykonawczych swoich partii/, 150 pisarzy i poetów, 33 przedstawicieli różnych ruchów wyzwoleniowych /zacznie ze Stowarzyszeniem na rzecz Obrony Praw Obywatelskich z Irlandii Północnej/, przedstawiciele organizacji kobiecych /jak Krajowe Zgromadzenie Kobiet Brytyjskich/, organizacji młodzieżowych, Światowej Rady Kościołów i innych organizacji religijnych, 18 przedstawicieli różnych wyspecjalizowanych komitetów i komisji ONZ, przedstawiciele Organizacji Jedności Afryki i OPEC, oficerowie w stanie spoczynku /niektórzy w stopniu generała/ i przedstawiciele: 83 partii komunistycznych /"Prawda" 23-29 września, 5 listopada, "Izwestia" 23, 24, 27, 28 września 1980/.

Wszystko to zaczęło się rok wcześniej, jak informuje nas gadatliwy Bułgar, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, odpowiedzialny za "przygotowanie organizacyjne" tego cyru /"Prawda" 23 września 1980/. Bo uważając, spodziewali się tylko 1500 delegatów, a zjechało się aż 2200. Nic dziwnego, że przewodniczący chętnie opowiada o swoim sukcesie.

Jednakże rok wcześniej - w 1979 roku - nie istniała żadna z przesłanek podawanych dziś dla wyjaśnienia cudownego zmartwychwstania ruchu pokoju. Nie było tak zwanej "nowej strategii Pentagonu", szynnej prezydenckiej Dyrektywy Nr 59, nie było nowego nasilenia wyścigu zbrojeń, nie było bomby neutronowej. Akurat zakończył się szoszęliwie szczyt wiedeński podpisaniem układu Salt II. Wrzesień 1979 był czasem powszechnej szczęśliwości, niebo było bezchmurne. Tylko jedna zmienna rzecz wydarzyła się we wrześniu 1979: nagała fala masowych aresztowań w Związku Sowieckim i, jak się garaz dowiedzieliśmy, powzięcie decyzji reaktywowania ruchu pokoju. Kto mógł przewidzieć we wrześniu 1979, że w ciągu roku powróci zima wojna - kto, poza ludźmi zajętymi "przygotowaniem organizacyjnymi" do napaści na Afganistan? Ze względu na naturę sowieckiej gospodarki planowej z jej niewiarygodnie formalistycznym, niedołącznym, nieskutecznym działaniem, Sowiety muszą przygotować wszystko ze znacznym wyprzedzeniem. Po coż by mieli przeznacząć tak wielkie kwoty pieniędzy na utrzymanie bułgarskiego cyru pokojowego w szczęśliwych czasach, gdyby nie przewidywali mających nadejść poważnych kłopotów politycznych?

Ponadto dowiedzieliśmy się od towarzysza Żiwkova, bułgarskiego przywódcy komunistycznego, który otwierał kongres długim przemówieniem, że odpowiednia

decyzja została podjęta przez Polityczny Komitet Doradcy krajów Bloku Warszawskiego w maju 1980 roku /"Prawda" 24 września 1980/ a odpowiednia uchwała zapadła na Plenum Komitetu Centralnego w czerwcu 1980 roku /"Prawda" 29 września 1980/. Towarzysz Żiwkow po prostu ukazał drogę, jaką decyzje i uchwały wdrażają przez komunistyczny aparat biurokratyczny, zanim zostaną przystosowane przez "organ przedstawicielski" - w tym wypadku "parlament" socjalistyczny we wrześniu.

Rzeczywiście cały ten cyrk był czymś przygnębiająco znajomym dla wszystkich ludzi pamiętających metody stosowane przez kremlowskich producentów tych samych scenariuszy w czasach Stalina. Nawet występujące postaci były te same. Była ta sama Światowa Rada Pokoju z nieśmiertelnym przewodniczącym Rameshem Chandrą, był ten sam główny dyrygent, Borys Ponomariow, były funkcjonariusz Kominternu /obecnie odpowiedzialny w Politbiurze za kontakty z bratnimi partiami komunistycznymi a także za wywiad/. Nawet hasło przyjęte na tę okazję, "Ludzie mają władzę utrzymania pokoju - ich podstawowe prawo", żywo przypominało niezapomniane słowa towarzysza Stalina z 1952 roku.

Różnica polegała na tym, że osobiste przesłanie, które towarzysz Ponomariow przekazał zebranym, pochodziło od towarzysza Breżniewa a nie od towarzysza Stalina. Ten ostatni nie tolerowałby oczywiście nawet wzmianki o "prawach" - podstawowych czy jakichś innych - w swoich hasłach. No, ale czasy się zmieniły. A te przekłete "prawa człowieka" wymknęły się z rąk. Więc lepiej wynaleźć coś takiego jak "podstawowe prawo".

Pierwszy, jak powiedziałem, przemawiał towarzysz Żiwkow i ten wypaplał wszystko o rzeczywistych troskach Sowieców /"Prawda" 24 września 1980/. Agresywne koła w Ameryce, powiedział, odmawiają uznania obecnej równowagi sił zbrojnych na świecie. Nie chcą się pogodzić ze swoją przewidzianą przez historię porażką. Stali się tak butni, że odrzucają wszystkie ostatnie sowieckie propozycje pokojowe. Postanowili zastąpić odprężenie polityką prowadzoną "z pozycji siły". Nie przestrzegają porozumień o współpracy; zrywają kontakty polityczne i gospodarcze; zakłócają wymianę kulturalną i naukową; rozluźniają więzy sportowe i turystyczne /innymi słowy embargo na zboże, bojkot Olimpiady, bojkot naukowy itd. i podobne reakcje na napaść na Afganistan i prześladowania uczonych w ZSRR/.

Temat ten był podejmowany przez większość mówców z małymi tylko odmiannymi. Główny mówca, towarzysz Ponomariow, proponował cały program działania mający skłonić agresywne koła Ameryki do uległości. Nawoływał do zjednoczenia wszystkich, którym leży na sercu zachowanie pokoju, niezależnie od ich poglądów politycznych. "Przyszedł czas na działanie, nie słowa", powiedział. /Chwileczkę, czy już gdzieś nie spotkaliśmy się z takim stanowiskiem? Czy przypadkiem nie w oficjalnej broszurze CND?/.

Przedstawienie rozwijało się gładko, ukazując całą galerię okazów, od największego miłośnika pokoju naszych czasów, Yasira Arafata do "reprezentanta" Afganistanu.

Jak na to zareagowało 2260 przedstawicieli socjaldemokracji, związków zawodowych, młodzieży, kobiet i organizacji religijnych? Czy wyszli z obrzydzeniem? Czy domagali się wycofania sowieckich wojsk z Afganistanu, aby usunąć główną przeszkodę dla odprężenia? Czy zainteresowali się olbrzymimi zbrojeniami sowieckimi i rozmieszczeniem SS-20? Nic podobnego. Ten samozwańczy Parlament Światowy wydał apel, w którym powtórzono główne idee przemówienia towarzysza Ponomariowa. I tak "Parlament" sprzeciwia się "rozdętej machinie wojackiej i dozbrojeniu najbardziej agresywnych sił imperializmu, które dążą do pogrążenia świata w nuklearnej przepaści; sprzeciwia się fałszom i kłamstwom propagandy na rzecz zbrojeń szerzonej przez opanowane przez imperialistów środki przekazu".

W przekładzie z żargonu partyjnego apel ten stanowi konkretną wskazówkę dla przeciwdziałania programowi zbrojeń krajów zachodnich /a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych - "najbardziej agresywnej siły imperializmu"/ i dla

odrzucenia wszelkich "kłamstw" środków przekazu na temat zbrojeń sowieckich.

Ponadto "parlamentarzyści" przedstawili "nowe zadania i obowiązki ... przed ludami wszystkich kontynentów" i opracowali Kartę Narodów na rzecz Pokoju przyjętą jednogłośnie /! / razem z Programem Narodów dla Pokoju na lata osiemdziesiąte. Rok 1981 wybrano na "punkt startowy do lat osiemdziesiątych, rok decydującej ofensywy sił pokoju dla osiągnięcia przełomu w zahamowaniu zbrojeń".

Większa część tego programu została wykonana, a masowe demonstracje w październiku 1981 roku w stolicach europejskich zaplanowano w ramach tego, co nazwano w sowieckim programie "Tygodniem Rozbrojenia ONZ"/24-31 października/. Jakimże sposobem mogliby Sowieci wiedzieć w 1980 roku o wydarzeniach, które zajądą pod koniec następnego roku, gdyby nie rezyserowali całego tego przedstawiania.

Mój artykuł w "Timesie" /4 grudnia 1981/, w którym wskazałem na tę dziwną zbieżność, musiał wywołać gorące sprzeciwy i rzeczywiście tak się stało. Sowieci w "Literaturnoj Gazecie" /23 grudnia 1981/ i przywódcy CND w "Timesie" /9 grudnia 1981/ rozwodzili się nad faktem, że Tydzień Rozbrojenia ONZ był wyznaczony jako doroczny obchód przez Zgromadzenie Ogólne jeszcze w czerwcu 1978 roku. Rzeczywiście flaga ONZ może się wydawać doskonałą przykrywką. Trzeba jednak zapytać, dlaczego właściwie nic się nie działo w tym niesłychanie ważnym tygodniu w roku 1978 i 1979 - nawet zgromadzenie w Sofii zwołano na wrzesień a nie październik - póki konkretne wskazówki co do jego obchodzenia nie zostały zawarte w przygotowanym przez Sowiety programie? Ponadto, jeżeli ktoś przeczyta Koncowy Dokument Sesji Rozbrojeniowej Zgromadzenia Ogólnego /23 maja -1 lipca 1978/ wydany przez ONZ, znajdzie tam setki tygodni, miesięcy, lat i dziesięcioleci całkowicie pominiętych przez naszych ludzi miłujących pokój, natomiast zalecenie Sowietów wskazywało ten jeden, t y l k o jeden tydzień, w którym należało zgromadzić tysiące ludzi na ulicach. Czy na przykład ktokolwiek uświadamia sobie, że dziesięciolecie od 1969 do 1979 roku zostało uroczyście ogłoszone przez Narody Zjednoczone jako "Dziesięciolecie Rozbrojenia"? Jeżeli w ciągu tych dziesięciu lat odbywały się jakieś masowe wiece czy energicznie prowadzone kampanie, to całkowicie umknęły uwadze.

Powróćmy jednak do tego doniosłego programu przyjętego przez międzynarodową społeczność ludzi miłujących pokój. /Został on wydany, jak powiedzieliśmy, przez Światową Radę Pokoju w Helsinkach i jest dostępny w języku angielskim pt. P r o g r a m o f A c t i o n 1 9 8 1 /

Program ten zawiera takie punkty jak "eliminacja wszelkich sztucznych barier handlu światowym", zdumiewająco szczerze przyznanie się Sowietów do zapotrzebowania na zachodnie towary i zachodnią technikę a także do chęci uzyskania statusu kraju najwyższej uprzywilejowanego. Ale co to ma wspólnego ze sprawą pokoju i dlaczego wszyscy miłujący pokój ludzie mają o to walczyć zębami i pazurami, nie wyjaśniono.

Jak się można było spodziewać, program zawiera jasną definicję wojny "sprawiedliwej" i "niesprawiedliwej": "Polityka destabilizacji postępowych rządów w rozwijających się krajach już stanowi agresję dokonywaną środkami psychologicznymi, ekonomicznymi, politycznymi i innymi łącznie z interwencją zbrojną". Nieomniast analogiczne działanie przeciwko reżimom "rasistowskim i faszystowskim" są całkowicie uzasadnione, ponieważ samo istnienie niepostępowych rządów "jest obrazą dla sumienia ludzkości". Zatem i sprzedaż broni tym "oburzającym krajom powinna być zakazana, ale nic nie powinno przyszkadzać miłującym pokój w sprzedaży broni "postępowym" rządów i "ruchom wyzwolenicznym".

Są oczywiście i zalecenia dla środków przekazu, które "muszą służyć sprawie pokoju a nie kompleksowi wojskowo-przemysłowemu przez wprowadzanie w błąd opinii publicznej kłamstwami i fałszerstwami" /inaczej mówiąc, środki przekazu nie powinny informować o sowieckich zbrojeniach/. Podobna wskazówka obejmuje tych, "którzy ponoszą odpowiedzialność za wychowanie młodego pokolenia".

Następnie program szczegółowo określa, jakie podjąć działania i kampanie oraz wyznacza tygodnie na zbieranie podpisów pod różnymi petycjami itp. na całym świecie. Nieustannie zwraca uwagę na pilną potrzebę "dalszego nasilenia działań przeciwko rozmieszczeniu nowych amerykańskich broni masowej zagłady w Europie Zachodniej" i projektuje "wzmocnienie i rozszerzenie ruchów narodowych w światową sieć organizacji pokojowych".

Nie jest możliwe omawianie w tym miejscu wszystkich szczegółów tego doniosłego dokumentu. Zawiera on po prostu wszystkie co do jednego cele sowieckiej polityki zagranicznej przystrojone w frazeologię pokojową. Nic zatem dziwnego, że obejmuje również Afganistan w postaci "tygodnia solidarności ze szczególnym naciskiem na poparcie rozwiązania politycznego proponowanego przez rząd afgański". Dla Etiopii zaleca "tydzień solidarności z rewolucją etioopską" oraz "poparcie walki ludu etioopskiego przeciwko imperialistycznym knwanom i planom Rogu Afryki". Na rzecz Kampuczy powinna się odbyć "międzynarodowa kampania solidarności z rządem i narodem kampuńskim przewodzonym przez Zjednoczony Ludowy Front Wyzwolenia Narodowego oraz międzynarodowa kampania na rzecz uznania Ludowej Rady Rewolucyjnej Kampuczy i przyznanie jej przedstawicielowi miejsca w ONZ; zdemaskowanie spiszków hegemistów pekińskich działających w znowie z imperialistami amerykańskimi przeciwko Kampuczy". W sprawie Izraela: "Poparcie sił pokoju w Izraelu w ich walce o całkowite wycofanie się Izraela z okupowanych terenów i realizację niezbywalnych narodowych praw ludu palestyńskiego". Natomiast w sprawie Bliskiego Wschodu w ogóle: "kampanię solidarności z narodami arabskimi w ich walce o anulowanie politycznych i wojskowych porozumień z Camp David i Waszyngton; działania solidarnościowe z Libią przeciw groźbie napadów ze strony reżimu egipskiego i amerykańskiego imperializmu". Jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone, to nawet w tym tak gruntownie sowieckim dokumencie zalecenie przeprowadzenia kampanii na rzecz "zwolnienia więźniów politycznych w Stanach Zjednoczonych Ameryki" brzmi jak klepski żart. Umiałowanie pokoju niewątpliwie przytępiła poczucie humoru. Jedynie kraje, w których 2260 delegatów ze 137 krajów jednogłośnie stwierdziło gwałcenie praw człowieka to: Boliwia, Chile, Salwador, Gwatemala, Haiti, Izrael, Paragwaj, Urugwaj, Indonezja, Południowa Korea, Północna Irlandia i Stany Zjednoczone. Czyż świat nie uległ znacznej poprawie?

Po szczęśliwym przyjęciu tego programu reszta była bardzo prosta. Po powrocie z Sofii rozentuzjazzowani delegaci zajęli się gorączkową krzątaniną przy jego realizacji, domagając się podejmowania odpowiednich rezolucji, działań i zajmowania stanowisk w swoich organizacjach /"Prawda" 5 listopada 1980/. Dodatkowego rozmachu nadała kampanii dokument Światowej Rady Kościołów przyjęty na sesji w Dreźnie 28 sierpnia 1981, angażując tym wielką liczbę członków różnych wyznań chrześcijańskich na rzecz polityki sowieckiej. I bardzo szybko setki tysięcy ludzi na świecie szczerze uwierzyło, że zajmują się ocalaniem pokoju światowego.

Czy zatem trzeba jeszcze wyjaśniać, dlaczego Związek Sowiecki jest tak zainteresowany ruchem pokoju? W żargonie partyjnym istnieje termin wyłasnowany jeszcze przez Lenina "pożyteczny duren". Otóż właśnie mimo wszelkich swoich błędów, bezsensownych awantur, klęsk ekonomicznych, kryzysu polskiego, zaciętego oporu afgańskich chłopów, Reaganowskiego planu dozbrojenia i uchwał ONZ, sowieccy władcy osiągnęli efektowne zwycięstwo: powołali miliony pożytecznych durniów do realizowania ich zbankrutowanej polityki zagranicznej. Już nie pozostają w izolacji i ciągle nie jest pewne, czy Amerykanom pozwoli się roznieść pociski w Europie.

Amerykańska gospodarka jest niewątpliwie o wiele bardziej produktywna i wydajna niż sowiecka, ale Amerykanie nie dysponują taką bronią jak "włna i pokój". Niewątpliwie ten ruch pokoju będzie dużo kosztował ludność Sowietów /samo zgromadzenie w Bułgarii musiało ją kosztować miliony, nie mówiąc o dotowaniu przejażdżek wszystkich działaczy pokojowych do najlepszych sowieckich kurortów; koszty prowadzenia światowej kampanii muszą być po prostu astronomiczne/. Mimo wszystko wypada to taniej niż następny cykl wysięgu zbrojeń, nie licząc kosztów utrzymania beczcennej przewagi wojskowej. Wynik będzie

dalekosiężny.

Zwróćmy uwagę, że jesteśmy dopiero w drugim roku planowanej na dziesięć lat wojny "walki o pokój". Za kilka lat cała ziemia zdrży pod stopami politycznych durniów, bowiem ich siły są niezmierzona.

Pamiętam, jak w latach pięćdziesiątych, gdy poprzednia kampania pokojowa była w pełnym rozpędzie, powstał dowcip, który ludzie w Związku Sowieckim powtarzali sobie na ucho: "Żyd przychodzi do rabina i pyta: - Rebe, ty jesteś bardzo mądry. Powiedz, czy będzie wojna? - Nie będzie wojny - odpowiada rabin - ale będzie taka walka o pokój, że kamień na kamieniu nie pozostanie".

II

Jednym z najpoważniejszych błędów zachodniego ruchu pokoju i jego ideologów jest uparta odmowa zrozumienia natury reżimu sowieckiego i wywodzące się stąd dążenie do wyłączenia sprawy pokoju z szerszego kontekstu stosunków Wschód-Zachód. Po wielu latach słuchania tego, co uważali za "propagandę antykomunistyczną", po prostu "mają tego dosyć". Wszystko, co słyszą o Wschodzie, przypisują "zimnowojennemu praniu mózgow" i nie usiłują oddzielić prawdy od kłamstwa. Postawa taka, którą mogą tylko określić jako połączenie ignorancji z arogancją, czyni z nich łatwy cel dla każdej pseudo-teorii /czy zwykłej socjalistycznej propagandy/, która jest w danej chwili modna. Poza tym, ogłupieni niekoniecznymi i wzajemnie sprzecznymi dyskusjami wśród "specjalistów" na temat natury systemu sowieckiego, przywódcy ruchu pokoju uważają, że wynaleźli "nowe podejście", które sprawi, że cały problem straci na znaczeniu.

Przed kilkoma miesiącami uczestniczyłem w Anglii w publicznej dyskusji nad problemem jednostronnego rozbrojenia. Przywódca wielkiego ugrupowania pokojowego zaczął przemówienie od stwierdzenia, że z jego punktu widzenia nie ma znaczenia, kto jest napastnikiem a kto ofiarą. Powiedział: "To tak jak z dwoma chłopcami, którzy się biją na cmentarzu kościelnym. Trudno stwierdzić, kto zaczął i nie warto tego dochodzić. Wszystko, co możemy zrobić, to przerwać bójkę".

Metafora ta doskonale ilustruje postawę przeważającą wśród uczestników ruchu pokoju. Są przekonani, że ominęli kłopotliwy problem, podczas gdy w rzeczywistości przyjęli koncepcję "zwykłego przeciwnika". Z "cmentarznego" punktu widzenia obecny konflikt wygląda bardzo prosto: dwu łobuzów tak się zaciekle w swojej przewlekłej bojkocie - w której w każdym razie zatracili przedmiot swojego sporu - że są całkowicie gotowi pozabijać siebie nawzajem i wszystkich dookoła. Są chwilowo obłąkani, szaleni, ale w gruncie rzeczy są ludźmi. Duma i wsieklność nie pozwoli im się opanować, chyba że wtrącimy się my, rozsądni ludzie. Sprawmy, aby zaczęli rozmawiać ze sobą, chwycimy ich za ręce, odwróćmy ich uwagę od kłótni. Naturalnie nie możemy chwycić za ręce jednego z nich. Zatem zgodnie z najlepszą tradycją chrześcijańską sprawmy, aby ten drugi wyrzcił skrucę z całej chrześcijańskiej pokorą. Rozbrojmy go, aby przekonać jego przeciwnika o pokojowych zamiarach. Nadstawmy policzek. Przejedź czy później ten pierwszy się zawstydzi.

Postawa taka zawiera to właśnie, co nazwałbym połączeniem ignorancji z arogancją. Rzeczywiście, jeżeli spojrzymy na świat z pozycji "cmentarnej", nie ma potrzeby dociekania, kto jest napastnikiem, a kto ofiarą. Nie ma potrzeby utrzymywania policji ani sił zbrojnych. Możemy dostrzec tylko rząd grobów ze śpiącymi w nich pokojowcami i grupę dzieci pograżonych w bojkocie. Niestety, poza murem kościelnym istnieje szerszy i o wiele bardziej niebezpieczny świat z bandytami, mordercami, gwałcicielami i innymi występnyimi osobnikami.

Nie warto nawet wspominać, że ten model po prostu nie zasługuje na poważne rozpatrywanie. Niestety, szeroko rozpowszechnione /również poza ruchem poko-

ju/ jest przekonanie, że rząd sowiecki jak każdy inny rząd ma na celu pomyślność obywateli, a zatem skorzysta ze sposobności zredukowania wydatków wojskowych. Przekonanie to przychodzi w sposób tak naturalny naszym obrońcom pokoju, że po prostu nie dostrzegają, iż jest to pogląd na sowiecki system równie stary co niewątpliwie błędny. Gdyby tylko potrudzili się o choćby pobieżne przejrzenie historii Sowietów, natychmiast zrozumieliby, jak fałszywe jest to rzekomo naturalne przekonanie. Władcy sowieccy nie tylko są całkowicie obojętni na warunki życia swojej ludności, oni r o z m y ś l n i e utrzymują je na niskim poziomie; z drugiej strony rozbrojenie /niezależnie od sprawy pomyślności obywateli/ doprowadziłoby bardzo szybko do krachu imperium sowieckiego.

Zwykle staramy się zrozumieć przeciwnika przyjmując jego stanowisko, jak to się mówi, wchodząc w jego skórę. Dlatego wielu ludzi próbuje wyjaśnić sowieckie postępowanie w kategoriach "normalnych ludzkich motywów", to znaczy motywów im znanych. I właśnie dlatego sądzą błąd po błędzie. Bowiem "normalnemu" człowiekowi niesłychanie trudno wejść w skórę chorego umysłowo. Jest to prawie jak w samej naturze: kiedy dokonujemy eksperymentów w skrajnych warunkach, nagle obserwujemy jakies zaskakujące nieprawidłowości, które zbijają nas z tropu. W pewnych skrajnych przypadkach sama logika staje się nienormalna. Jeżeli dodajemy dwie liczby, czy je mnożymy albo dzielimy, zawsze otrzymujemy nową liczbę. Ale kiedy podstawimy zero lub nieskończoność, cała nasza reguła nagle stanie się fałszywa.

Weźmy jednakże przykład odpowiedni do tematu. Zastanówmy się, dlaczego Związek sowiecki jest tak agresywny, tak żądny zaborów? Widzimy, jak wiele szkół stworzyli badacze tego problemu /i widzimy także, że wszystkie są błędne/.

Istnieje wielu ludzi przekonanych, że obecna zaborczość sowiecka jest po prostu kontynuacją rosyjskiej przedrewolucyjnej polityki kolonialnej. Inaczej mówiąc, jest to fatalne dziedzictwo. Takie pojmowanie zaborczości sowieckiej rzeczywiście przeażało przez bardzo długi czas - i nadal panuje w niektórych środowiskach. Zgodnie z tym, wielokrotnie próbowano proponować Sowietom podział świata na strefy wpływów. Zawdzięczamy temu porozumienie jałtańskie, poczdamskie i odpowiednie inne nieszczerścia. Za każdym razem Sowiety aprobowaly podział na strefy wpływów i za każdym razem go gwałciły. Czy dlatego, że potrzebują więcej zasobów mineralnych, większych terenów, szerszych rynków zbytu dla swoich towarów? Nie. Ich własne terytorium jest nierozwinięte gospodarczo, ich własne zasoby mineralne spoczywają pod ziemią, mają za mało towarów dla własnego rynku wewnętrznego. Nie ma wartościowych zasobów mineralnych na Kubie czy w Afganistanie. Rosjanie nie mają swoich narodowych interesów w Angoli czy Wietnamie. Właściwie każda z tych nowych "kolonii" kosztuje naród sowiecki miliony dolarów dziennie. Zatem polityka sowiecka nie jest klasycznym przypadkiem kolonializmu.

Istnieje jeszcze jedna teoria, o wiele bardziej szkodliwa, bowiem jest bardziej rozpowszechniona i ponieważ dla jej obalenia trzeba rzeczywistej wiedzy o życiu w Związku sowieckim. Myślę o usprawiedliwieniu sowieckiej agresywności obawą przed wrogiem okrażeniem. Głosciele tego poglądu dowodzą, że historia Rosji, a zwłaszcza dzieje kolejnych najazdów na ziemię rosyjską w ostatnim stuleciu, wywołały u Rosjan niemal paranoiczny lęk przed zagrożeniem zewnętrznym.

Teoria ta brzmi całkiem przekonująco, bowiem można na jej poparcie przedstawić wiele faktów. Nie jest jednak niczym innym jak tylko przebiegłym pojęciem oczywistych kłamstw, błędnych interpretacji i bardzo powierzchownej wiedzy. Oparta jest na przypisywaniu przesadnego znaczenia historii dla danego narodu i na uproszczeniu systemu sowieckiego.

Przed wszystkim pogląd ten zawiera oczywiste fałszerstwo - a mianowicie rozmyslne pomieszenie narodu i rządu ZSRR. Tym, którzy tylko powierzchownie znają system sowiecki, trzeba może uświadomić, że naród nie ma tam prawa reprezentacji w rządzie - to znaczy nie ma wolnych wyborów. Zatem rząd nie od-

zwierciedla postaw ludności. Jeżeli więc mamy wierzyć, że ludność jest zalekana w rezultacie długiej historii najazdów, to rząd nie ma żadnego powodu, żeby podzielać te obawy. Rząd sowiecki, dysponujący szeroko rozgałęzionym i wszechobecnym systemem wywiadowczym, jest niezwykle dobrze poinformowany o każdym posunięciu i każdym najmniejszym zamiarze Zachodu /co nie jest takie znów trudne do osiągnięcia wobec znacznej otwartości społeczeństw zachodnich/. W latach 1978-79, kiedy ich zbrojenia były w szczytowym stadium, kogo mieli się tak bać? Swojego wielkiego przyjaciela, prezydenta Giacarda? Czy jeszcze lepszego przyjaciela w Zachodnich Niemczech, Willy Brandta? Wielkiej Brytanii, z jej nikłą armią /i toczącymi się dyskusjami nad jednostronnym rozbrojeniem/, czy może Nixona i Cartera, którzy odkładali na późni podstawowe programy zbrojeniew? Japonii, którą w ogóle nie ma armii?

Rząd sowiecki nie ma z pewnością żadnego powodu do obaw. Zresztą teoria o sowieckiej paranoi nie dotyczy właściwie zastraszonego rządu, ale zastraszonego n a r o d u. W "normalnym" kraju mogłoby to skłonić rząd do agresywności. Natomiast w Związku sowieckim ludność nie znaczy nic i nie ma sposobu wymuszenia na rządzie żadnej polityki. Nie byłoby im wolno wypowiadać żadnych lęków, gdyby je mieli. Zatem kto jest zastraszony w Związku sowieckim? Poza tym, jeżeli chodzi o władców kraju, to ich własna pamięć o drugiej wojnie światowej nie może ich zastraszyć dla bardzo prostej przyczyny: oni wygrali tę wojnę. Czy możecie mi wskazać jakiegos zwyciężkiego generała, który lękał się wojny aż do paranoi? Psychika władców sowieckich przedstawia się w każdym razie zupełnie inaczej.

Wystarczy rzucić okiem na mapę świata, żeby się przekonać, jak śmieszna jest ta teoria. Czy naprawdę możemy uwierzyć, że biedni komuniści na Kremlu są tak przerażeni, że muszą się zabezpieczyć przez posyłanie swojego wojska na Kubę a wojsk kubańskich do Angoli? Przez ekspediovanie sprzętu wojskowego i doradców do Etiopii i Wietnamu a następnie wysyłanie wojsk wietnamskich do Kampuczy? Spójrzmy jeszcze raz na mapę: wcale z niej nie wynika, że ZSRR jest otoczony wrogimi potęgami. Raczej jest zupełnie przeciwnie: to świat jest otaczany wrogimi hordami komunistów. Zatem jeżeli ich paranoiczne obawy można uspokoić tylko przez poddanie całego świata ich penowaniu, cóż dla nas za różnica, czy działając pobudzani lękiem czy endemiozną agresywnością?

Na koniec wreszcie najważniejszy dla zrozumienia źródeł tej fałszywej teorii jest fakt, że została wynaleziona przez kremlowskich specjalistów od propagandy. Była bardzo skutecznie wyzyskiwana w latach odprężenia, kiedy działając pod jej wpływem rządy zachodnie rozmyślnie pozwoliły Sowietom na uzyskanie przewagi wojskowej. Teraz pewnie gotowe byłyby temu zaprzeczać, ale dobrze pamiętając argumentację wygłaszaną w tym okresie. Argumentacja ideologów odprężenia prowadziła do wniosku, że skoro tylko Sowiety nam dorównają, to natychmiast zładogda napięcie; doprowadzi to do wewnętrznego, a także zewnętrznego rozluźnienia reżimu sowieckiego, to znaczy do l i b e r a l i z a c j i. Dziś możemy oglądać wyniki tego błyskotliwego eksperymentu.

Również ludność sowiecka poddawana była codziennie przez 65 lat intensywniej kampanii propagandowej na temat tego domniemanego "wrogię okrażenia". Władcy komunistyczni cynicznie wykorzystują tragedię narodu sowieckiego w drugiej wojnie światowej dla uzasadnienia zarówno despotycznych rządów i potwornych wydatków wojskowych. Robią, co mogą dla zaszczepienia w ludności patologicznego lęku przed "światem kapitalistycznym". Na szczęście ludzie są dość przytomni, żeby śmiać się z tego na samą myśl. Zatem wbrew tej teorii nie istnieje w Związku sowieckim paranoiczna ludność, która żąda ochrony od swoich władców, mimo wszelkich wysiłków w tym kierunku ze strony całkowicie trzeźwego i okrutnego rządu.

Nie, to nie lęk przed najazdem ani czkawka po drugiej wojnie światowej skłania władców sowieckich do prowadzenia już od pół wieku nie wypowiedzianej wojny przeciw całemu światu. To ich zobowiązanie - otwarcie powtarzane co pięć lat na każdym zjeździe partii od początku bieżącego stulecia - do popierania "sił postępu i socjalizmu", do popierania "ruchów wyzwolenczych" wszę-

dzie na świecie.

Czy mamy zatem przyjąć, że przywództwo Związku Sowieckiego składa się z fanatyków dążących do panowania nad światem? Nawet taki model, choć może wyglądać szalenie, jeszcze przypisuje władcom sowieckim zbyt wiele "normalności". Również ta teoria - na szczęście dla nas - nie obejmuje pewnych faktów. Dziwne to, ale żaden z obecnych przywódców komunistycznych nie wierzy już w doktrynę. Na szczęście, bowiem żaden prawdziwy fanatyk nie zniósłby zniweczenia rzeczywistego przedmiotu swojej obsesji. Wolałby już zniszczenie całego świata.

Władcy sowieccy są najzupełniej cyniczni, bardziej interesują ich własne przywileje i przyjemności niż idee marksistowskie. Dogmatów komunistycznych nienawidzą może silniej niż jakikolwiek zachodni kapitalista. Ponadto większość ludności Sowieców jest tak samo cyniczna jak jej przywódcy. O wiele więcej szczerych komunistów można znaleźć na Zachodzie niż w ZSRR.

Również ten fakt pobudził fałszywe nadzieje wśród zachodnich polityków i społeczeństw. Te same fałszywe nadzieje, które pobudziła teoria okrażenia - że można będzie w końcu traktować Sowiety jak normalnego partnera, że będą możliwe negocjacje, współpraca, odprężenie. I jedna i druga teoria prowadziła do tej samej błędnej polityki.

Jaka zatem jest prawda o tym piekielnym systemie?

Był z pewnością taki okres, kiedy przywódcy sowieccy byli fanatykami komunizmu gotowymi poświęcić cały świat dla swoich przekonań. Był również okres, kiedy przynajmniej jakaś część ludności była gotowa przyjąć tę nową ideę ze znacznym entuzjazmem. Przypuszczam, że ludności mojego kraju można wybaczyć tę omyłkę, bowiem komunizm rzeczywiście stanowi ideę i to taką, o której niedoświadczeni mogli myśleć, że odwołuje się do najlepszych stron ludzkiej natury. Czyż nie jest szczytnym celem zapewnienie niezachwianego szczęścia wszystkim przyszłym pokoleniom, wyzwolenie i zjednoczenie całej ludzkości? Oczywiście, taki cel nie może być łatwy do osiągnięcia, ale wart jest wielkich ofiar. Równie naturalne jest to, że wielu samolubnych ludzi będzie się sprzeciwiało i musimy być wobec nich bezlitośni. Dopiero miliony jednostkowych dążeń stopionych w jedno niezwykłe "my", zjednoczonych w żelaznej pięści Przywódcy, może osiągnąć tak trudny cel.

Jednak ten okres uniesienia był bardzo krótkotrwały. Różne grupy ludności sowieckiej po kolei chłodły, trzeźwiały, a następnie nie mogły uwierzyć w swój dawny entuzjazm. Opuszczona mniejszość reagowała na tę dezercję dalszą bezwzględnością i determinacją: "Uszczęśliwimy ich wbrew ich woli; ich dzieci będą nam wdzięczne". Nie będę opisywał masowej rzezi wynikłej z tej determinacji. Była opisywana wielokrotnie. Sterroryzowana większość uległa w wymuszonym entuzjazmem, bowiem ponury wygląd był przestępstwem. Ale w głębi pozostał cichy, bierny opór. Mniejszość "wierzących" z biegiem czasu zmieniała się w rządzącą klikę, która utraciła swoje ideały w ciągłej walce o przetrwanie w korupcji i nadużyciu władzy i przywilejów. Wynikną z tego sytuację polityczną można najlepiej określić jako utajoną wojnę domową, w której jakąś równowagę utrzymuje terror.

W ten sposób Związek Sowiecki osiągnął stan, w którym absolutną władzę sprawują ludzie całkowicie cyniczni nad ludźmi całkowicie cynicznymi, a obie strony nawzajem się hańsliwie zapewniają, że nadal szczerze budują przyszłe idealne społeczeństwo. Ale ideologia istnieje teraz jak gdyby w fantastycznej powieści: oddzieliła się od swojego podłoża i skamieniała w strukturze społeczeństwa. Stała się instytucją, w której nikomu /nawet najwyższym przywódcom/ nie wolno w słowach odstąpić od martwego dogmatu. Nadal odbiera się milionom ludzi ich wolę i stąpa w żelaznej pięści abstrakcji.

Praktycznie nie ma ani jednego wolnego człowieka w całym kraju. Państwo - jedyny pracodawca - nie pozwoli nikomu na niezależność finansową; nie może być tolerowana także niezależność żadnego rodzaju. Każdy musi spełniać pozytywne zadanie, wykonywać potrzebną funkcję. Kilka ogólnokrajowych siatek

agentów bezpieczeństwa i tajnej policji szpieguje najpierw siebie nawzajem a potem, wspólnie, wszystkich innych. System taki wytworzył nowy typ człowieka, który myśli jedno, publicznie wypowiada drugie, a robi trzecie.

Niezwykła bezwładność tego systemu nie powinna dziwić. Nie ma już "wrogów klasowych", nie ma potrzeby terroryzowania tak wielu milionów ludzi. Jednakże istnieją nadal wielkie obozy koncentracyjne, bowiem stały się integralną częścią gospodarczego, politycznego i duchowego życia kraju. Nikt już nie wierzy w ostateczne zwycięstwo komunizmu na świecie, ale polityka działalności wywrotowej i popierania "sił socjalistycznych" na całym globie stała się integralną częścią maszyny państwowej. System rządzi ludźmi.

Poza bezwładem jest jeszcze coś więcej, nawet bardziej decydującego: instynkt samozachowawczy rządzącej klikki. Skoro raz wsiadło się na tygrysa, trudno z niego zeskoczyć. Wszelka próba wewnętrznej liberalizacji może okazać się zgubna. Jeżeli władza centralna znacznie słabnąc, to sam zasób nienawisni nagromadzonej w ludziach w ciągu tych 65 lat socjalistycznego eksperymentu byłby tak niebezpieczny, wyniki jakiegokolwiek reformy tak nieprzewidywalne - a przede wszystkim władza, bajeczne przywileje, samo fizyczne przetrwanie rządzącej klikki tak niepewne - że szalenstwem byłoby oczekiwać od przywódców sowieckich zabawy w liberalne idee. Tylko bezpośrednio zagrożenie całkowitą katastrofą mogłoby ich zmusić do wprowadzenia reform wewnętrznych.

Dwie strony systemu sowieckiego - wewnętrzny ucisk i agresywność zewnętrzna - są nierozdzielnie zespolone i tworzą jakieś błędne koło. Im bardziej reżim jest zepsuty od wewnątrz, tym więcej trudu zadają sobie jego przywódcy, żeby przedstawić zewnętrznemu światu groźne oblicze. Napięcie międzynarodowe potrzebne im jest tak jak ciemność złodziejowi. W klimacie politycznym utajonej wojny domowej, przy olbrzymich i bezsensownych ofiarach ostatnich pięćdziesięciu lat, stałych trudnościach gospodarczych i przy braku podstawowych praw - nie wspominając, jeszcze raz, o niezwyklej przywilejach, z jakich korzysta rządząca klikka - jedyna nadzieja na stabilność leży w konieczności przeciwstawienia się zewnętrznemu zagrożeniu: "wrogiemu okrażeniu" i wywrotowej działalności "światowego imperializmu". W tym sztucznie stworzonym stanie wojny domagane się przez robotników poprawy warunków czy domaganie się niepodległości przez ujarzmione narody można traktować jako czyn wywrotowy, "idący na rękę wrogowi".

Nie wystarczy samo stworzenie diabła, aby utrzymać żarliwość religijną. Ten wyobraźniowy wróg musi być pokonywany ciągle od nowa, bo inaczej jest niebezpieczeństwo, że się skusi. Amerykański "imperializm" musi być pokonany za wszelką cenę, a wyzwolenie proletariatu w krajach kapitalistycznych trzeba popierać wszelkimi środkami. Niepowodzenie w popieraniu "zaprzężających rządów", w ustanowieniu władzy komunistycznej w kolejnym kraju będzie natychmiast przyjęte wewnątrz, jako słabnięcie sowieckiej potęgi, a zatem będzie zachętą dla przynębionej i rozgoryczonej ludności. Wszelkie niepowodzenie sowieckich awantur międzynarodowych może w ten sposób wywołać reakcję łańcuchową, prowadzącą do ostatecznego upadku sowieckich władców. Dlatego właśnie nie mogą znieść powstania ludowego na Węgrzech, "Fraskiej Wiosny" w Czechosłowacji, antykomunistycznej "świętej wojny" w Afganistanie czy niezależnego, alternatywnego ośrodka władzy w Polsce. Natychmiastowa reakcja daje się odczuć we wszystkich innych krajach obozu socjalistycznego, a także na Ukrainie, w krajach bałtyckich, w Azji Środkowej i na innych okupowanych terenach. Scenariusz agresji jest przynębiająco jednolity. Najpierw Sowiety podkopują państwo demokratyczne, pomagając zaprzężonym "siłom postępowym" w dojściu do władzy. Następnie muszą ratować swoich "postępowych" przyjaciół, kiedy opór ludności grozi ich obaleniem.

Czy więc ze strachu stają się agresywni? Tak, ale nie ze strachu przed waznymi stosami żelastwa czy przed własnymi niezdanymi wysiłkami obronnymi. Boją się własnego narodu, bowiem wiedzą, że koniec jest nieuchronny. Dlatego muszą odnosić kolejne zwycięstwa nad "wrogiem okrażeniem". Za każdym takim zwycięstwem kryje się bardzo prosta przestroga dla własnej zniewolonej lud-

ności: "Popatrzcie, jesteście jeszcze bardzo silni i nikt nie śmie przeciwstawić się naszej potęgze".

Jeżeli się was boją, to boją się waszej wolności i dobrobytu. Nie mogą znieść demokratycznego kraju w pobliżu swoich granic /a także w pobliżu granic swoich państw buforowych/, bowiem tak bliski żyły przykład kwitnącej demokracji mógłby okazać się zbyt prowokujący.

Wiedząc to wszystko, zadajemy sobie pytanie: co staroby się, gdyby Zachód jednostronnie się rozbroił? Czy Sowiety poszłyby za jego przykładem? Z pewnością nie. Taki krok oznaczałby gwałtowny rozpad ich imperium i ogólną klęskę ich władzy. Czy znaczy to, że po prostu zajęłyby bezbrojne kraje zachodnie? Znowu nie. Nie potrzebują waszych terenów, które przecież byłyby trudne do utrzymania. A przede wszystkim skąd brałyby towary, technikę, kredyty, zboże itd., gdyby narzuciły wam swój niesprawny system ekonomiczny? Jesteście im potrzebni, tak jak Hong-Kong potrzebny jest Chinom. A le od tej chwili i stopniowo tracilibyście swoją wolność, będąc wystawieni na nieustanny i nieumiarowany sowiecki szantaż.

Możecie lubić swoje związki zawodowe czy ich nie lubić, ale czy chcielibyście, aby w każdym wypadku, kiedy postanawiają ogłosić strajk, musiały brać pod uwagę możliwość obcego najazdu - jak Solidarność musiała robić w Polsce przez osiemnaście miesięcy? Możecie lubić swoje środki przekazu albo ich nie lubić, ale czy chcielibyście widzieć autocenzurę waszej prasy dla uniknięcia gniewnej reakcji potężnego sąsiada - jak w Finlandii? Możecie lubić swój system przedstawicielski albo go nie lubić, ale przynajmniej możecie wybrać, kogo chcecie, nie licząc się z życzeniami obcego mocarstwa. Nikt nie grozi wam wkroczeniem do waszego kraju i narzucania wybranego przez siebie rządu - jak w Afganistanie. Natura sowieckiego systemu jest taka, że nigdy nie będzie zaspokojony, póki nie staniecie się podobni do nich i nie poddadacie ich panowaniu.

Dochodzimy zatem do bardzo ważnego wniosku: chodzi nie o alternatywę "pokój czy wojna" ale raczej "wolność czy niewola". Pokój i wolność wydają się nierozdzielne, a dawne hasło "lepiej być czerwonym niż martwym" jest po prostu głupie. Ci, którzy się do niego zastosują, będą i czerwoni i martwi. Chcemy, czy nie chcemy, nie będzie pokoju na świecie, nie będzie zwolnienia napięcia międzynarodowego, owocnej współpracy między Wschodem a Zachodem, póki sowiecki wewnętrzny system nie zmieni się radykalnie.

Czy ta prosta i oczywista prawda została kiedykolwiek w ogóle zrozumiana przez zachodnie koła miarodajne? Nie wydaje mi się. Mogą podzielać niektóre troski ruchu pokoju. Bowiem automatyczna reakcja Zachodu zwiększającego wydatki wojskowe i składującego nowe stopy żelastwa za każdym razem, kiedy ujawnia się sowiecki kompleks niepewności i agresji, po prostu mija się z celem. W każdym razie jest niewystarczająca. Nie zmierza do zmiany systemu sowieckiego. Nie zmierza do zapobieżenia ekspansji sowieckiej, zwłaszcza w Trzecim Świecie. sowiecka wojna ideologiczna jest o wiele dotkliwsza niż wielka pałka jądrowa. Czy na przykład zastanawialibyśmy się nad użyciem broni atomowej jutro, gdyby wybuchł w Pakistanie podsycony przez Moskwę bunt jakichś plemion? Albo gdyby dokonał się komunistyczny zamach stanu w Iranie?

Istnieje w świecie wiele "naturalnych" problemów wywołanych przez miejscowe warunki. Ale oddziaływanie Moskwy zmienia je natychmiast w poważne problemy strategiczne. Byłoby bezsensowne usiłowanie rozwiązania wszystkich takich problemów na całym świecie środkami wojskowymi. Prosta logika wskazuje, że musimy przede wszystkim zająć się źródłem najpoważniejszego problemu świata - to jest systemem sowieckim. Musimy znaleźć skuteczny sposób dopomożenia ludności Sowietów w jej walce o przemianę. Choćby dlatego, że są naszym największym sprzymierzeńcem.

Niestety, nie zostało to dotychczas dostrzeżone przez Zachód, który zamiast tego wspiera system sowiecki kredytami, handlem, techniką. Po co by So-

wiety miały wprowadzać jakieś reformy wewnętrzne, jeżeli Zachód nieustannie wspiera ich niewydajną gospodarkę? Zachód jest nadal jeszcze wystarczająco bogaty, żeby im pomagać, a Syberia jest również wystarczająco bogata, żeby sprzedawać gaz ziemny, złoto, diamenty.

Możemy trząść się z oburzenia, kiedy słyszymy o sowieckim najeździe na kolejny kraj. Nienawidzimy tych posłusznych żołnierzyków, gotowych do wykonywania każdego rozkazu. Czy to są roboty? Ale co naszym zdaniem powinni zrobić? Czy rzeczywiście spodziewamy się, że się zbuntują i staną przed plutonem egzekucyjnym, kiedy cały świat będzie nadal dostarczał ich katom towarów, kredytów i nowoczesnej techniki? Czy nie żądamy od nich więcej niż od siebie? W jakiś sposób musimy przerwać to błędne koło w którymś miejscu, jeżeli mamy przetrwać jako istoty ludzkie. Czemu nie zacząć w najszabszym punkcie?

W obecnej chwili 90 000 tych robotów jest zamkniętych w Afganistanie. Nie mogą się buntować, bo zostaną rozstrzelani. A i tak zdarzają się bunty /i egzekucje/. Nie mogą zdezerterować, bo albo zginą w czasie ucieczki, albo, jeżeli będą mieli tyle szczęścia, że przedostaną się do Pakistanu, władze tego kraju przekażą ich dowództwu sowieckiemu /co znów sprowadza się do plutonu egzekucyjnego/. Czy jakiś rząd próbuje im pomóc? Nie. Natomiast kilka rządów europejskich postanowiło importować sowiecki gaz ziemny, może ten sam, który władze sowieckie wydobywają w Afganistanie jako zapłatę za "wyzwalanie" tego kraju.

Jest teraz wiele hałasu wokół Polski. Wiele hałasu i potężna zasłona dymna. Ale czy jakiś rząd cokolwiek poświęcił? Po wydaniu gromkich oświadczeń rządy europejskie postanowiły nie stosować sankcji gospodarczych wobec bloku wschodniego, bowiem te "może bardziej dotknęłyby nas samych". Dlaczego zatem nawiązujecie wymianę, która sprawia tylko, że jesteście bardziej wrażliwieni niż nieprzyjaciel? Dlaczego podpisujecie nowe porozumienia tego samego rodzaju /np. w sprawie gazu ziemnego/? Ostatnio amerykańskie banki postanowiły pokryć olbrzymi polski deficyt, bo "bankructwo Polski podkopałoby światowy system finansowy". Zastanawiam się, co by było, gdyby jutro kraje bloku sowieckiego odmówiły zapłaty swoich długów i zawiesiły całą wymianę handlową?

Oto właśnie, do czego się sprowadza walka o pokój i wolność: ludzie na Wschodzie poświęcają swoje życie, a wy żałujecie waszych zysków. Trudno się dziwić, że polskie wojsko się nie zbuntowało.

Właściwie nałożenie sankcji gospodarczych na polską juntę wojskową i jej sowieckich zwierzchników nie jest tylko jednym z możliwych kroków; jest to konkretne z o b o w i ą z a n i e krajów zachodnich na mocy porozumień helsińskich. Bezpośredni związek bezpieczeństwa, współpracy gospodarczej i przestrzegania praw człowieka należy do istoty tego porozumienia. Jeżeli teraz o tym się zapomina, to jaki ma sens ten cały hałas dochodzący z Madrytu?

W gruncie rzeczy nie wierzę, żeby czegoś zapomniano. Nie wierzę też, że zachodnie banki, zachodni przemysłowcy i zachodnie rządy były takie "głupie", że przez niedopatrzenie zaprzęgały się do wschodniego rydwanu. Jest to ich świadoma polityka, otwarcie formułowana w erze odprężenia, a teraz skrycie realizowana. Poza tym jest to ich filozofia. Oni kochają stabilizację, ci bankierzy i przemysłowcy. I są stanowczo przeciwni wszelkiemu ruchowi oporu w krajach komunistycznych, przeciwni wszelkim perspektywom liberalizacji w uciskanych krajach Wschodu. Są oni ludźmi najbardziej miłującymi pokój, o wiele potężniejszymi niż tłumy na ulicach stolic europejskich. Dzięki nim powoli wступujemy w Erę Ciemności.

II.

Artykuł ten nie jest kierowany do bankierów ani do rządów. Nie spodziewam się od nich żadnej pomocy. Mimo wszystkich szorstkich słów, chciałbym, żeby

był czytany przez szczerych ludzi poważnie zainteresowanych sprawami pokoju i wolności. Może nie spodoba im się wiele rzeczy, które tu powiedziałem. Jednak mam nadzieję, że zrozumieją główną myśl: nigdy nie utrzymano pokoju historycznym pragnieniem pozostania przy życiu za wszelką cenę. Nigdy go także nie zapewniono gładkimi frazesami i tanimi hasłami. Na Wschodzie żyje czterysta milionów ludzi, którym ukradziono wolność i których los jest rozpaczliwy. Tak się składa, że pokój nie jest możliwy, póki pozostają w niewoli i tylko współpracując z nimi /a nie z ich katami/ możecie zmierzać do zapewnienia prawdziwego pokoju na naszym świecie.

Wasze ostatnie demonstracje były odrażające, bowiem przez nie utożsamiliście się, chcąc nie chcąc, świadomie czy bezwiednie, z władzami wschodnich krajów. Nawiazywanie rozległych sojuszków z jakimikolwiek publicznymi /czy rządowymi/ siłami tylko z powodu posiadanej przez nich władzy jest straszliwym błędem. Ten błąd trzeba naprawić, jeżeli mamy żyć w pokoju i wolności. Musimy zrozumieć, kto jest naszym przyjacielem, a kto wrogiem. Los "Solidarności" powinien otworzyć nam oczy.

.....

Przedruk z COMMENTARY, maj 1982

Większość wykorzystanego wyżej materiału na temat wczesnego etapu II wojny światowej pochodzi z książki Nikołaja Tokstoję, S t a l i n ' s S e c r e t W a r /1981/, gdzie znajdują się odpowiednie odnośniki.

TRZEBA WIĘC DALEJ RYZYKOWAĆ

Pytanie: Józef Tischner napisał jakoś tak, że społeczne życie człowieka jest ciągiem wydarzeń i świadomością ciągu wydarzeń. Jest faktem i wiedzą o fakcie. Chciałbym, by było to motto naszej dzisiejszej rozmowy. Chodzi mi o świadomość tego, co przeżywalimy od Sierpnia i potem w ciągu 16 miesięcy 80-ego i 81-ego roku aż po pamiętną noc z 12 na 13 grudnia. Co myślał Pan o "Solidarności", a co myśli Pan obecnie?

Gemma: Może wpierym powiem, jaki był mój ówczesny stosunek do "Solidarności". On był, jak mi się zdaje, dwójsty. To znaczy od chwili jej powstania bardzo pozytywny, wynikający z mojego przekonania, że jest to siła antyreżimowa, antykomunistyczna. Wszystkie moje uczucia były w to zaangażowane, ponieważ wiedziałem, że powstaje coś, co może doprowadzić do zmiany władzy, a przynajmniej do zmiany kształtu tego reżimu. Tak myślałem aż do grudnia. Popierałem najbardziej ekstremalne akcje "Solidarności" widząc, że jest to jakiegoś mocowanie się i że trzeba pchać się naprzód. Znając zasady funkcjonowania tego reżimu wiedziałem, że jeśli ta siła nie pójdzie naprzód i nie będzie reżimu wypierała, sam się zacznie pchać do przodu, bo jego natura jest taka, że albo sam jest siłą, albo przed siłą się ugnie.

P: Ale "Solidarność" początkowo była związkiem zawodowym, a potem?

G: Ja tego tak nie odczuwałem, nie. Rozumiałem, że są tam jakieś trendy związkowe, ale dla mnie one nigdy nie były specjalnie ważne, ponieważ nigdy nie miałem żadnego zainteresowania dla ruchów syndykalnych. Uważałem, że jest to bardzo dobrze wyizolowane, że jest to jakby społeczność na ten reżim. Ta nowa forma syndykalizmu tutaj wymyślona była jedynym sposobem, który mógł doprowadzić do zalegalizowania tej siły antyreżimowej i do tego, aby ona aktywnie działała. Natomiast była tego jakaś druga strona, ale ona już wynika z cech mojego charakteru. Wszystko akceptując, bardzo ostro widziałem słabości, a nawet wszystkie niedze tego, jak i każdego ruchu społecznego. Ale, jak powiedziałem, może jest to moja osobista nieufność do wszelkich ruchów społecznych. Widziałem, jak się tam wypychają okropni ludzie, jak załatwiają przy okazji swoje niezbyt ładne interesy, usiłują coś na tym wygrać ze szkodą dla tego ruchu, a korzyścią dla siebie. Tak to jest, to leży w naturze ludzkiej i w naturze życia społecznego, że wszystkie ruchy społeczne są penetrowane przez ludzi żądnych władzy, nadmiernie ambitnych, żądnych pieniędzy i pozycji społecznej i że po prostu inaczej być nie może. Dlatego byłbym nieufny do każdego ruchu społecznego, nawet najszlachetniejszego. To są - tak dzisiaj uważam - koszty własne każdego ruchu. Z dzisiejszej perspektywy, już pogrudniowej, wydaje mi się to nieważne. Ta moja nieufność do "Solidarności" nie zmieniła dla mnie zasadniczego sensu tego ruchu, który akceptowałem bez zastrzeżeń do końca.

P: Dlaczego "Solidarność" stała się tak masową organizacją?

G: A ja nie wiem, dlaczego ludzie szli do "Solidarności". Czy rzeczywiście chcieli związku? Prawdopodobnie niektórzy chcieli. Myślę, że nie mamy takiego rozeznania nastrojów robotniczych, czy nastrojów chłopskich. W moim przekonaniu ludzie szli do ruchu, bo chcieli mieć coś w zakładach jakiś aktywnie działający związek, lecz przede wszystkim nie chcieli w Polsce tak żyć. Był to protest przeciwko takiemu życiu. Dostyc tego! Ponieważ to odczuwali prawie wszyscy w Polsce, więc też i prawie wszyscy znaleźli się w "Solidarności". Ja myślę, że poszli nie dlatego, że chcieli tylko związku. Ludzie na górze w "Solidarności" mieli dość wyraźną koncepcję. Tam pewnie było kilka koncepcji może ściągających się, ale w sumie chodziło o to, żeby zmienić. Czy to ma być związek, czy to jest partia polityczna, która udaje związek, czy to jest związek, który się przechyla w stronę partii politycznej - to wszystko zostało narzucone przez reżim, który usiłował przy pomocy działań propagandowych "Soli-

darność" rozbić. Natomiast koncepcja ogólna była taka, żeby przy pomocy tej siły społecznej zmienić warunki i strukturę życia polskiego. I co do tego, wydaje mi się, była w całym tym związku zgoda. Wszyscy się na to zgodzili. A różnice były dopiero w tym, jak tę koncepcję wykonywać. W sferze działania popełniono niesamowitą ilość błędów taktycznych od sierpnia do grudnia. Można by te błędy wyliczać, tylko że to jest zadanie jałowe, bo bez względu na to, czy popełniono więcej błędów, czy nie popełniono żadnego błędu, to by się skończyło tak samo, jak się skończyło. Bo reżimowi nie te błędy szkodziły, tylko nie mógł przeżyć w ogóle istnienia tej siły społecznej. Gdyby ta siła społeczna, będąc taką samą potęgą, ograniczyła się wyłącznie do celów związkowych, to dla reżimu byłoby też nie do strawienia i też musiałby to zniszczyć siłą. Sam zepchnąłby związek na pozycje polityczne, bo łatwiej byłoby mu się z tym załatwić. A załatwić by to musiał i tak, i tak, bo to zagrażało przecież podstawom jego istnienia i życiu ludzi z establishmentu. Błędy są nieważne z tej perspektywy.

P: Czy świadomość, że istnienie "Solidarności" było właściwie niemożliwe w ustroju, w jakim przyszło nam żyć, ma Pan dopiero teraz, czy wiedział Pan o tym wcześniej, a jeśli tak, to kiedy?

G: Myślę, że w tym jestem dość typowy. Nie wynika to chyba z moich indywidualnych cech. Tak to odczuwano wielu ludzi, zwłaszcza w moim wieku, to znaczy tych, którzy prawie całe życie przeżyli w Polsce Ludowej. Tu znów moje myślenie było dwoiste. Z jednej strony całe moje życie, doświadczenie mojego życia, mówiło mi, że komunisci to zniszczą, ponieważ inaczej działać nie potrafią, nie mogą, bo z ich istoty komunistycznej wynika to, że nie mogą znieść obok siebie żadnej konkurencji. Więc wiedziałem, że to jest skazane na zniszczenie. Ale była to wiedza czysto teoretyczna albo może zawarta w jednej z warstw mojej świadomości. Dawałem się ponosić, jak wielu ludzi, nadziejom, że nastąpi finlandyzacja, że Rosjanie z istnieniem tego się zgodzą. Było to naiwne, dziecinne, ale to wynika chyba z charakteru ludzkiego, że człowiek daje się ponosić pragnieniom, że nie może żyć bez nadziei.

P: A jaki jest dziś Pana stosunek do "Solidarności"?

G: O, znacznie lepszy. Po pierwsze zostali w tej organizacji ludzie najlepsi, zdecydowani oś zaryzykować. A poza tym już widzę jako niezwykle ważne zjawisko w historii Polski. Widzę wszystkie korzyści, jakie wyniknęły, wynikają i jeszcze będą wynikać z tego, że "Solidarność" istniała i w jakichś formach nadal istnieje. Natomiast nie widzę żadnych - jakby to powiedzieć - strat, jakie z powodu istnienia "Solidarności" ten naród poniósł czy mógłby ponieść. Przeciwnie, wszystko, co jest związane z "Solidarnością", jest dla tego narodu korzystne. I wszystko, co było związane z "Solidarnością", w perspektywie historycznej, okaże się korzystne. Choć wiem, że "Solidarność" istnieć nie będzie, że te formy opozycyjne albo przerodzą się w coś innego, albo zanikną, albo odródzą się w jakichś innych formach, albo zostaną zniszczone przy pomocy terroru. Ale to, że ta siła społeczna dzisiaj istnieje, wydaje mi się niezwykle korzystne dla duchowego stanu narodu, dla naszego ducha.

P: Jakie miejsce przeznaczyłby Pan Sierpniowi w historii; czy jest to jeszcze jedno powstanie, czy jakaś historyczna cezura?

G: Od jesieni 1980 roku byłem głęboko przekonany, że dzieje się coś takiego, co swoim wymiarem historycznym dorównuje czy to Konfederacji Barskiej czy Powstaniu Listopadowemu; że jest tak samo ważne dla dziejów tego narodu, dziejów ducha narodowego. Gdyby nie powstania dziewiętnastowieczne, to Polski w ogóle by nie było i nastąpiłaby rusyfikacja ducha polskiego. Taki był wymiar Powstania Listopadowego. W XX wieku taki sam był wymiar tego, co się stało od Sierpnia 1980 do grudnia następnego roku. Te wypadki zapobiegły sowietyzacji narodu czy całkowitemu rozkładowi moralnemu i duchowemu, ku któremu społeczeństwo niewątpliwie zmierzało. Przed Sierpniem wielokrotnie mówiliśmy, że następuje coraz większa sowietyzacja, że ulica warszawska jest coraz bardziej sowiecka, że wszystkie przejawy życia duchowego są niepostrzeżenie infiltrowane przez ducha rosyjskiego, który występuje w sowieckim przebraniu. Otcz

sierpniowy wybuch przerwał proces sowietyzacji. Odwrócił go, cofnął i przywrócił społeczeństwo polskie chyba do stanu z roku 1945. Oczywiście, nie jest to identyczne, bo jest to inne społeczeństwo, o innej strukturze klasowej, inaczej myślące. Ale rodzaj oporu, nastawienia do władzy, rządzącej z polecenia rosyjskiego jest w tej chwili taki sam, jaki był w latach 1944-45 do władzy, która z Rosji wtedy przychodziła. W latach 50-ych i 60-ych, i gdzieś do połowy lat 70-ych dokonywał się tu proces "legalizacji" władzy komunistycznej. Wyglądało na to, że naród, a przynajmniej jego bardzo znaczące warstwy, zdają się z tą władzą godzić i uznawać, że ze względu na to, co przynajmniej temu narodowi, ma prawo nim rządzić. Wydawało się chwilami, że ci protestujący intelektualni są osamotnieni i że ze swym myśleniem znaleźli się na marginesie narodu. I właśnie Sierpień zrobił to, że doprowadził świadomość całego narodu, świadomość robotników przede wszystkim, do świadomości tych grupek opozycyjnych, które istniały tutaj od lat 60-ych. A po cichu przecież takie nielegalne grupy inteligenckie istniały zawsze.

Na Sierpień złożyło się znikczemnienie życia polskiego nie do wytrzymania dla dwudziestolatków i trzydziestolatków. Nie mam więc tego poczucia, że na Sierpień zaważyły marzec 1968, grudzień 1970 czy czerwiec 1976. Może, choć nie jestem tego pewien, bo wykonało to już inne pokolenie. Ludzie z tamtych protestów byli, co prawda, aktywni po Sierpniu w strukturach "Solidarności"... Natomiast o tym, że w ogóle Sierpień się odbył, zdecydowała postawa dwudziesto-, trzydziestolatków, i nie inteligentów. Ludzie, którzy nie mieli nic wspólnego z oporem przeciwko tej władzy, nagle przestawali godzić się z tym, że są poniżani - poniżani w każdy sposób. W pracy, na ulicy, w sklepie.

Ale choć wrócić jeszcze do znaczenia historycznego tych 16 miesięcy, to znaczy do historycznego znaczenia "Solidarności". Otóż właśnie świadomość, że jest to coś bardzo ważnego, coś w rodzaju Powstania Listopadowego czy Konfederacji Barskiej, miałem bardzo wczesnie. Natomiast teraz wydaje mi się, że jest jeszcze ważniejsze. Sądzę, że jest to jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach Polski. Ze względu na swój ogólnonarodowy charakter. Powstanie Listopadowe było wykonywane przez elitę i przez grupę wojskowych. Zaczęło się przecież od grupy chłopców. Potem to cały naród ich poparł, ale... ale przecież szerokie sfery społeczeństwa były nieczynne, nie mówiąc o chłopach. I mieszczaństwo było też miernie czynne. Trum chwilami wychodził na ulicę, jak 15 sierpnia w okresie rozruchów, natomiast taki ruch, w którym wzięłoby, powiedzmy 80% narodu czy 70% społeczeństwa, nawet w sensie duchowego poparcia, a nie czynnego działania, to taki ruch w ogóle w dziejach się nie zdarzył. Być może, wydarzyło się coś, co dorównuje takiemu wydarzeniu, jakim był Chrzest Polski. Dzięki Papieżowi, dzięki splotowi stosunków międzynarodowych, a w dużej mierze chyba dzięki temu, co ruch "Solidarności" zdołał zrobić dla zmiany świadomości Polaków - nastąpiła na przykład wyczuwalna zmiana w stosunkach polsko-niemieckich. Po raz pierwszy od czasów Ottona, a więc po raz drugi w dziejach Polski, została Polakom dana szansa przyjaznego ułożenia stosunków z Niemcami. Jest to zupełnie niebywałe. Po raz drugi w dziejach Polski mamy tylko jednego wroga, a nie dwóch. Duża część Polaków już sobie z tego daje sprawę. Oczywiście, to nie łączy się wprost z działalnością "Solidarności", lecz ze stosunkiem do Niemców i z działalnością Niemców, a więc z całą sytuacją międzynarodową. Ale niewątpliwie "Solidarności" przerwała tę strasliwą kampanię antyniemiecką, to judzenie komunistyczne, które teraz wraca. I to jest wydarzenie w dziejach Polski niebywałe. Chwilami mi się zdaje, że to, co się wydarzyło, także przez swoje trwanie w czasie - to trwało wprawdzie krócej niż Konfederacja Barska, ale ona gdzieś tam się odbywała, gdzie indziej jej już nie było - natomiast to trwało na terenie całej Polski. I dłużej niż Powstanie Listopadowe. Znacznie bardziej było też masowe niż wszystkie dotychczasowe powstania narodowe... Czasami wydaje mi się, że dane mi było przeżyć jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach Polski i ogromną radością napełnia mnie myśl, że mogłem w tym uczestniczyć i że dalej w tym uczestniczyć bez względu na to, jak to się okropnie wszystko skończyło. Bo mam takie poczucie, że się skończyło.

P: A co nam z tego zostało?

G: Co z tego zostało? Niezliczona ilość rzeczy. Zecznijmy od tego, co jest najważniejsze i zasadnicze dla istnienia naszego i dla istnienia przyszłych pokoleń. Została Polska. Polska jako pewna wartość duchowa, wartość niezniszczalna, została jeszcze raz potwierdzona przez "Solidarność". Można powiedzieć nawet, że - pamiętając, o czym przedtem mówiliśmy, o tej sowietyzacji życia polskiego - że Polska została ocalona przez "Solidarność". I to jest oczywiście najważniejsze. Jeśli została Polska i duch polski wzmożił się, odrodził, odnowił, rozszerzył, spotęgniał, utrwalił się w swoim byciu metafizycznym, to oczywiście zostało wszystko odnowione, spotęgowane, odnowione to, co ten duch zawiera. Powstały dla nas jeszcze niejasne /o tym będzie można mówić za kilka, a może za kilkanaście lat/ jakieś nowe formy życia polskiego. Jakies nowe formy związków między ludźmi, ale powiadam, to jest niejasne. Ocalając Polskę, te miesiące jednocześnie coś jakby zmieniły w charakterze polskości. To, co dla mnie jest niesłychanie ważne: w pewnym sensie literatura polska została ocalona przez fakt tego zrywu narodowego. Ona oczywiście była niepodległa i przedtem w pewnych swoich przejawach, ale się umocniła, uzyskała oddech, uzyskała jakieś rezerwy, z których będzie przez następne dziesięciolecie czerpać. Ta podległość, to powolne dominowanie ducha sowieckiego, którego świadkami byliśmy tutaj w minionych latach, zostało powstrzymane i już prawdopodobnie nigdy, a przynajmniej w najbliższych latach nie uda się narzucić przejawom duchowym życia polskiego tego stopnia zniewolenia, jaki był mu narzucony. Co jeszcze zostanie po "Solidarności"? Nieskończona ilość rzeczy w świadomości ludzkiej, to znaczy w poczuciu ludzi. Wzmocniła się duma narodowa, także duma jednostkowa. Ludzie uzyskali poczucie swoich praw. Bardzo trudno będzie im nie przyznawać tych praw. Bo będą wspominać te miesiące i mówić, że mieli takie prawa i teraz chcą je mieć dalej. I przez dziesięciolecie będą się do tego odwoływać. Myślę, że bez względu na to, co będzie dalej, jakkolwiek źle by było, to istnienie "Solidarności" ograniczyło możliwość diabelskich manewrów władzy. Będzie musiała się odłączyć z tym, że coś takiego było i może wrócić; będzie musiała ludziom wiele rzeczy przyznać, z samego strachu, żeby to nie wróciło. A ludzie będą żądali coraz więcej, wspominając, czym się stali przez te kilkanaście miesięcy.

P: Czy jest Pan za reaktywowaniem "Solidarności"?

G: Nie ma chyba odpowiedzi na to pytanie. Mogę odpowiedzieć: owszem, jestem za reaktywaniem "Solidarności", tylko co to znaczy, kto by ją miał reaktywować i w jakiej formie. Nie mam żadnej gotowej myśli na ten temat. Jestem chyba przeciwny reaktywaniu jej w jakichś formach szczątkowych i zdominowanych przez władzę. Choć też nie jestem pewien tego, czy nie należałoby podjąć takiej szansy, gdyby się wyłoniła.

P: Co dalej? I co należy robić?

G: Nie wiem. Z tego, co dotychczas powiedziałem, jasno chyba wynika, że to, co było, uważam za ogromne zwycięstwo, bo jest to zwycięstwo jak gdyby w innej sferze, nie w sferze materialnej, tylko w sferze ducha, i wobec tego cokolwiek by się dalej działo, naród jest zwycięzca. Jednocześnie wiem, że na jakieś spektakularne zwycięstwo teraz nie można liczyć. Mogłbym raczej powiedzieć, co chciałbym, żeby było. Ale to nie miałyby nic wspólnego z rzeczywistością.

P: Trzeba przecież przyjąć jakąś postawę, jakiś sposób życia w stanie wojennym. Co zaproponował Pan sobie i co doradziłby Pan tym, którzy by Pana o takie wskazówki prosili?

G: Dla siebie oczywiście mam taką postawę wymyśloną i wiem, co mam robić, ale mnie to nie przychodzi trudno, ponieważ ja przed Sierpniem i w czasie tych kilkunastu miesięcy mniej więcej myślałem tak samo, robiłem to samo i dalej będę robił swoje. Ale to nie jest recepta dla kogokolwiek. Trzeba robić swoje w sferze ducha, w sferze kultury. Trzeba korzystać z tego zwy-

ciężstwa, które zostało odniesione i trzeba je utrzymywać. Dla mnie jest zupełnie jasne, że trzeba kontynuować szansę tamtych miesięcy zachowywania się jak ludzie wolni. Trzeba się dalej opierać o człowieka wolnym. Ale to jest recepta psychologiczna. Myślę, że wiele wskazuje na to, że ludzie dalej czują się wolni pod przykrywką stanu wojennego. Natomiast jak miałyby się zachować Komisja Krajowa "Solidarności" - tego nie wiem, naprawdę nie nadaje się na doradcę tego związku.

P: Nie o Komisję taką czy inną mi chodzi. Chodzi mi o nas wszystkich. Są ludzie, którzy muszą wybierać i to dotyczy wielu dziedzin życia, także zresztą i kultury. Pytam więc, jak ma się zachowywać społeczeństwo, które w większości składa się z wytwórców drobnych rzeczy codziennego użytku?

G: Pyta mnie Pani, czy należy zawrzeć kompromis z diabłem. Pewno należy - w jakichś sprawach. Trzeba iść po bułki, trzeba iść do pracy, trzeba coś robić w pewnych sferach... Jednocześnie, ponieważ okazało się, że opór się temu społeczeństwu opłaca, i to jest właśnie lekcja Sierpnia, trzeba dalej opór stawiać. Nie należy iść na rękę diabłu, więc nie należy niszczyć, bo takim wielkim psują jest właśnie diabeł, więc nic nie należy niszczyć, wręcz przeciwnie: to powinien być opór, który by wzbogacał to społeczeństwo. Trzeba dążyć dalej do wytwarzania i kontynuowania nowych form życia, trzeba tworzyć samorządne życie, bo opór w sensie wyjścia na ulicę czy powstania jest jawnie bez sensu. Wobec tego nie należy moim zdaniem chyba tego robić, choć czasem i to jest potrzebne. Bywa, że demonstracja jest po prostu ludziom potrzebna duchowo. Wtedy należy się na to godzić, należy iść na demonstrowanie, licząc się nawet ze stratami i z prowokacją. To jest ludziom potrzebne do życia. Ale nie należy dać się zniszczyć i trzeba to robić rozsądnie.

P: Czy koszty ludzkie, jakie ponieśliśmy w ciągu sześciu miesięcy stanu wojennego uważa Pan za duże?

G: Nie, historycznie są to koszty minimalne. Porównując je z represjami dwudziestowiecznymi, są to koszty zupełnie minimalne. I nie wiem, o czym to świadczy. Czy świadczy o rozsądku tego społeczeństwa, bardzo być może, bo ja nie wiem, z jakim my społeczeństwem mamy do czynienia. Być może, to jest jednak trochę jakieś nowe społeczeństwo, które tu się ukształtowało. Jego rozsądek bywa zaskakujący.

P: W rozsądek władzy Pan nie wierzy?

G: Nie jestem pewien właśnie, czy te minimalne koszty nie są powodowane rozsądnymi działaniami ludzi u władzy, ale za mało mamy elementów, za mało informacji, żeby cokolwiek wiedzieć na ten temat i oceniać. W każdym razie uważam, że są to koszty minimalne i że przy takich kosztach warto kontynuować to, co się dzisiaj robi. Trzeba więc dalej ryzykować, bo Sierpień też był wielkim ryzykiem dla całego narodu i te kilkanaście miesięcy także. Trzeba więc czerpać z tego - jak już powiedziałem - zwycięstwa, ale trzeba je - mówiąc banalnie - twórczo kontynuować. Powstanie, jak sądzę, niezmiernie duża ilość dzieł historycznych, już na pewno powstają, które opisując to, co było, jednocześnie przeniosą to jakby w wyższe regiony, pokażą jakiego typu doświadczenie narodowe to było i co z tego doświadczenia dla narodu wynika. I oczywiście część takich przemyśleń stanie się własnością całego społeczeństwa.

P: Czy jest Pan optymistą, czy pesymistą na najbliższe miesiące?

G: Tak jak po Sierpniu mam dwoistą świadomość. Znajomość tego diabła każe mi być pesymistą, ponieważ jego siła jest absolutna, bezwzględna i nie ogląda się na nic. Ale jednocześnie te kilkanaście miesięcy pokazało jakąś wielką mądrość i rozagę narodu. Podświadomą mądrość, nie wyartykułowaną. Naród sam o sobie nie wie, że jest rozważny, że jest mądry, ale zachowuje się niebывале mądrze, chwilami niebывале rozważnie. I jak wiedza o diable każe mi być pesymistą, tak przecucie zasobów duchowych narodu każe mi być optymistą. Naród powinien sobie z tym dać radę. Wreszcie i mniejsze narody dawały sobie radę. W sferze użyteczności życiowej, tego co będzie, to jestem

raczej pesymistą. W sferze geopolityki także jestem pesymistą, zdecydowanym. Nie widzę możliwości żadnych zmian w najbliższym czasie. Rozsądek mi mówi, że żadna zmiana nie powinna nastąpić, ale historia potrafi nas zaskakiwać i nie wiadomo, czy za dwa tygodnie nie stanie się coś takiego, że dzieje świata potoczą się zupełnie inaczej. Jeśli chodzi o sferę geopolityki, uważam, że skoro jedyną możliwością totalnego zwycięstwa tego narodu jest zmiana jego sytuacji geopolitycznej, uważam za konieczne przeorientowanie myślenia polskiego w duchu dziewiętnastowiecznym. O ile przez lata, pod wpływem intensywnej propagandy, uważaliśmy, że pokój jest wartością bezcenną, dziś uważam, że trzeba wrócić do mickiewiczowskiego "o wojnę powszechną ludów modlimy się, Panie". Bo tylko wojna powszechna może dać Polsce pełną niepodległość. Powtarzam, to przecierowanie myślenia nie może dać żadnych skutków praktycznych dla naszej sytuacji geopolitycznej, bo wywołanie wojny powszechnej nie leży w naszych możliwościach. Chodzi o zdrowie psychiczne narodu. Uważam, że romantycy modląc się o wojnę powszechną wiedzieli o tym i sprawdzili im się, że tylko wojna światowa mogła dać Polsce wolność. Oni zdrowiej myśleli: chcemy niepodległości Polski, to chcemy wojny.

P: Czyba Pan nie czuł? II wojna światowa nie przyniosła Polsce niepodległości... Więc po co wojna?

G: II wojna światowa niczego nie załatwiła, to prawda. Dla przyszłych pokoleń okaże się ona czymś innym niż była dla nas. Lata 1939-1945 będą zupełnie innymi datami. Myślę, że wreszcie zwycięży przekonanie, że w Polsce w 1939 roku dokonano następnego rozbioru Polski i że rok 1949 nie był tak ważny dla losu Polaków, ponieważ kontynuował ten rozbiór, tylko w innej formie. Była to wojna prusko-rosyjska, która skończyła się tym, że zabór niemiecki przeszedł w ręce Rosjan i połączył się z zaborem rosyjskim. Co Rosjanie planowali jeszcze w dziewiętnastym wieku: że zabiórą wszystko Prusakom i Austriakom i zrobią jedno Królestwo Polskie pod swoim berłem.

Czerwiec 1982

Z przygotowanego do wydania w nieoficjalnym obiegu zbioru pt. R o z m o -
w y n i e k o n t r o l o w a n e .

.....

GULIWER NAD WISŁĄ

Gdyby się zamierzano wzbudzić wiarę w prawdziwość wydarzeń na modłę staroświecką, można by odkryć cenny rękopis sprzed 200 lat. Nie byłoby trudno przy niewielkim wysiłku odszukać w wyobraźni w starym Londynie dom, którego nie zburzyły pociski V-1 i V-2, a w tym domu sekretarę, której nikt nie przeszukał starannie od roku choćby 1720. Gdyby bowiem to zrobił, to ku największej radości odnalazłby skrytkę, a w tej skrytce pisany gęsim piórem manuskrypt wielobnego Jonathana Swifta. Rękopis zawierałby dalsze przygody Guliwera. Zdziwiająca fantazja, w której szlachetne i piękne konie utrzymywane w ryzach plugawe i złe zwierzęta dwunożne zwane ludźmi, tłumaczyłaby również przeniesienie podróży niebezpiecznego marynarza w nasze czasy. Są one zresztą, te czasy, znacznie bardziej burzliwe i obfitujące w cudaczne zjawiska niż tamta, już mieszożńska epoka. Wystarczy wspomnieć choćby cesarstwo sierzanta Bokassy, przepadającego za polewicią z niekarnych licealistów. Nie wydaje się jednak konieczny taki zabieg. I bez niego kraj, poznany przez Guliwera w trakcie jednej z wędrówek, można rozpoznać bez trudu.

Wyrzucony na brzeg przez cuchnące morze, oblepiony ludzkim kałem, z nogami poranionymi przez puszki po konserwach - opowiadał Guliwer - znalazłem się przed świtem w jakimś płaskim i sądząc po ugorach zaniedbanym, a nawet zdziwiałym kraju. Ledwie padłem na kolana, aby złożyćwszy dłońie podziękować Wszchemocnemu Panu za cudowne ocalenie, kiedy z zionącej fetorem rozkładu i brunatnej od wyziewów fabrycznych gęstej mgły wyłoniło się kilkunastu ludzi. Otaczali mnie kołem, podchodząc ogromnymi skokami i dopiero kiedy zbliżyli się na parę kroków, zrozumiałem, dlaczego poruszali się tak dziwnie. Mieśoli się mianowicie do półciała w ogromnych, grubych i zapewne niezmiernie ciężkich workach z papieru. Wyglądali w nich jak ci parobcy z folwarków czy służący z oberży, którzy podczas jarmarków czy świąt ludowych uczestniczą w wyścigach w workach, aby po dobiegnięciu do celu zrzucić je z siebie i skoczył na siłopy wysmarowane mydłem z zawieszonym na przeczonym pętem kiełbasy.

Chciałem ich zapytać o powód takiej przebieganki, ale zanim zdążyłem przywołać na twarz zyczołwy uśmiech, paru z nich wyciągnęło zza pachy pistolety, znacznie krótsze od tych, które znałem, ale zapewne również niebezpieczne, a paru innych wydobyło z poohew u pasa długie, białe pałki. Wkrótce miałem się z tymi pałkami zapoznać bliżej i stwierdzić, że chociaż zrobione z kauczuku, biją boleśniej od kijów. "Ręce do góry" - krzyknęli wszyscy naraz - "Jesteś szpieg i dywersant z obcego mocarstwa. Poddaj się albo zginiessz!" Uczyniłem zadość ich życzeniu, co nie sprawiło mi trudności, gdyż właśnie miałem zamiar unieść ramiona ku niebu w podzięce za ratunek. Ten gest, świadczący wyraźnie, że nie mam złych zamiarów i że jestem bezbronny sprawił, że rzucili się na mnie, obalili na ziemię ciosami pałek, a kiedy leżałem na pół omdlały, podnieśli mnie kopniakami w brzuch i głowę. Po czym dwu z nich porwało mnie pod ręce, zasyczało w ucho: "Udawaj, że jesteś pijany. Śmieję się głośno, no!", nadepnęto podkutymi butami na moje bosa stopy i poprowadziło do jakiegoś ponurego gmachu, oznaczonego sztyldem MO, co sobie wytłumaczyłem jako skrót od nazwy "Macierzyńska Opieka". Przekonałem się później, że nie było to wyjaśnienie najbardziej trafne, ale usprawiedliwia mnie zupełnie świeży pobyt w tym kraju.

W dalszym ciągu swojej opowieści, którą już tylko streszczamy, Guliwer zaznajomił słuchaczy z faktami, poszerzającymi trochę znajomość państwa, w którym się znalazł po zatonięciu statku. Dowiedział się mianowicie, że fale wyrzuciły go na piaszczyste wybrzeże PRL, co jak się później dowiedział było przyjętym skrótem nazwy brzmiącej w pełni jako Płaodwta Reformatorów Ludzkości. Mieszkańcy tego płaskiego kraju lubowali się, może dla rozproczenia nudy, w tajemniczych symbolach, nie posiadających przeważnie żadnego znacze-

nia jak PRON lub OKON. Na co dzień w języku pozbawionym urzędowego dostojenia wyznawali, że należą jako obywatele do gatunków workowatych i podgatunków skoczków albo podskakiewiczów, co zależało od zajmowanego etanowiska. Skąd wzięły się takie dziwne terminy, Guliwer zdołał wyjaśnić po pewnym czasie. Żadne bowiem najkrutniejsze doświadczenia nie zdołały zniweczyć jego wrodzonej ciekawości świata.

Po paru miesiącach przebywania w ciemnicy - wyznawał później przyjaciomom przy kufłu grzanego piwa z korzeniami - wielogodzinnych badań w oslepiającym blasku reflektorów, żykania pastylek szczerości i wchłaniania zastrzyków samoskarżenia uznano, że naprawdę uległem wypadkowi. Moja wrodzona zycziwość do ludzi i ufność w naturalną dobroć ich natury skłoniły moich rozmówców do zmiany postępowania. Wpadli nawet na pomysł, aby użyć mnie do szerzenia w moich rodzinnych stronach, kiedy do nich powrócę, entuzjazmu dla ich ustroju, który jako najdoskonalsza forma organizacji społecznej miał się stać w przyszłości wymarzoną przez ludzkość ustrojem całego świata. Przeprosili mnie zatem za nieporozumienie, podleczyli odbite nerki, wstawili wybite zęby i zachęcali do zaznajomienia się z organizacją oczekującą wkrótce wszystkich ludzi na ziemi.

Guliwer dość szczerze dzielił się ze swoimi kompanami wiedzą, której nabył przy poznawaniu życia i obyczajów obywateli tego dziwnego państwa. Brak czasu, gdyż ludzie ubiegłych wieków mieli go więcej, każe mi dokonać wyboru tylko faktów najważniejszych. Najbardziej uderzającym z tych faktów, tłumaczącym nazwę workowców i skoczków, był przyjęty przez całą ludność sposób poruszania się. Wszyscy, od niemowlęcia do zgrzybiałego staruszka, wzięli w papierowe worki zawiązywane sznurem w pasie i wszelkich zmian miejsc a dokonawali przez skoki w wyznaczonym kierunku. Guliwerowi, nawet przy najlepszej woli trudno było przysnąć, że przez parę dziesiątków lat nabyli wprawę w takim sposobie bycia. Wykonywali swoje skoki niezdarnie i niechętnie. Nawet przodownicy popędzający ich krzykiem do roboty spełniali swoje obowiązki bez większego zapaku. Guliwer przyglądając się różnym ludziom przy ich zajęciach miał sposobność do przeżywania niemal wszystkich emocji, do jakich zdolny jest człowiek.

Z uśmiechem pełnym rozrzewnienia patrzył na małe dzieci, które ustawione w oddziały albo korowody skakały w swoich workczkach z papieru do pakowania i śpiewały cienikimi głosikami piosenki umoralniające:

Ja nie płaczę, tylko skacze,
Bo kto skacze, nie marudzi,
Ten skacze do szczęścia ludzi.

Natomiast już niepokojem, a nawet smutkiem napełniał go widok rolnika, który skacząc za pugiem wyorywał krzywe skiby, a siejąc rozrzucał ziarno na okoliczne ugory i miedze. Guliwer zrozumiał dzięki temu, dlaczego ten lud skoczków żyje w nędzy i wyciąga ręce po wspomóżenie do zemoźniejszych narodów. Natomiast nie mógł zrozumieć, dlaczego ów nieszczęsny lud nie poniecha swoich skoków. Jeszcze natrętniej powracało w nim to pytanie, kiedy pozwalano mu w dowód przyjaźni obejrzeć nowo budowane osiedla. Wszystkie okoliczne pola, jak okiem sięgnąć, zasłane były ramami okien, stertami potłuczonych szyb, rumowiskiem potrzaskanych ścian, a z tego pobojozowiska wylaniały się zwalone w błoto nowe transportery i starczały w niebo, jak ręce wołające o ratunek, potężne metalowe belki. Obowiązujący zwyczaj skakania przy robocie - skocz-no - psi synu, po skrzyneczkę piwa! - tłumaczył po części ten stan rzeczy, ale tylko po części, gdyż wielkim głosem domagało się odpowiedzi pytanie, dlaczego nikomu nie przyjdzie do głowy, aby nie tylko pozwolić, ale nawet rozkazać robotnikom wyleźć z tych worków. To pytanie nabierało gwałtowności rozpacz przy napotykanu co krok fabryk porzuconych w połowie budowy, ferm zionących straszliwym fetorem bydła padłego z głodu, olbrzymich dołów wypełnionych produktami spożywczymi, które dyrektorzy podskakujący w swoich workach do wyższych stanowisk próbowali ukraść, ale wystraszeni porzucili w drodze do meliny. Udręczoney takimi pytaniami, na które nie znajdował odpowiedzi, pocziwy

Guliwer ośmielił się wreszcie poprosić towarzyszących mu tuziemców o wyjaśnienie.

- Proszę mi powiedzieć - tak zwierzał się po latach swoim współbiedniakom - proszę mi powiedzieć, zapytałem wreszcie po długich wahaniach, czemu nie wyleziecie z tych worków? Czyżbyście nie wiedzieli, że to właśnie one są głównymi sprawcami waszej nędzy, opuszczenia i zniknu wszelkiej wiary w lepsze jutro i wszelkiej obietnicy, żeby do niego dożyć? Na tę prośbę, wyraźną niemal ze łzami w oczach, gdyż mimo wszystkich doznanych i oglądanych okrucieństw nie mogą przywyknąć do ludzkiego cierpienia - zwierzał się przyjacielom wzruszony Guliwer - moi przewodnicy po kraju skoczków i podskakiwiczów uśmiechnęli się z politowaniem. Nie rozumiesz, poczciwco - tłumaczyli - że twoje wychowanie w kraju sytej reakcji i twoje podróże po krajach równiezbawionych nadziei postępu utrudniają ci poznanie prawdy. Tej mianowicie, że za wielkie przemiany w dziejach świata trzeba płacić małymi niewygodami. Dostąpić wyższej, doskonalszej postaci istnienia na ziemi nie można inaczej niż podskakując, co wskazuje na dążenie ku górze i nie zniżając naprzód, co dowodzi, że idzie się ku lepszemu. Dążyć ku górze i ku lepszemu, czyż to nie postępek w czystej formie?

Kiedy to usłyszałem - wywodził Guliwer z coraz większym przejęciem - ukłoniłem się moim skaczącym rozmówcom bardzo głęboko, aby mi wybaczyli ciekawość, której nie mogłem powstrzymać. Skąd jednak o tym wiecie? - zapytałem, kto wam udzielił tej prawdy o skakaniu, którego skutki widzimy wszędzie: w waszych fabrykach, w waszym rolnictwie, w waszych lasach zachowanych głównie w postaci wywalonych drzew, w waszej nauce i kulturze, podobnej bardzo do lasów, w waszych obyczajach pełnych wzajemnej nienawiści i okrucieństwa? - Naprawdę chcesz wiedzieć? - przypatrywali mi się uważnie i odskoczyli na stronę, żeby się po cichu naradzić. - Dobrze - oznajmili po powrocie - już zupełnie dojrzałeś do poznania lepiej naszego ustroju. Spełnimy to, o co prosisz.

W tym miejscu wspomnień Guliwer podniecił się tak silnie, że wstał od stołu i wyszedł na środek sali. Stamtąd rwącym głosem opowiedział, co zaszło się z nim dalej. Opisał mianowicie wielki, biały mur z kilkoma czarnymi, metalowymi bramami. Wokół muru przebiegały miarowymi skokami patroli uzbrojone po zęby. Bezpieczeństwa osób, przebywających za tym murem, strzegli także wartownicy umieszczeni na wieżach strażniczych. Wszyscy ci ludzie nie spuszczały z oczu małej grupki osób towarzyszących Guliwerowi.

- Możecie sobie wyobrazić - Guliwer aż dyszał z emocji - możecie sobie wyobrazić, jak mi serce biło, kiedy po zatrzymaniu się przed wejściem odezwały się liczne dzwonki alarmowe i ciężka brama otworzyła się bezgłośnie. Obokoczyli nas tuż na wstępie funkcjonariusze OOHO, czyli Osobistej Ochrony ważnych Osobistości. Dokonali oni błyskawicznie dokładnej rewizji, sprawdzili wszystkie znaki, pieczęcie i podpisy na udzielonych nam przepustkach, sfofografowali nas z przodu i z tyłu, po czym wskazały ręką kierunek. Otoczyła nas taka chmara skaczących funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa - wspominał Guliwer - że zupełnie nie widziałem i wobec tego nie umiałbym wam opisać drogi, którą przebyłem. Pamiętam tylko, że w pewnej chwili wszystkie te strażnik zniknęły, jakby za podmuchem wichury, a my znaleźliśmy się w wielkiej sali ze stołem ciągnącym się przez całą jej szerokość, omal od ściany do ściany. Za stołem siedziało ciasno, prawie ramię w ramię, kilkadziesiąt osób nie pozwalających się rozróżnić, gdyż wyglądali zupełnie jednakowo. O ich przy należności do tego samego kraju świadczyły także worki. Nosili je jednak zupełnie inaczej niż całe społeczeństwo, które dotychczas ze zdumieniem i zgrozą oglądałem w trakcie mechanicznych, martwych skoków. Neclągali je mianowicie nie na nogi, ale na głowy.

W oberży, gdzie znajdował się Guliwer, dopiero po tych słowach nastąpiła śmiertelna cisza. Ustały zupełnie brzęk nożów i talerzy. Nawet urwał się nagłe bełkot wina nalewanego z gąsiorków.

- Co ty opowiadasz, Guliwerze? - odezwały się cicho, zdumione głosy - niczego nie rozumiemy. Kim byli ci ludzie?

- Przysięgam wam na wszystkie świętości - wykrzyknął Guliwer kładąc rękę na sercu - przysięgam wam, że niczego nie zmyśliłem. Wszystko to jest nieskłamana w niczym prawda. Ja także, jak wy, w pierwszej chwili nie chciałem wierzyć własnym oczom. Związczą że ci ludzie w workach, osłaniających ich z głowami do pól ciała i pozbawionych nawet małych szparek na oczy, nie siedzieli bez ruchu. Oni urzędowali. Było to wielkie biuro w trakcie wyłączonej pracy. Pośrodku na specjalnym podwyższeniu pod czerwonym baldachimem ze złotymi fapdelami siedział ktoś, kto mówił bez przerwy martwym, monotornym głosem. Zapewne wygłaszał referat, gdyż padały w nim bez ładu i składu uczone terminy z ekonomii, z socjologii, z obowiązującej doktryny politycznej, a nawet z agronomii i maszynoznawstwa. Trochę poniżej, ale również na pewnej wysokości ponad większością zebranych, sześć zakapturzonych czy zaworkowanych postaci, trzy po prawej i trzy po lewej stronie od przewodniczącego, pochylało się nad stołem podpisując podsuwane im przez taśmę jak w fabryce dekrety, zarządzenia, okólniki, informacje: ściśle tajne, poufne i do zniszczenia natychmiast po przeczytaniu. Salę wypełniał suchy szelestej papieru, unoszonego przez transportery. Znakomita większość zasiadających za stołem co pewien czas rytmicznie podnosiła ręce. Wtedy urzędnik w worku bez otworów na oczy zasiadający po lewym krańcu stołu wygłaszał z całkowitą obojętnością: Jednołkośnie! a urzędnik zasiadający na przeciwnym krańcu stołu powtarzał za nim jak echo: Jednołkośnie!

- Może nam jednak wreszcie wyjaśnisz, Guliwerze, co się w tym wszystkim kryło? obruszył się jeden z biesiadników. - Wiemy, że szalenstwa ludzkie mogą przybierać kształty, których żaden artysta o rozszalałej wyobraźni nie wymyślił. Nie znaczą to jednak, że mamy poniechać starań, aby je zrozumieć.

- Toteż ja się takich starań wcale nie wyрекłem - odparł Guliwer siadając ciężko za stołem; było widać, że ta opowieść sporo go kosztowała - zdradzę wam, czego się dowiedziałem.

Znowu dla braku miejsca trzeba, choć z żalem, streścić jego opowieść. Guliwerowi po opuszczeniu tej wspaniałej sali wyjaśniono, że miał niezwykłą sposobność zobaczyć obrady NB, czyli Naczelnego Biura. Jak już ta nazwa podsuwa, ustrój w kraju workowców szeptniał niemal całkowicie marzenie o integralnej biurokracji. Wszystkie tytuły wydawane dygnitarzom, których władza często bliższa była wczemuś niż nieograniczona samowola wodzów afrykańskich, wzięte są z nomenklatury biura, cieszącą się groźną powagą w krajach o zapóźnionej cywilizacji. Władca tak nie skrupowany w swoich decyzjach, a często i w swoich kapryśkach, jak mało który z dawnych tyranów, nazywał się skromnie Pierwszym Sekretarzem. To on właśnie - tłumaczył Guliwer gościom w oberży - wygłaszał referat ze swego wyniosłego siedziska pod baldachimem. Każde jego słowo posiadało znaczenie podobne do słów ze świętych ksiąg, czczonych przez różne religie i nie podlegało swobodnej interpretacji. Sześciu jego asystentów, zasiadających po obu stronach także na podwyższeniu, nosiło również tytuły sekretarzy. Zadaniem ich było przeniesie orzeczenia referatu na działy, podziały i paragrafy zarządzeń. Wreszcie znakomita większość tego zgromadzenia, uprawniona jedynie do podnoszenia i opuszczania rąk, chlubiła się tytułem, który dawniej w jakiejś kancelarii policmie jstra nie uprawniał do pobierania większych łapówek, ale obecnie nabrał innego znaczenia. Nazywali się członkami biura, czyli biuralistami, o niedgdyś było synonimem kancelistów. Dzisiaj jednak z różnych względów poniechano tego określenia. Stało się zbyt dwuznaczne.

Te wyjaśnienia Guliwera, dosyć obszerne, nie w pełni jednak zadowoliły jego słuchaczy. Paru z nich ciągle jeszcze niepokoiło pytanie, jak w kraju, gdzie mieszkańcy musieli wykonywać swoje czynności w workach na nogach, a rozkazy wydawali im władcy w workach na głowach, dochodziło do porozumienia między rządzonymi i rządzącymi. Takie porozumienie, wywodzone, jest chyba konieczne, aby mogła działać tzw. umowa społeczna, umożliwiająca krajowi normalne życie?

- Do porozumienia między rządzonymi i rządzącymi w kraju workowatych wcale nie dochodziło - odpowiedział już nieco rozdrażniony Guliwer. - I bynajmniej nie uważam, aby było ono konieczne. Nie jest wcale powiedziane, że jakiś na-

ród ma z natury prawo do normalnego życia. Kraj, w którym się znalazłem po zetknięciu statku, nie respektował żadnych umów społecznych, gdyż władcy zasiadający w Biurze Naczelnym byli święcie przekonani, że umowę społeczną znakomicie zastępuje pełnomocnictwo udzielone im przez historię. Ich uczeni wyczytali to w księdze powstałej przed pół wiekiem. Ponieważ tę księgę uznano za świętą księgę ludzkości, więc nikt z tego zespołu zwanego elitą władzy nie żywił wątpliwości, że doskonale można się obyć bez wiedzy o rzeczywistości, skoro zastępuje ją zbawienna teoria. Można było, zresztą, odwołać się zawsze w obronie jej prawdziwości do sił porządkowych. Policjanci w hełmach z przyłbicami łatwo przy pomocy armatek wodnych i pocisków gazowych przekonywali wątpiących, że każda teoria, choćby najbardziej niepodobna do wiary, jest póty słuszna, póki stoi za nią siła. W teorii państwa zowie się ona przemocą.

- I ludzie znosili spokojnie taki stan rzeczy? - zbudował się jakiś ze słuchaczy.

- Och, wcale nie! - wszedł mu w słowa zmęczony Guliwer. - Zachowanie ludzi w tym nieszczęśliwym kraju, bo był to kraj naprawdę nieszczęśliwy i jego mieszkańcy zasługiwali na lepszy los, zależało w dużym stopniu od wytrzymałości worków. Miały one dzięki szczególnym właściwościom grubego papieru trwałość mniej więcej dziesięcioletnią. Toteż przecierały się na ogół po dziesięciu latach skoków i ludzie ranili sobie stopy o żwir tak boleśnie, że nie starczało już im cierpliwości i wybuchały powstania. Tlumiono je zawsze krawo i odstraszano od następnych mściwymi, upokarzającymi represjami. Jednocześnie zajmowano na parę godzin worki z głów sekretarzy i biuralistów, ukazywano wykrzywioną z wściekłości twarz Pierwszego Sekretarza, pozwalano nawet, aby jego rozpaczliwy okrzyk: "Za co? za co?" przedostał się na ulice, po czym po odesłaniu jedynowładcy na zasłużony i wygodny wypoczynek wybierano nowego, który obiecywał, że worki będą zdjęte albo zmniejszone do połowy i nakładano do wznowienia ekoków. Kiedy to się stało, zebrani za stołem w wielkiej sali znowu naciągali worki na głowy. Pozwoliło to im zamienić się miejscami ze spokojnym zadowoleniem, że w gruncie rzeczy przecież się nic nie zmieniło. Istotnie, wszystko zostawało po staremu.

- Nie do wiary! - wykrzyknął stały opozycjonista Guliwera - i ty to naprawdę widzialesz?

- Mój pobyt w tym kraju przypadł na gniew społeczny tak potężny i długotrwały, że zasiadający za stołem wielkorządcy zaczęli ściągać worki z głów i ukradkiem opuszczać salę. Ostatecznie jednak powtórzyło się tylko to, co było już wypróbowane wielokrotnie. Znowu przy użyciu przemocy, tym razem w sposób wyjątkowo okrutny, zdjęto na chwilę worki z głów, aby je wciągnąć ponownie i srawować władzę w kraju, zamieniającym się w ruinę i pustkowię.

- Sądysz, że wolno tym akcentem pesymizmu - odezwał się jeden z obecnych słuchaczy, dotąd bez słowa w całej opowieści - zakończyć nasze spotkanie? Przecież zostawiłoby nam w pamięci straszny i może nie całkiem prawdziwy obraz świata.

- Sądzę - odpowiedział Guliwer z mocnym przekonaniem - że ustrój, który ucieka się do takiej przemocy, nie będzie długo czerpał z niej korzyści, gdyż przygotowuje zagładę sam sobie. Na pewno o tym wie, i dlatego przybiera tak często pozę walczącą, że naprawdę w głębi duszy cieszy się ze strachu. Przynajmniej, że kryje się w tym promień nadziei. Jak każde światło, widoczny jest z daleka w ciemności.

W OBRONIE SŁOWA: "NIE"

Być może, w momencie gdy obecny numer "NZ" zostanie wydrukowany, o tzw. aktorским bojkocie będzie się mówiło w czasie przeszłym. Trudno przewidzieć cokolwiek, wolno jednak mniemać, że wraz z ewentualnym zawieszeniem stanu wojennego i zwolnieniem - po Wałęsie - dalszych internowanych, bojkot dobiegnie kresu. Szczególnie, jeśli publicystyka telewizyjna stanie się mniej prostacka, niby liberalniejsza, chwilami nawet "odważna" owymi - groźniejszymi zresztą od prostactwa - pozorami liberalizmu i odwagi, jakie zademonstrował choćby program "Rakowski i jego korespondenci". Bojkot więc zostanie być może przerwany, mimo że istotną przyczyną, która go zrodziła, nie zostanie usunięta; nie może być usunięta w obecnym systemie.

Niezależnie jednak od faktu, czy bojkot potrwa jeszcze miesiąc czy czas nieprzewidywany, niezależnie nawet od tego, czy na jego zakończeniu zawąży zewnętrzny przymus, np. wciąż poszerzany system odgórnych zarządzeń, czy /możliwe/ zmęczenie środowiska - spełnił on swe niebagatelne zadania. By zrozumieć jego szczególny sens, nie wystarczy cofnąć się do dnia 13 grudnia 1981 roku, lecz znacznie wcześniej. Przed Sierpień.

I. U źródła: teatr lat siedemdziesiątych.

Gdzieś do końca lat 60-ych losy teatru kształtowały się dość podobnie do losów innych dziedzin twórczości. Zależnie od mniej lub bardziej doktrynalnych zaleceń polityki kulturalnej, przeżywały swe lata względnej stawy, upadku, obudzonych nadziei i rozczarowań. Wydawało się, że po kolejnych "przełomach" znaczących sierpniowym plenum KC PZPR, Październikiem i odchodzeniem od Października /które w teatrze trwało dłużej niż gdzie indziej/ także Marzec 1968 zmieni kształt naszego teatru równie radykalnie, jak zmienił kształt humanistyki, publicystyki, literatury. Nic podobnego. Poza głośną aferą "D z i a d ó w" i związanym z nią odejściem Kazimierza Dejmka najpierw z Teatru Narodowego, a potem - na parę lat - w ogóle z polskiego teatru, poza wymuszonym exodusem redaktora "Dialogu" Tarna oraz trzech krytyków: Kotta, Pomianowskiego i Wirtha, a wreszcie poza ciszą, jaka zapanowała wokół Mrożka - Marzec oddziałął na życie teatralne w sposób z pozoru łagodny, dla nostronnego świadka niezauważalny. Żadnych srożeń represji, żadnych wiocnych nacisków, żadnych kategorycznych zakazów. Repertuar ulegał nieznacznym zaledwie przesunięciom, które w dodatku tłumaczyły się dały /wbrew swej zawołanej istocie/ pozapolitycznymi względami. Reżyserowali wybitni artyści, niektórzy - jak Grotowski, Jarocki, Swinarski, Wajda - teraz odnosić zaczęli swe główne sukcesy. Niektórym, jak Swinarskiemu, pozwalano na niemal pełną niezależność. Najdrastyczniejsze posunięcia cenzury godziły nie tam, gdzie można by tego oczekiwać; najgłośniejszym ze zdjętych po próbie generalnej przedstawień był krakowski K u r d e s z hołubionego skądinąd ponad miarę Brylla; utwór trafił zresztą zaraz na warszawską scenę. Ingerować w spektakle polityczne naprawdę nie było potrzeby: nie powstał ani jeden dramat lub inscenizacja związana z Marcem czy z Grudniem 70. Nikomu /poza trzema realizacjami teatrów studenckich i S e d z i a m i Swinarskiego/ nie wpadło w ogóle do głowy do tych wydarzeń nawiązywać.

Teatr pierwszej połowy lat 70-ych odczuwał zresztą z tej okazji pewne niepokoje, wyrażane szczególnie dziełami twórców, którzy także przed 15 czy 10 laty traktowali swe inscenizacje nie tylko jako wypowiedzi artystyczne, ale i światopoglądowe. Fakt, iż były to dzieła, wspierające się przede wszystkim tekstami romantyków i Wyspiańskiego, ma swoją szczególną wymowę.

W drugiej połowie lat 70-ych i pod tym względem następuje uspokojenie. Ginie w katastrofie Swinarski. Wajda cykl swych najważniejszych przedstawień

/ Noc listopadowa, Biesy, Sprawa Dantona / zrealizował przed rokiem 1975. Krasowscy ponoszą w Krakowie prawie same klęski. Milkie niemiłe zupełnie Zamkow i coraz rzadziej reżyseruje Jarocki. Grotowski ogłasza odejście od teatru. Wraca wprawdzie do Łodzi Dejnek, ale mimo sukcesu gombrowiczowskiej Operetki, Dialogus de Passione i Vatelawa, nie odegra już niegdyśjszej roli. Pokolenie pięćdziesięcioletków nie zastępują młodzi: ostatni zauważalny debiut pokoleniowy odbył się w końcu lat 60-ych /tzw. "młodzi żołnierze"/, a z jego przedstawicieli epawdzili się bardzo nieliczni. Znamienne, że to, co mieli nowego czy pseudo-nowego do powiedzenia, w sztuce ograniczyło się u większości do spraw formy. Coraz rzadziej zdarzają się spektakle tzw. kontrowersyjne, o ile "kontrowersyjność" dotyczyć ma spraw ważniejszych niż to, czy bohaterowie Męza i żony miał w salonie spotykać się nają w wannie /T. Narodowy/ i czy Józia i Różę z Dzida dół winno łączyć kazirodztwo /Olsztyn/.

Twórcy teatralni, którym powodzić się zaczyna - w znacznej przynajmniej części - dość dobrze /znamienne, że najpoważniejsza w latach 70-ych reforma teatru dotyczyła podwyżek gaz, bardzo wówczas korzystnych szczególnie dla aktorów/, przestają chcieć czegokolwiek istotniejszego od władzy i władza pozornie niczego nie chce od nich.

Pozornie, bo względna /a w porównaniu z latami 1949-54 wręcz ujmująca/ zagodność tzw. "czynników oficjalnych" nie oznacza bynajmniej rzeczywitego desinteresement tym, co się w teatrze dzieje. Odwrotnie. Tyle, że nikt już teatrowi niczego nie narzuca w sposób kategoryczny, niczym nie straszy, nie przedstawia żadnego "jedynie słusznego" programu /kto mógłby go zresztą stworzyć?/. Taktika manipulacji jest w tych latach prowadzona szczególnie mądre i skutecznie. Zamiast zbyt częstych sankcji wobec zjawisk niewygodnych, honorowanie tych bezpiecznych, milczenie wobec pewnych wydarzeń, szum wobec innych, opinie ferowane nie wprost, a piórami krytyki - wcale zresztą drastycznie nie zniewalanej. I to nie jest potrzebne - z krytyków posiadających jaką taką indywidualność i odwagę własnego zżania pozostały niedobitki.

Cel finalny został tyleż bezboleśnie, co szybko i w stopniu zadowolającym osiągnięty. Wzorcowym modelem kultury staje się to, co w istocie zasługując na miano podkultury, lub - w najlepszym wypadku - tzw. kultury telewizyjnej, której szczytowym - bez ironii - osiągnięciem był teatr Hanuszkiewicza, obrosły w rozlicznych naśladowców, pozbawionych w dodatku talentu. Upadają dawne hierarchie wartości, zyskuje na randze tania widowiskowość, "siła przebicia" wielorakich hochsztaplerów, na których jeszcze do niedawna nikt rozsądny nie zwracałby uwagi, a dziś chwali, bagatelizując karygodny poziom reprezentowanego przez nich rzemiosła, nie mówiąc już o sztuce. Najważniejsze programy artystyczne ograniczają się do powtarzanych w kółko sloganów o ograniczonych możliwościach słowa /oo o tyle staje się prawdą, że nikt nie wie, co miałyby przy jego pomocy wyrazić/, o konieczności chaosu w sztuce, który ma być adekwatny do chaosu świata etc., etc. Niezwykłe swobody uzyskuje tzw. awangarda, która niczego nie wyprzedza ani z niczym nie walczy, a jej niezwykłość polega wyłącznie na realizacji hasła: Każde dziwactwo dozwolone, byle nie znacząco zbyt wiele. Tak właśnie, jak to opisał Piotr Wierzbicki w Traktacie o gnidach: "awangardysta traktowany jest przez władzę ludową ciepło, bo dziś groźna jest dla niej nie forma, lecz treść i niech już bełkotce, zgrzyta i maluje oślim ogonem na płótnie, byle tylko nie zauważył, co się naprawdę w Polsce dzieje".

Niekiedy /a nawet dość często/ pozwala się tym z artystów, którzy czud mogą pewne frustracje, na tzw. odwagę. Rozwija się więc system aluzji, na ogół przebranych w historyczny lub literacki kostium, aluzji jednoczących twórców i publiczność w bezmyślnym poczuciu własnego bohaterstwa i swoistym katarsis.

Dyrektorzy teatrów, reżyerzy, aktorzy mogli więc żyć wygodnie: dość bezpiecznie, niezbyt - jak się wydaje - wysokim kosztem. Można oczywiście powie-

dzień na ich usprawiedliwienie, że przyjęli po prostu powszechny styl życia, który do czasu Sierpnia nie raził tak wielu, jak mogło się później wydawać. Ale choć racjonalne, nie jest to usprawiedliwienie wystarczające. W tym samym właśnie czasie ich koledy dziennikarze, prozaicy, poeci, eseiści uruchomili tzw. drugi obieg wydawniczy, zasilając zarazem listę nazwisk Czarnej Księgi Cenzury /z aktorów znalazła się tam, jak wiadomo, tylko Mikołajska/, zaś ich bliżsi jeszcze koledy tworzyli - w długim i krótkim metrażu - filmy na półki. Nawet dramatopisarze z wolna, nieśmiało i ogródkami starali się od czasu do czasu przypomnieć trochę prawdy o świecie, ryzykując, iż nigdy lub z kłopotami trafić będą na scenę.

II. Sierpień.

Kiedy więc nadszedł Sierpień, twórcy teatralni mieli odnowie do oferowania niewiele więcej niż uczucie wstydu. Jest przy tym znamienne, że najmniej do owej odnowy przygotowani, jedni z pierwszych zgłosili do niej akces. Aktorzy gdańscy towarzyszyli strajkowi w stoczni. Już w końcu sierpnia wiele lokalnych oddziałów SPATIF-ZASP ogłasza solidarność ze strajkującymi, a oddział krakowski 29 VIII wysyła do Zarządu Głównego pismo, żądające "przywrócenia aktorstwu jego dawnej reprezentacji" w postaci "samorządnego, autonomicznego ZASP". 5 IX prezes ZG, a zarazem posek Gustaw Holoubek zgłasza na Plenarnej Sesji Sejm "w imieniu środowiska /.../ pełną solidarność z tym, co wydarzyło się na Wybrzeżu polskim" protestując zarazem przeciw "m a e o w y m ś r o d k o m p r z e k a z u", które "uwłaszcza elementarnemu porządkowi, obrażały nasze poczucie godności, poddawały w wątpliwość naszą inteligencję". Przemówienie zamieszczone za skrótami w prasie, wydrukuje w całości w swym 1 numerze z 8 września Biuletyn Informacyjny SPATIF-ZASP, powołany z potrzeby serca "własny serwis" dla prezentowania "powszechnej, swobodnej i rzetelnej informacji" /już w 5 dni później zaczyna się jego kłopoty z cenzurą/. 29 IX Nadzwyczajny Zjazd SPATIF-ZASP przyznaje "sprawom organizacyjnym niezależnego i samorządowego ruchu związkowego priorytet przed własnymi", czego konsekwencją jest bardzo szybki i prawie powszechny akces do NSZZ "Solidarność".

Równocześnie coraz oziębiej i konkretniej padają żądania reorganizacji samego Stowarzyszenia i przekształcenia go w związek twórczy co w praktyce oznaczać miało rezygnację z pierwszego - narzuconego w latach pięćdziesiątych - członu oficjalnej nazwy. SPATIF kojarzy się bowiem począł zupełnie jednoznacznie ze wszystkim co złe: kumoterstwem, kompromisem, statusem niewolnika. ZASP zdał się rajem utraconym, który znów należało odzyskać, by powrócić kwitnąc wszelkim cnotom ludzkim i artystycznym.

Peśnота za ideałem i gwałtowna, często aż niesprawiedliwa - już nie chęć nawet, a żądza - odcięcia się od wszystkiego co było, towarzyszy środowisku aktorskiemu coraz radykalniej, czasem przybierając wręcz formy euforii. Już z okazji owego wrześniowego zjazdu pisze Jan Świdzki: "w dniu 29 września klaszka nieustannie i można rzec irracjonalnie. Mówcy byli nagradzani bez względu na to co mówili i jakie zajmowali stanowiska". Oczywiście należy dodać, że stanowiska te nie różniły się zbyt. Wszędzie przewijał się ten sam motyw konieczności "odnowy", choć istotnie - jak irytował się Świdzki - nie zawsze precyzowano, na czym odnowa ta naprawdę winna polegać.

Grzmiące brawa przerywały i kończyły prawie wszystkie przemówienia na Ogólnopolskiej Naradzie Teatralnej 2 marca 1981; szczególnie intensywnie towarzyszące fragmentom: "od napiętnowania Dejmkowskich D z i a d ó w znakiem śmiertelnego grzechu politycznego, demony zrodzone z tego źródła dbały o unicestwienie wszelkiej myśli teatralnej /.../ W chwili obecnej stanaliśmy przed koniecznością określenia celu funkcjonowania polskiego teatru, wyznaczenia mu hierarchii żądań, /.../ by mógł wyjść naprzeciw pytaniom elementarnym, dotyczącym kondycji ludzkiego prawa jednostki do swobodnego kształtowania własnej indywidualności, do znalezienia się w społeczeństwie i wobec społeczeństwa". /Holoubek/

"Nie byłoby słuszne sądzić, że tylko nam było dane poznać prawdziwą cenę wolności /.../ A jednak nasze doświadczenia różnią się od innych /.../ Oto żaden z ujarzmionych narodów nie uczynił ze swej odrazy do niewoli i ze swojej tęsknoty do wolności głównego tematu swojej poezji". "Teatr może się nie obawiać o swoją pozycję /.../ jeśli w swoim własnym i dobrze rozumianym interesie będzie umiał porozumieć się z narodem, który tak nagle wyrwał w oczach". /Korzeniowski/ "Aktorzy polscy nie stanowią dziś, w naszej sytuacji społecznej zamkniętego hermetycznego środowiska. W naszej niewielkiej społeczności znajdują odbicie konflikty polityczne, narodowe, ekonomiczne etc., etc., którymi dotknięci są wszyscy mieszkańcy w tym kraju. Brak określonych kryteriów ideowych, moralnych, /.../ doktrynalne niemal tępienie wszystkiego co w człowieku wyrasta ponad przeciętność, fałszywe rozumienie pojęcia "demokracja" /Zapasiwicz/.

Kwietniowy Walny Zjazd, z którego SPATIF-ZASP wyszedł wreszcie upragnionym ZASP-em, nie wniósł już właściwie do sprawy nic nowego. Tyle, że z pełnej wielkich słów dyskusji wyniknął - wprawdzie nie określony program - ale przynajmniej statut Związku, zawierający w Rozdziale II/ n.in. punkt dotyczący współpracy z "Solidarnością" w "realizacji celów ZASP". Andrzej Szczepkowski - za chwilę wybrany nowym prezesem, mówił o konieczności "włączenia /.../ w nurt przemian wszelkich dziedzin sztuki polskiej, a wśród nich sztuki teatru w szczególności, ze względu na jej szczególną służbę społeczną".

Cytaty można mnożyć w nieskończoność. Nie ma w nich zresztą nic szczególnie indywidualnego. Duch odnowy, przepełniający mniej lub bardziej patetycznym przemówienia i artykuły nie opuszczał wówczas ani na chwile i innych środowisk. Co więcej. Postronnych obserwatorów owa święta atmosfera teatralnych parad, konferencji i zjazdów napawała swoistym sceptycyzmem. Za wiele tu było egzaltacji, uniesień nad "sytuacją oczekiwaną z utęsknieniem", wymarzoną, poetyckich zachwytołów typu: "plugawa skorupa /.../ pełka i wewnętrznym ogniem rozlał się z żywiołową gwałtownością po całym kraju. W jego blasku ukazała się znowu twarz narodu tak wyrazista...", szlachetnego, lecz jakby nazbyt szybkiego /nawet u tych co dotąd blisko i bez przymusu sekundowali władzy/ i bez wahań przeżytego przełomu, sprawom dużej wagi nazbyt często towarzyszyły drugorzędne, czasem wręcz małostkowe /dało się to w sposób fatalny odczuć w działalności komisji "Solidarności" w wielu teatrach/. Gadatliwość jakby bez pokrycia, co podkreślał fakt, iż dobrą wolę odnowy częściej potwierdzały deklaracje niż rzeczywiste artystyczne dokonania. Pod tym ostatnim względem sprawił teatr wyraźny zawód, szczególnie tym, co pamiętali jego świetne sukcesy w czasie październikowej odwilży. Wówczas istotnie pokazał, że pełen był możliwości, ogólnie hamowanych; pod wieloma względami wyprzedzał formą i treścią sukcesy literatury, dostarczając zarazem okazji do światopoglądowych dyskusji w nie mniejszym stopniu niż "Po prostu". Teraz szostawał na dość dalekim planie. W zakresie formy nie mógł pokonać miarkości rzemiosła, w zakresie problematyki korzystał w większości z tego, co wywalczyła wcześniej poezja / Herody polskie, T. Polski w Poznaniu, Wszystkie spektakle zarezerwowane, warszawski Powszechny, Sztuczne oddychanie, w Jeleniej Górze i Łodzi, liczne wieczory Miłoszowskie/ lub publicystyka / Relacje, Hanny Krall w warszawskim Małym, Oskarżony Czerwiec 1956, w T. Nowym w Poznaniu/. Nie znalazł pożytki w dramaturgii. Fakt, że trzeba było aż strajku w stoczni, aby mogły się ukazać na scenie Polonez w Sity, Mochnac i Mikkego czy parę sztuk o tematyce współczesnej /pośród których najodważniejsza była Adeszcziągglepada Kuśmierka/, fakt ten nie tyle wyetawiał wspaniałe świadectwo odwadze dramatyzarzy - co demaskował po raz kolejny w kolei paranoiście wręcz asekuranctwo i lęk cenzury. Nawet Pieszo Mrozka - oczywiście wyreżyserowane mniej wyzywająco - mogłoby ukazać się w przedsiębiorstwie teatrze /skoro ukazał się tam V a t z l a v /.

Trzeba więc stwierdzić uczciwie, że nie tylko nie zrodził teatr posierpniowy własnej Łaźni czy Święta Winklerida, ale w ogóle

nawie nie zmanifestował w jakiś szczególnie widoczny sposób swojej obecności w posieroniowej kulturze, co powiodło się np. filmowi. Mógł odczuwać uzasadnione niepokojenie, ale jako wobec własnej przeszłości sprządać ówierać wieku, ale i wobec innych gałęzi sztuki. Wolno przypuszczać, że nie pozostało to bez wpływu na szczególnie silną reakcję środowiska teatralnego na to, co niosł ze sobą stan wojenny.

III. Bojkot.

Szok, jaki przeżyła 13 grudnia wraz ze społeczeństwem cała polska kultura, miał z pewnością podobne nasilenie i motywacje, ale nie we wszystkich przypadkach identyczne konsekwencje. Dla wszystkich był kresem obudzonych nadziei, ale nie wszystkich zastał w tym samym punkcie. Godził, zdawało się bezpowrotnie w niezależną oświatę, ale okazało się, że w tej dziedzinie wypracowano po sierpniu bodaj najwięcej, co rychło pozwoliło konspiracyjnej Komisji Edukacji Narodowej ogłosić niezwykle sensowny program podziemnego /nieistety/ nauczania. Godził w literaturę i publicystykę, ale nie potrafił - i najprawdopodobniej nie potrafi - zlikwidować ich nieoficjalnego obiegu; więcej - spowodował jego wyraźne nasilenie; między grudniem 1981 a grudniem 1982 wydano tu kilkadziesiąt książek i kilkaset gazetek i czasopism, wśród nich także poświęcone kulturze. Ponadto publicystyka /podobnie jak film/ przeżyła po sierpniu okres - krótkiej wprawdzie - ale niewątpliwiej jak na nasze warunki - świetności. Brutalność, z jaką powstrzymano jej dalszy rozwój, nie przekreśliła pamięci osiągnięć, a nawet więcej: zmitologizowała je, na długie zapewne lata otaczając legendą. Z najdumniejszym podniesionym czołem wychodziła z odnowy poezja; najbardziej świadoma przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Teatr swe dobre dni miał dopiero r o z p o c z ą ć. Właśnie dlatego, że demoralizacja, jakiej uległ w latach siedemdziesiątych była rozleglejsza i bardziej bolesna niż w innych dziedzinach twórczości, miał do przebycia najdłuższą drogę, o wiele za długą, by starczyć nań mogło kilkanaście miesięcy euforii.

Teatr rozpoczął przede wszystkim od buntu moralnego. Nie od demaskowania tematów tabu czy poszukiwania nowych form artystycznych. Nie od programu odnowy rzemiosła, reformy teatru, szkolnictwa etc. - choć dostrzeżono konieczność "pracy od podstaw" i w tych dziedzinach. Najważniejszym było odzyskanie godności, z r z u c e n i e dworskich funkcji, jakie w zbyt wielu wypadkach zwykli pełnić, i to w wielorakim sensie. Nie przez przypadek z "Testamentu" Jaracza cytowano nie fragmenty poświęcone poziomowi rzemiosła, lecz te o sumieniu: "Nie chcę, abyscie byli świętkami. Żądam - ach, czy to nie za dużo - SUMIENIA". Nie z kaprysu - jak można było mniemać jeszcze wiosną 1981 - tak masowo dążono do przekształcenia SPATiF-u w ZASP, choć większość reform potrzebnych dla poprawienia sytuacji teatru można było przeprowadzić w ramach Stowarzyszenia, tyle że działającego nieco sprawniej i samodzielnie niż dotąd, zaś większość "najszczytniejszych tradycji ZASP" nie mogła mieć już w zmienionej sytuacji społecznej żadnego zastosowania. Ale tylko ZASP mógł zapewnić odrodzonemu aktorstwu i reżyserii p r e s t i ż, którego nie gwarantował SPATiF, towarzyszący teatrowi w najbardziej wstydlivych momentach. A tylko prestiż i odnowa etyczna mogła w oczach ludzi teatru nadać wiarygodność i wysoką rangę uprawianej przez nich sztuce. Niezależnie od oficjalnych deklaracji teatr i po sierpniu gubił uczucia niskie, intrygi, zawiści, nieodpowiedzialność, lekkomyślne decyzje /choćby te, które doprowadziły do tego, że kilkanaście teatrów pozostało bez dyrekcji/. Ważne jednak było to, że zmieniły się, a w każdym razie zmieniły - hierarchie wartości. Nie znikła w cudowny sposób bezideowość, hochstaplerstwo, sybarytyzm - ale przestały bodaj uchodzić za cnoty: nie wypadało już czerpać z nich zysków. Być może, była to jakaś, okólna wprawdzie, lecz najszlachetniejsza droga także do poprawy jakości samej sztuki.

Tak więc teatr został ugodzony najperfidniejszy i najboleśniej. Jeśli idzie o sam model teatru, stan wojenny nie odmienił go zasadniczo. Mimo ponownego nasilenia cenzury oraz brutalnych ograniczeń finansowych /głównie dewiz/,

nie wpłynął zasadniczo na kształt repertuaru, a w dziedzinie formy pozostał twórcom całkowitą swobodę. Zdjęto parę przedstwień /m.in. w Teatrze Rozmaitości, Powszechnym i Nowym - C z e r w i e c w Poznaniu/, w kilku wypadkach nie wyrażono zgody na przystąpienie do prób. Odwołano kilku dyrektorów /m.in. Mariusz Dmochowski, Andrzej Jarecki/ z ich stanowisk, ale nikt nie otrzymał zakazu występowania czy reżyserowania. Zezwolono nawet na występy sekowanej od lat Mikołajskiej. Żaden z internowanych ludzi teatru nie został uznany za "zagrożającego bezpieczeństwu państwa" z racji swych czynności zawodowych /może z wyjątkiem Izabelli Cywińskiej, w wypadku której działałać mogła chęć odwetu władz, skompromitowanych C z e r w c e m 5 6 /.

Stan wojenny uderzył jednak w sposób całkowicie bezwzględny i bezkompromisowy w te właśnie wartości, którym teatr posierpniowy dał zdecydowane pierwszeństwo. Wymarzona i wykreowana na wzór marzeń kraina szczęśliwości, wraz z przynależnymi jej atrybutami: tolerancją, pluralizmem ideowym i światopoglądowym, wolnością indywidualną i zbiorową, okazała się krainą utopii. Zgodzić się w jakiegokolwiek formie na istniejącą naprawdę rzeczywistość kłamstw, oszczerstw i przemocy, znaczyło nie tylko zaprzeczyć wszystkiemu co postulowano i zatwierdzono publicznie na konferencjach i zjazdach, ale także ośmieszyć własne, prywatne rachunki sumienia i obietnice poprawy. Chyba dlatego tak silna w całym /lub niemal całym/ środowisku teatralnym stała się potrzeba zmanifestowania swej odmowy. I tak silnie zintegrowała środowisko. Dlatego też, jak się wydaje, tak ostro potępiono tu "zdradę": jest znamienne, że w żadnym innym kręgu nie powstały np. tzw. "listy kolaborantów". Wolno domniemywać bowiem, że list tych nie zrodził - obcy np. literatom czy uczynom - duch nietolerancji. Ale właśnie owa szczególna więź, poczucie zbiorowej odpowiedzialności, która w odepętocy każe widzieć nie indywidualnego konformistę, tchórzka lub może po prostu człowieka o odmiennych poglądach, lecz kogoś kto hańbi całą profesję. Z tego też powodu właśnie owa odmowa, której masowym środkiem przekazu udzieliłi przecie nie tylko aktorzy lecz ogromna, przyniatająca wręcz większość intelektualistów, literatów, kompozytorów, plastyków, dziennikarzy i publicystów, owa odmowa zwana we wszystkich pozostałych przypadkach "nieobecnością" w stosunku do aktorów ogłoszona została - i to przez rządową prasę - bojkotem. Bojkotem, który okazał się jedyną udaną formą dostrzegalnego i powszechnego oporu, jedynym "strajkiem", który zdołał się utrzymać w warunkach wojennych.

Bo jest to w istocie strajk absencyjny, a nie żadna, jak głoszą gazety, "emigracja wewnętrzna" /przecie właśnie nikt z aktorów na żadną "emigrację wewnętrzną" nie przystał: wszyscy grają w swych rodzinnych teatrach - co jest zresztą ich jedynym, możliwym do wygezekwowania bez naruszania prawa, obowiązkiem/. Strajk skuteczny, bo doprowadzający - cyniczną skądinąd władzę - do tzw. białej gorączki. Strajk bolesny, bo jednoczący w wytrwałym uporze, także tych z niezawodnego zdawałoby się dworu. Stawiający obok członkini KOR-u Mikołajskiej - byłego ożonka KC Łomnickiego - byłego posła do Sejmu Holoubka, byłego działacza partyjnego Dmochowskiego - i wielu innych.

IV. Wokół bojkotu

Trzeba przyznać, iż z początku zarówno główny zainteresowany, czyli Komitet do Spraw Radia i Telewizji, jak i odpowiednie ministerialne i partyjne resorty zachowały zimną krew, zapewne nie bardzo wierząc w trwałość i powagę sprawy. Pewną wściekłość budziła seria tzw. "zaklaskiwań", rozpoczęta 29 I "akcją" przeciw Januszowi Kłocińskiemu /pierwszemu i dotąd ostatniemu przedstawicielowi środowiska, który wygłosił w p r o s t publiczną pochwałę stanu wojennego/, którą objęci zostali m.in. Andrzej Hiolski, Leonard A. Mróz, Stanisław Mikulecki, Halina Czerny-Stefańska, ktoś z aktorów Łódzkich. Zaklaskiwania /a także wygwizdywania i "zakaszliwania"/ w praktyce uniemożliwiający występy trwały zresztą niedługo i znamienne, że jako ich inspiratorów nie wskazywano wówczas aktorów, co najwyżej "rozszadzonych na widowni studentów PNST" /i w ogóle studentów/ manipulowanych przez różnorodne "ciotki postępu", a najchętniej bliżej nie określoną "zakonspiowaną w

środowiskach twórczych "opozycję demokratyczną". Do kwietnia o innych formach protestu było w prasie oficjalnej głucho, zaś telewizja ratowała się powtórzeniami, dziwnym prawem wybierając programy najgorsze: czy to z dezynwoltury, czy przez roztargnienie, czy też już wówczas przygotowując grunt do ewentualnych batalii w obronie zagrożonej, rzekomo przez aktorów sprzeciw, kultury. Pierwszym tekstem przywołującym słowo "bojkot" i to w tytule artykułu był, jak się wydaje, pełen pogrzebek lament w kwietniowej "Stolicy" p. Berlinga Krzysztofa Berlinga, zresztą człowieka z TV, niefortunnego autora tel. ewangelicznego reportażu z teatru kieleckiego, w którym zdecydowali się wystąpić: emerytowany sufler, garderobiana i jeden aktor. Poziom artykułu Berlinga uniemożliwia rzecz jasna jakkolwiek poważną z nim polemikę, wart jest jednak zacytowania - bo tak jak w starszym odeń o 14 lat Marcowym szkicu Gontarza *I n s p i r a t o r z y*, zawarte są w nim główne punkty późniejszej prasowej kampanii. A więc teoria warstwowej manipulacji /nad każdym z inspirowanych stoi inspirowany wyższy stopniem itd./ którą ktoś kiedyś nazwał trafnie "materializmem detektywistycznym". Na szczęście krajowym /nie najwyższym/ polityk wedle Berlinga zorganizowali więc ci, co znużeni zawodem "ręą się do polityki, porwani przykazem pewnego prezydenta". Argument o znuczeniu aktorstwem przeoczy wprowadzić innej tezie artykułu - że bojkot zorganizowany jest przez niezwykle aktywną klikę, która "zdominowała anteny radiowe i telewizyjne", ale teza ta jest konieczna, by zrealizować następnie wypróbowany już w Marcu /i nie tylko w Marcu/ zabieg, polegający na moralnej kompromitacji przeciwnika /"może ten pomysł zrodził się... Właśnie wśród tych, którzy do niedawna byli skorzy i pierwsi na usługi władzy, co wynagradzała ich hojnie zaszczytami i osławionymi kopertówkami"/. Przez minorowy ton całości przebiega jednak u Berlinga finały optymizm: bojkot aktorskich prominentów stwarza wielką szansę dla tych, co dotąd ginęli w ich cieniu, a zarazem wielką szansę dla TV - wreszcie odradzanej przez dopływ nowych sił artystycznych /publicysta pisma "Sprawy i Ludzie" ujmie to lapidarnie: "w naszym kraju jest wielu utalentowanych artystów i wcale nie trzeba w rolach amantów obsadzać zramolających staruszków, nastolatki zaś nie muszą grać matek kilkorog dzieci", a Janusz Przymanowski wywali wprost: "i np. Andrzej Łapicki z podstarzałego amanta przestanie wkrótce w ogóle być amantem, bo zastąpią go inni, młodszy, a może zdolniejsi"/.

Należy oddać sprawiedliwość zaangażowanym w sprawę publicystom: zakres stosowanych przez nich metod nacisku był szeroki choć monotony. Do stosowanych przez Berlinga sposobów /demaskacji, moralnego zawstyżenia opozycji, nadziei roztaczanych przed ewentualnymi sojusznikami/ doszły inne, rzadko zresztą wychodzące poza schematy, znane od lat czytelnikom gazet w okresach różnych frontalnych kampanii. Sąsiadowały więc obok siebie metoda perswazji /na bojkocie tracą sami artyści, wkrótce wszyscy o nich zapomną/ oraz metoda zastraszania /"Nie można być szantażowanym przez kilku klakierów i dywersantów kolegi po fachu, byłego artysty pana prezydenta Reagana..." trzeba "Przypomnieć o paragrafie karnym dla tych oo stosują szantaż i antyustrojowy sabotaż" - "Rzeczywistość", bojkot jako akt polityczny "wymaga więc i z drugiej strony walki politycznej"/. Metoda bezpardonowej i nie stroniącej od żadnych inwektyw demaskacji /"ciotki dewotki", "czekoladowa opozycja", "hipnotyzerzy"/ oraz moralne apele o rozsądek /tę "liberalniejszą" linię reprezentowali Józef Tejchma, Jerzy Kwiatek, Passent, Jerzy Bajdor, a także... Michał Misiorny/. Odwoływanie się do całego środowiska i zarazem rozliczne próby rozbicia go - przez stworzenie demonicznej wizji "bojówek" terroryzujących "ogromną większość". Niezwykle często przywoływano argument "państwowej kasy", który mimo swej jasnej absurdalności ukazywał jednak wcale nie absurdalne myślenie rządzących. Ten wątek zastosowany już przez Gomułkę w jego przemówieniu do aktywu partyjnego 19 III 1968 /zarzucający zbuntowanym literatom, że czerpią korzyści materialne np. w postaci stypendium ze swego, utrzymywanego wszak przez państwo, Związku, a Kisielewskiemu, że żyje z pracy pogardzanych przez się... ciemniaków/ teraz dopiero rozkwitł w całej pełni. "Państwo to ja" zdawali się mówić przedstawiciele WRON, gdy przyklaskiwali zarzutom swych propagandzistów, iż aktorzy, którym nie podoba się stan

wojenny mimo to pobierają z kas pensje i honoraria. Owa trudna do uzasadnienia pretensja, zgłaszana pod adresem ludzi cały czas pracujących, a więc nie proszących o prezenty ani nie pobierających zapówek, znalazła logiczne uzasadnienie właściwie tylko w felietonie Urbana, który po prostu odmówił działalności teatrów prawa jakiegokolwiek samodzielnego bytu, traktując je jako "laboratorium dla występów w telewizji" i porównując bojkot radia i TV do ewentualnego bojkotu pracowników fabryki samochodów "którzy goziliby się uczestniczyć przy tworzeniu próbnych serii, natomiast odmawiali produkcji tseryjnej". "Nie jestem więc zupełnie przekonany do tego, że państwo, asygnując społeczne pieniądze na rzecz osiągnięcia celu społecznie szerokiego mimo przez nazbyt długi czas te same pieniądze wypłacać osobom, które z motyłów politycznych zgadzały się współpracować tylko przy osiągnięciu części założonego celu". Nie trzeba dodawać, jak ogromne ta diagnoza otwiera perspektywę, choćby w stosunku do różnych instytutów naukowych, które nie uprawiają akcji upowszechniających i to poprzez masowe środki przekazu, wydawnictw specjalistycznych etc.

Kampania prasowa miała zresztą swe odplwy i kulminacje. Te ostatnie głównie w czerwcu, gdy przedstawiciele władzy starali się bezskutecznie przeformować jako warunek odwołania ZASP odwołanie przez jego prezydium bojkotu /którego ZASP zresztą nigdy nie powoływał/ i jesienią, gdy wszystkie negocjacje okazały się bezskuteczne. Połowicznym sukcesem władzy /połowicznym, bo nieuczciwie wymuszonym i zmuszającym w zbyt wielu punktach do obchodzenia prawa/ było już obrosłe legendą spotkanie przedstawicieli środowisk terenowych z wiceprezirem Rakowskim /porównaj: "Kronika"/. Ogłoszenie po ponad miesiącu w "Polityce" mocno "autoryzowanego" przemówienia premiera /nr 39/ i niemilośnie poszatkowanych wypowiedzi jego oponentów /nr 40/ zamknęło pewien etap sprawy, choć jej samej jeszcze nie zakończyło.

V. W świecie fikcji

Przemówienie Rakowskiego miało walor szczególnie: wyraznie symboliczny. I to w dwojakim sensie. Po pierwsze przez swój styl, dość tani zresztą machiawellizm - o ozym dalej. Po wtóre przez uderzającą charakterystyczną nie tylko dla tego przypadku i nie tylko tego premiera umiejętność kreowania rzeczywistości o pozorach nad wyraz racjonalnych, tyle że całkowicie oderwanej od okoliczności, które ją kształtowały. Rzeczywistość ta odwołuje się do pewnych - nie nazbyt dla władzy przykrych - faktów, całkowicie pomijając przyczyny, które o ich powstaniu zadecydowały. W przeciwnieństwie do Urbana, dla którego realizm polityczny tożsamy jest po prostu z cynizmem, Rakowski ma w sobie coś z utopisty. Jego argumenty mają sporo wad ale nie cynicznej racji - mogłyby zapewne przemówić do przybyszów z innej planety, dalekiej od doświadczeń, jakim poddane zostało społeczeństwo, do którego Rakowski przemawia. To kreowanie świata, rządzącego się pewną logiką, która nie ma jednak nic wspólnego z logiką wydarzeń jest oczywiście bardziej niebezpieczne. Ten właśnie sposób myślenia /czy mówiąc mniej grzecznie, lecz trafniej: propagandy/ obfitował w "antybojkotowej" prasie dwiema dodatkowymi bataliami, tym razem o pozorach głębszych racji. Pierwsza - bardziej marginalna, lecz nośna - w obronie tzw. środowisk terenowych, druga - generalna - w obronie zagrożonej polskiej kultury.

Jest rzeczą nader oczywistą, że bojkot telewizji mógł się udać wyłącznie dzięki udziałowi aktorów najwybitniejszych, a przynajmniej najbardziej popularnych - w tym sensie istotnie decydują oni o jego bycie. Gdyby bojkot ogłosili wyłącznie aktorzy tzw. prowincjonalni /nawet ci najlepsi/, a ci tzw. "warszawscy" ów bojkot zbojkotowali, nikt by się o sprzecznie reszty środowiska nie dowiedział. Aktorzy prowincjonalni nigdy bowiem do studia telewizyjnego nie byli zapraszani. Nawet o obecności na ekranie spektakli krakowskich, gdańskich czy wrocławskich /a gdzie do nich Wałbrzychowi, Gnieznu czy Legnicy/ decydowała WARSZAWA. Tylko, że pod synonimem tym kryły się nie /jak chce prasa/ byłe telewizyjne gwiazdy, pełne chwały i pieniędzy, ale po pro-

tu władza tzw. Komitetu /bo dawno nie jest to w istocie żaden Komitet/ do Spraw Radia i Telewizji. I nigdy - ani przed Sierpniem, ani po Sierpniu - nikogo z owych władz nie interesowały losy, możliwości i kompleksy /teraz tak mile leczona/ terenu. I po ewentualnym przetrwaniu bojkotu sytuacja nie ulegnie zmianie: ktoś mogąc obsadzić Zapasiewiczza, Holoubka, Fronczewskiego, Trelę, będzie jeździł - jak obecnie - z kamerą w prowincji, by w ich miejsce pozyskać pana X, Y, Z - nawet zdolnych - z owego Wałbrzycha, Gniezna czy Legnicy?

Trudno mieć zresztą szczególne pretensje o ten stan rzeczy: sztuka nie jest krainą równości. Łatwo dziś demaskować zaborczość /prawdziwą czy rzekomą/ "gwiazd", rozsyłać po małych teatrach listy mające utwierdzać ich zespoły w przekonaniu, że są po prostu pogardzanymi ofiarami swych wielkich kolegów oraz... profesora Korzeniewskiego, który na spotkaniu z Rakowskim ośmielił się skrytykować poziom pokazanych w TV spektakli z Lublina i Rzeszowa - ale dość plastycznie można sobie wyobrazić skutki eksperymentu, polegającego na odsunięciu od ekranu i pierwszoplanowych ról owej "straszliwej i ekspansywnej Kliki", by sprawiedliwie zastąpić ich tymi dotąd pomijanymi. Wydaje mi się też, że nie na tym powinna polegać troska o poziom i sens pracy małych zespołów, co o tyle nie ma znaczenia, że nie o nie idzie w całej sprawie.

Podobną a zarazem bardziej zasadniczą jest sprawa mistyfikacji związanej z ratowaniem polskiej kultury, a co za tym idzie wysokiego poziomu duchowego, moralnego, estetycznego i intelektualnego jej konsumentów. Cóż bowiem może znaczyć dla normalnie funkcjonującej kultury kilku czy nawet kilkunastowieścienna odmowa środowiska teatralnego w przygotowywaniu słuchowisk, przedstawień, estrad i programów rozrywkowych w TV. Przecież odmowa ta nie musiała nawet znaczyć ich nieobecności - wolno mniemać, że w archiwum radiowym i telewizyjnym dość jest materiału, aby przez pewien i to dość długi okres można było zapewnić odbiorcom poziom o wiele wyższy od tego, co się w TV pokazuje. Ale nawet gdyby przez okragły rok nie udało się zaprezentować niczego godnego uwagi, to być może spowodowałoby to wściekłość niektórych odbiorców, ale z pewnością nie mogłoby z nich uczynić z dnia na dzień ludzi niekulturalnych, skoro kulturę uczono ich w PRL-u przez wcześniejszych lat trzydzieści osiem i skoro poza telewizją mają oni jeszcze teatry, kina, książki, a dla rozrywki kabarety.

Gdyby kultury /niezależnie od wielu stale przywoływanych osiągnięć/, humanistyki i nauki nie niszczone tak zaciekle wcześniej - a jak wiadomo nie robili tego nawet najbardziej sprzedajni aktorzy - nie mogłaby ona z pewnością ucierzeć od bojkotu. Bojkotu, którego w ogóle by nie było, gdyby nie dzień 13 grudnia, przerywający m.in. /co oczywista nie najważniejsze/ pierwszy niezależny Kongres Kultury oraz marzenia, ujawnione także na aktorских zjazdach, o kulturze, której "cel podstawowy to stworzenie dla wolnego człowieka najkorzystniejszych warunków pełnego i swobodnego rozwoju w wolnym społeczeństwie, w suwerennym narodzie, w niepodległym państwie /.../ Wolność i tolerancja to zarazem podstawowy cel edukacji narodowej, przeciwstawny celom głoszonym przez rozmaite totalitaryzmy z lewa i prawa".

VI. W obronie słowa: "nie"

W enuncjacjach prasowych rzecz wygląda oczywiście zupełnie odwrotnie. To bojkotujący aktorzy, reżyserzy uprawiają terror, to oni "niszczą teraz zdobyte osiągnięcia, traktują z nienawiścią władze, które wbrew nim pragną swobody zachowań i umocnić" /Urban/. "Powstała sytuacja, w której władza oskarżona o tępą totalitaryzm staje w obronie prawa całego społeczeństwa do sztuki, zaś środowisko aktorских tego prawa mu odmawia" /"Walka Młodych"/ itd., itd. Już sam tytuł opublikowanego w "Polityce" przemówienia Rakowskiego: "W obronie słowa tak" sugeruje, że to władza i jej sojusznicy są w defensywie. Wydrukowany w ostatnim /24 XI 82/ numerze "Tu i Teraz" anonimowy list do redakcji jest przejmującym reportażem z pielki "Don Kichota Socjalizmu", czyli tych co bojkot odrzucili. Dzięki sugestywności spikera telewizji

/28 XI/ możemy oczyma przerażonej wyobraźni ujrzeć bojówkę terrorystów, która pod wodzą prezesa Szczepkowskiego, Łapickiego, Holoubka, Zapasiewicza, Bardiniiego i np. Mrozowskiej wieszka na latarniach dzieci Haliny Kossobudzkiej Janusza Kłosińskiego czy Stanisława Mikulskiego, kontynuując w ten sposób mordercze plany "Solidarności" z sejmowej wypowiedzi Janusza Przymanowskiego.

Cóż, jest prawdą, że pośród bojkotujących jest sporo ludzi, którzy pozostają po prostu pod środowiskową presją. Nie da się też ukryć, że presja ta nie ogranicza się tylko do niepodawania ręki, ale przejawia się w tworzeniu licznych "list kolaborantów" - w istocie jest to jedyna sankcja, jaką zagrozić mogą bojkotujący w imię skuteczności i powszechności swej akcji, która i bez tego zresztą jest powszechna. Sankcja nie tak znów groźna, jeśli wziąć pod uwagę możliwości, jakimi dysponuje i jakie prezentuje władza, a także względna tylko - dla deklarujących lojalność wobec owej władzy i aprobatę dla jej decyzji - pejoratywne słowa "kolaborant".

Wiadomo zresztą, że bojkot nie jest stanem pozytywnym i naturalnym. Ale wiadomo też, że towarzyszy na ogół okolicznościom wynaturzonym i że w nich szukać należy jego przyczyny i je obarczać odpowiedzialnością za wszelkie dalsze nieprawidłowości. W kraju wolnym żadne presje - przez którąkolwiek stosowaną stronę - nie są konieczne. We względnie normalnym państwie nikt nie musi rozważać i to w kategoriach ostatecznych owego dylematu, najtrafniej oddanego w S p i s k o w c a c h Conrada - koniec zawodowej kariery czy kondycja śpięga.

13 grudnia, jak żadna inna ze znaczących dla PRL-u dat, zmienił sytuację polskiej kultury. Także poprzez fakt, iż nurt nieoficjalnego oblegu oświaty, prasy, wydawnictw objął już nie poszczególne osoby czy kręgi, lecz niemal całe środowiska. W przeciwieństwie do aktorskiego bojkotu mają one przed sobą niepewne prawdy, lecz szerokie perspektywy, związane nie tylko z negacją, ale i tworzeniem. Bojkot najbardziej widowiskowy i najbardziej jak dotąd skuteczny dla władzy jest jedyną formą protestu pozbawioną tych szans. Zarazem jedyną akcją o tak wielkim znaczeniu w określonym historycznym momencie. Poprzez swą widowiskowość, rezonans, jaki wywołała, udowodnienie, że podniosłe słowa o konieczności zerwania z długoletnią izolacją aktorów od społeczeństwa nie były tylko deklamacją, wreszcie poprzez fakt, iż była spontaniczną inicjatywą ludzi, z natury swego zawodu raczej egocentrycznych, przywykłych raczej do przejmowania cudzych ról, a nie ich narzucania. Tym razem rolę tę narzucano nie byle komu, bo władzy. W aż nadto widoczny sposób nie udźwignęła jej ciężaru. Nie wykorzystwała jedyną ewentualną szansę, jaką było zachowanie wobec bojkotu lekceważącego milczenia. Ośmieszyla się i ośmieszyla kampanią, która przejdzie do antologii Cimmogrodu, tak jak przeszły tem podobne woseńniejse kampanie. Uzbroidła się w zakazy i zarządzenia bez precedensu, bo bez precedensu jest zmuszanie aktorów /którzy przecież mogą nie mieć na to ochoty, niekoniecznie z politycznych względów/ do występów na ekranie, dyrektorów teatrów do udzielania każdemu, kto zechce, wywiadów etc., etc. Bojkot tak czy owak przejdzie do legendy, a pamięć jego będą przywoływać także ci, co są mu przeciwni. Nie umocni zaś rządowego autorytetu fakt, iż rząd nie mógł znieść z jaką taką godnością cporu nawet tak niegroźnego jak realizacja /i to w niewielkim zakresie/ minimalistycznego Sołżenicynowskiego apelu "o nieuczestniczenie w kłamstwie".

P.S. W dwa dni po napisaniu niniejszego tekstu - decyzją MKiS rozwiązano ZASP. Rzecz nie wymaga komentarza. Pikanterii dodaje jej fakt, iż za 20 dni mógł obchodzić swe 64-lecie. Jego twórcy zastrzeżli u progu niepodległości: "Rozwiązanie Związku może nastąpić na sutek uchwały Zjazdu Walnego". Nawet w roku 1949 wobec tego postanowienia zachowano się z pewną kurtuazją: o przekształceniu ZASP w SPATIF zadecydowano /przynajmniej formalnie/ na Zjeździe.

Rozwiązanie ZASP-u w przededniu 13 grudnia, gdy istniały szanse na naturalne przerwanie bojkotu /był to m.in. bojkot stanu wojennego/, oraz cała poprzedzająca tę decyzję oszozercza kampania - dowodzą, że celem władzy nie był wcale powrót aktorów na ekrany, lecz upokorzenie i skłócenie środowiska. Wolno mniemać, że jest to metoda, którą stosować się będzie wobec świata kultury raz po raz obecnie.

.....

CZY NIEWIELE WIĘCEJ?

Po marcowych doświadczeniach 1968 roku pytali, "czym jest poezja, która nie ocala narodów ani ludzi". Postulowali nieufność wobec języka, nieufność jako lekarstwo na kłamstwo epoki i zakłamanie własnych słów, nieustannie zagrożające. Chcieli wskrzesić czasy, gdy poeta był sumieniem polityka. Mówiąc o podstawowych problemach uwikłanego w historię człowieka XX wieku, stworzyli nowy język, świadomy niebezpieczeństw patosu i płomiennych deklaracji. Byli mistrzami ironii.

Dziennik poranny, Ja wiem, że to niesłuszne, Wami, Organizm zbiorowy, Nasze życie rośnie, W fabrykach udajemy smutnych rewołucjonistów, wydają się z perspektywy tych kilku lat, największymi wydarzeniami poetyckimi lat siedemdziesiątych; Etyka i poetyka oraz Świat nie przedstawiony - najważniejszymi książkami krytycznymi tego okresu. Nawet zajadli wrogowie nie kwestionują ich udziału w rozwoju literatury współczesnej i przeformułowania społecznych powinności pisarza.

Ich utwory weszły do katechizmu polskiej opozycji. Co więcej, wbrew polskiemu stereotypowi, swoje poglądy udokumentowali życiem. Mają życiorysy "bez zarzutu"; ktoś nazwał ich "pierwszym pokoleniem o nazwiskach na przyszłe nazwy ulic". Po 1976 zakładali KOR i TKW-y, publikowali w NOW-iej, w 1980 pomagali robotnikom w tworzeniu Związku. Po 13 grudnia byli wśród najbardziej nieustraszonych internowanych i najbardziej oddanych działaczy emigracyjnej "Solidarności". Nic wspólnego nie mają ze swoimi rówieśnikami z Sorbony, którzy na ciepłych posadkach dorobili się bardziej "rozsądnych" poglądów. Wiersz Herberta o starym Prometeuszu nie jest metaforą losów polskiego Marca /1/.

Ta wstępna apolgia wydała mi się konieczna. W dalszej części rozważań, przy okazji recenzowania kolejnego poetyckiego tomiku Ryszarda Krynickiego /2/ chciałbym bowiem podzielić się dość głęboko sięgającymi wątpliwościami. Są to wątpliwości człowieka, który raczej przecenia niż lekceważy dorobek twórcy "pokolenia '68". Wynikają z troski o przyszłość poetyckiego nurtu, który skłonny jestem uznać za najważniejsze, obok debiutów roku '56, zjawisko naszej powojennej literatury.

1. "Język, to dzikie mięso /.../ w otwartej ranie ust". Cytat ten, stanowiący incipit wiersza z ostatniego "legalnego" tomu pt. O r g a n i z m z b i o r o w y, świadczy o wyjątkowo głębokim przeżyciu przez Krynickiego prawdy o zawsze /"nie-niewinnym" nazywaniu, o niebezpieczeństwie tkwiącym w samej naturze procesu słownej komunikacji. Konradowe /"Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie" z wyżyn artystycznej kreacji zostaje sprowadzone do poziomu każdego aktu językowego. Krynicki wyraża to ciągiem sugestywnych metafor:

"to zwierzę codziennie oszwajane
z ludzkimi zębami, to nieludzkie co rośnie w nas i nas
przerasta /.../"

- /1/ Może poza Panem Cogito Herberta, który był swoistym świadectwem identyfikacji poety z moralną problematyką poezji wypływającą z doświadczeń Marca.
- /2/ Ryszard Krynicki N i e w i e l e w i ę c e j. Wiersze z notatnika 78/79. Wydawnictwo ABC. Kraków 1981, wyd. II, zmienione i poprawione.

Postulat "nieufności wobec słowa" miał wielorakie konsekwencje. Między innymi - ściśle artystyczne. Nowofalowe wiersze były konstrukcyjnymi majstersztykami. Szczytem precyzji wydaje się Sztuczne oddychanie Barańczaka; o instrumentacji zgłoskowej i wersyfikacyjnych niezwykłościach tych kilkunastu niewielkich utworów można by napisać dużą pracę naukową. Ale liczne dowody "czułości wobec formy" dawał także Krynicki. W jednym z moich ulubionych utworów z *Organizmu z biorowego pisze*:

"czułość - jakbyś odnalazł w wyludnionym domu
buklecek włosów na ściętej pościeli
i kosmyk konwalii więdnący w flakonie

jest - w dobijaniu śmiertelnie ranionych
do brzegu, o którym żywi nawet nie słyszeli
i w ocaleniu książeczki dziecinnej z pogromu"

Srodki poetyckiej ekspresji, powracające przecież w wielu utworach autora *Podróży po śmiertnej*, stwarzają tutaj efekt harmonii, wykluczający wątpliwości co do celu i trafności ich użycia. Nieoczekiwana przeczutnia, paradoksalne przedstawienie, rytm pomyślany jako spinająca całość klamra, że wymienie tylko czynniki najbardziej oczywiste, tworzą niebanalny klimat wiersza.

Czytając *Niewiele więcej* mam wrażenie, że doskonały mechanizm chwilami zaczyna się. Oto cytat:

"Znają cię bezbronni
głodujący, bezdomni
i śmiertelnie chorzy;
nie chcą czci kłamliwi
ani ci, którzy wolą, by ich okamywać".

Jedyny w utworze rytm podkreśla wyrazistość potoku wersów o wspólnym rytmie. Brzmienie przywodzące na myśl modlitewną melorecytację zostaje zniszczone w ostatnim wersie zdaniem, którego semantyka wcale takiego rytmicznego wstrząsu nie usprawiedliwia. Podwójnie podrzędnie złożone, 13-zgłoskowe zdanie, treściowo dopełniające wersy poprzednie, brzmi jak nieporadność, jak zgrzyt.

W innym wierszu natrafiłem na przykład rymowanki podobnej rymom wysmiewanych przez Barańczaka *plodów Brylla*:

"Nie bądź jak starzejące się ciało,
które teraz wezysztko z siebie dało"
/"Poezjo, prawdo", s. 39/

Przerzutnia stała się manierą. W niektórych wierszach razi sztucznością, czasem - intelektualną pustką:

"Wielu
Wielu już zabito
dla dobra innych"
.....
"Którego nie ma
Bój się Boga
którego nie ma
w twym sercu".

Oba wiersze, dodaję dla wyjaśnienia, zacytowałem w całości.

2. "Między drutami lagru a drutami lagru". Tym razem cytat jest z Barańczaka, "NN rozmysła o dalszych perspektywach" /*Sztuczne oddychanie*. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1978/. Wydał mi się niezwykle związała charakterystyką zasobu "sytuacji lirycznych", którymi poezja pokoleń '68 operuje. Ich pełny przegląd zawierają emigracyjne tomiki Barańczaka i Krynickiego. Błyskotliwe i dowcipne ody do mównicy, spikera DTW, cenzora, aktualnego przywódcy, refleksje nad "wyborami" i "światem pracy" stanowią

wzbogacający poezję polską wynalazek "nowej fali". Ale banalizowanie się tych motywów jest daleko łatwiejsze niż w wypadku krajobrazu i kobiecego wdsięku. Życie polityczne naszego kraju, a szczególnie jego zewnętrzne rytuały, są szatrawającą monotonne. Trzecie wykorzystanie zestawienia "obóz socjalistyczny-obóz koncentracyjny" jest już nieco irytujące, dziesiąte - wipnie mądą i beznymnością. Ciężka eksploatacja tego wąskiego repertuaru paradoksu doprowadziła do ich całkowitego wyjąłwienia. Dawna blyskotliwość zmieniać się zaczęła w namaszczoną deklamację. Przykład: wiersz "Polska agencja prasowa" jest streszczeniem gazetowej informacji o porwaniu samolotu przez jakichś postępowych bojowników. Pointa brzmi:

"Tłumaczy PAP czytelnikom z naszego
/.../ obozu
w którym nawet nie odwołano zamiary
na śmierć bywają zasądzone".

Uroczysta fraza przypominająca Miłosza nie może uchronić przed posądzeniem o intelektualną miłośność, tym bardziej że "żagrowy" wątek został użyty zupełnie nietrafnie: PAP nie tłumaczy niczego czytelnikom naszego "obozu", tylko lokatorom baraku, w którym mówi się po polsku. Obsesja Polski-więzienia powraca m.in. w wierszu "Był sam w sobie":

"Był sam w sobie: suka milicyjna? więzienie?
brzemienne unundurowanymi po tępy
milicjantami? strażnikami?"

Jest to dokument niebezpieczeństw wynikających z oparcia utworu na jednej grze lingwistycznej. Motyw przekraczania granicy PRL z wcześniejszego znakomitego "Otwarcia" zostaje rozmięziony na znacznie słabsze "Czytaj: ojczyzna" i "Postój".

Wiele z artystycznie i intelektualnie ciekawych wierszy tomiku N i e w i e l e w i e c e j okazuje się przedrukami z paryskiego N a s z e z y c i e r o ś n i e, m.in.: "W tej walce", "Podobno", "Czym jest poezja..."

3. "Nie jestem już młodym poetą" napisał Krynicki w "Samokrytyce".

Po tej deklaracji następuje nie kończąca się litania negatywnych definicji przyczyn owego "starzenia się". Licentia poetica zrealnia autora od konieczności formułowania definicji rzeczywistości. Korzystając ze stylistycznej figury-skrótu, chcę stwierdzić, że znakiem owego "pożegnania z młodością" jest w tomiku N i e w i e l e w i e c e j zmiana w stosunku do języka. Największe poetyczne osiągnięcia poezji marcowych kontestatorów cechują niezwykle silne poczucie "bezdomności w słowie". Niewiele ryzykując, można uważać to za odpowiednik "ideologii wędrowki" Edwarda Stachury w materii języka poetycznego. Owa "bezdomność" jest wielką szansą. Pozytywnie outsidera pozwala dostrzec wszystkie presupozycje przyjmowane milcząco w ramach pewnego stylu. Pozwala uwolnić się od zniewalającego mechanizmu sprawiającego, że przyjęcie pewnego stylu mówienia naraża nas na wszelkie tego światopoglądowe konsekwencje. Żadna polska praca teoretyczna nie powiedziała o języku propagandy tyle, ile nowofalowe wiersze.

Wkrótce jednak niektóre z wkładanych na chwilę masek zaczęły przyrastać do twarzy. Przyjmowanie pewnych konwencji gatunkowych przestało być motywowane chęcią rozsadzenia tych konwencji od środka, stało się literacką grą seric. O ile Barańczak pozostał blisko żywiołu języka potocznego /m. w W i e r s z a c h n a b y w c z y c h /, Krynicki coraz częściej przyjmuje poetykę gatunków wysokich - ody, hymnu, modlitwy. Przypuszczenie, że nie jest to tylko kwestia nazwy, potwierdzają przykłady z N i e w i e l e w i e c e j. Odnaleźć tu można koncepty niemal barokowe; wiersz "Cóż z tego" jest odą do personifikowanej śmierci. Przytoczę pierwsze strofy, by wskazać, o jaki sposób pisania tu chodzi:

"Cóż z tego, że potrafisz być ludzka,
że kochasz jednako
zarówno swoje jak i cudze dzieci;

cóż z tego, że potrafisz być męska, żeńska
i kobieca,
że bez żadnego z nas nie potrafisz żyć;

Długi ciąg pytań retorycznych wzmagają wyżej opisany efekt. N i e w i e l e w i ę c e j zawiera też ody do uosabianej Prawdy /"Choćby była tak prosta..."/ i Poezji /"Poezjo, prawda"/. Krynicki z poety "przyglądającego się wielkim literom" staje się poetą wielkich liter.

Rezygnacja z niewygód bezdomności - istnienie pomiędzy stylami i konwencjami oznacza odwrócenie się od "teoretycznych" założeń twórców, których ukształtowało doświadczenie Marca. Lingwistyczne poszukiwania "pokolenia '68" stworzyły nową odmianę "poezji konkretną", językowy system luster. Była to poezja skrajnie nie-sensualistyczna, a przeciw nasyconą obserwacją. Krynicki zawiesza słowa-pojęcia w semantycznej próżni. Tworzy system pozbawiony "wentyla bezpieczeństwa", słowa samokrytycznego. Jego deklaracje narażone są na zakłamanie w związku z działaniem mechanizmu, który sam przed kilku laty opisał. Wszystkie te zarzuty mogłyby być dzieleniem włosa na czworo, gdyby chodziło o jakąkolwiek inną twórczość. Sformułowanie ich pod adresem poety, który ostrzegają przed językowym zniewoleniem, wydaje mi się uprawnione. Tym bardziej, że czysto artystyczna jakość tych utworów coraz rzadziej może salfaksjonować czytelnika świadomego świetnych początków tej twórczości.

4. Duża część zbioru N i e w i e l e w i ę c e j jest, moim zdaniem przejawem skostnienia podstawowych schematów i stylistycznych chwytów Krynickiego. Zaryzykowałbym opinię - całej poezji tego pokolenia. To przynajmniej, co przeczytać można było w "wojennych" czasopiśmie niezależnych i w najnowszym tomie Adama Zagajewskiego pt. L i s t. O d a d o w i e l o s i /Wyd. Półka Poetów, Kraków 1982/ skłaniać może do takich uogólnień. Trudno, mówiąc o przyczynach takiego stanu rzeczy, balansować pomiędzy banałem a ryzykownymi domniemaniami, spróbuję jednak sformułować kilka hipotez.

Przyczyną zewnętrzną było, moim zdaniem, zakłócenie procesu komunikacji literackiej. Nastąpiło ono w obydwu czytelniczych obiegach, zarówno między autorami a krytykami, jak w relacji autor - zwykły czytelnik. Obie wspaniałe książki krytyczne wspomniane we wstępie pojawiły się w fazie wstępnej i u szczytu rozwoju tego literackiego prądu. Co prawda jest już w nich obecna, szczególnie u Barańczaka, przenikliwa analiza immanentnych zagrożeń "marcowej" literatury. Ale równocześnie jest to jednak ostatnia poważna wypowiedź na ten temat. Wydana w okresie regresu broszurka S ł o w o i k n e b e l /S. Barańczak, S ł o w o i k n e b e l, Zeszyty TKN. Wyd. NOWA, Warszawa 1980/ razi powierzchownością analiz i pływiznami sądów.

Myszę, że prawdziwym nieszczęściem była jednak niernormalność obiegu czytelniczego. Proroctwo Barańczaka o "śladach knebla na języku" okazało się trafne. Fakt publikowania "pod ziemią" nie był tak mało znaczący, jak się początkowo wydawało. Nieoficjalna kultura literacka nie stała się czymś autonomicznym. Tezy o konieczności dbania o "jedność kultury narodowej" wydają się z perspektywy czasu dość banalne; ich pochodną było ścisłe uzależnienie obiegu nieoficjalnego od liberalizmu cenzury; jego dobrowolna polityczna instrumentalizacja. Poeta musiał rozstrzygać dylematy zgoda "niepoetyckie": czy wolno mu narażać drukarzy i kolporterów na fizyczne represje dla objawienia prawd nie dotyczących "sprawy". Próba, może najrozsądniejszą, było stworzenie całkiem "nietechnicznego", towarzyskiego obiegu tekstów, udało się to w wypadku piosenek Kleffya i Kelusa. O wiele trudniej zrobić coś podobnego z wierszami. Do Sierpnia sprawa została właściwie nierozwiązana. Być może chęcią ucieczki z politycznego kierunku wyjaśnić należy fakt, że jako tłumacze Krynicki, Kornhauser i Barańczak byli miłośnikami subtelnej poezji metafizycznej.

Równie ważna jest przyczyna wewnętrzna kryzysu. W pewnym momencie, jak sądzę, nastąpiło rozczarowanie co do intelektualnych możliwości poezji budowanej na cudzych językach, przede wszystkim na języku propagandy. Łatwo jest

w ramach tej konwencji przekonać, że "prasa kłamie", znacznie trudniej opisać swoją "pozytywną" wizję świata. W poszukiwaniu lepszych rozwiązań poeci sięgali często do form quasi-modlitewnych /liczne przykłady - w programie W s z y s t k i c h s e a n s ó w z a r e z e r w o w a n y c h, wydanych nakładem NZS Politechniki Warszawskiej wiosną 1981 roku/. Patoś, nieodłączny od tych gatunków, zawsze był "szczerozłoty". Dowody na to przynosi N i e w i e l e w i ę c e j.

Drugim wyjściem było świadome ograniczanie zadań poezji. Przykładem mogą być ostatnie wiersze Barańczaka, wspomniane już w i e r s z e n a b y w c z e. Jest to poezja ściśle "społeczna", o krótkim oddechu, znacząca tylko hic et nunc, jak polityczny dowcip. Nie jest wstrząsem, choć budzi podziw dla słownej wirtuozerii.

Najciekawsze wiersze z N i e w i e l e w i ę c e j /a także np. część liryki Barańczaka ze wspomnianego wydania zbiorowego/ zdają się świadczyć o istnieniu innych sposobów przełamania regresu. Może nim być poszukiwanie stylistyki o większej skali ekspresji, ucieczka od raz na zawsze ustalonego kanonu tematów i środków wyrazu. Oznacza to osłabienie więzi pokoleniowej, ale jest szansą ożywienia obumierającej poezji.

Na koniec kilka przykładów twórczych poszukiwań z recenzowanego tomiku. Najciekawsze w nim wiersze to, moim zdaniem, miniaturowe, kilkunastosylabowe obrazy poetyckie, przywołujące na myśl japońskie haiku:

Jesteście wolni
Jesteście wolni - mówi strażnik
i żelazna brama zamyka się
teraz z tej strony.

Przytoczyłem przykład świadczący o tym, że nawet w kręgu wiecznie eksploatowanych tematów możliwe jest uchronienie ich od banału. Zamiast wykładu o względności wolności w kraju, który "jest więzieniem", proponuję Krynicki dwudziestocterosylabowy obrazek, mówiący to samo, ale piękniej.

Większość "haiku" także tematycznie nie mają zbyt wiele wspólnego z klasyczną poezją "pokolenia '68". Zacytuję kilka, wyjątkowej urody:

WENATRZ

Spójrz, prawdziwym blaskiem
witraż świeci dopiero
wewnątrz kościoła.

I OO

I co z tego
że miałyśmy rację,
ważki z epoki przedlodowcowej?

NIE MOGE, CI POMÓC

Biedna omo, nie mogę ci pomóc,
mogę tylko zgasić światło.

"Marcowe doświadczenie" poezji polskiej jest jednym z najciekawszych i najbardziej pouczających w jej powojennym rozwoju. Odpowiedź, na ile częściowa porażka pokolenia Ryszarda Krynickiego była zdeterminowana kształtem poetyckiego programu /wpływ roku 1968/, to ważne i niebanalne zadanie. Chodzi bowiem o kwestię podstawową: jak możliwe jest dziś poetyckie "zamorzenie w Historię"?

O "MIESIĄCH" KAZIMIERZA BRANDYSA

Poczucie chybliwej równowagi, doznawane przez kogoś, kto głośno zwierza się ze swej potrzeby "nadprzyrodzonej pewności wartości absolutnych" /s.8/, albo lepiej, świadomość, że miejscem, na którym przyszło przyświadczyć istnieniu tych prawd i wartości, jest forum społeczne o cechach teatralnej sceny, co więcej, że jest nim literatua, a więc coś, co żywi się zmyśleniem i sztucznością - to poczucie dwuznaczności i niepewności decydujące u Brandysa o formie i tematycznej zawartości jego hybrydycznej, niepewnościowej prozy albo raczej powieściowego dokumentu, jakim są M i e s i ą c e.

Od razu też powiedzmy, że ta dokuczliwa i oiekawa dla wszystkich czytelników Gombrowicza /pozostawmy tylko przy tym jednym nazwisku/ kwestia; jak zachować własną autentyczność w sytuacji, która ze wszelkim miar temu nie sprzyja, pozostała otwarta podobnie jak forma tego nby-dziennika, w którym opis stanu pisarskiej neurastenii może być formułą Początku, a wirtuozerski popis pisarskiej sprawności - formułą Zakończenia.

W zapiskach Brandysa sagadnienie kondycji pisarza i roli literatury pojawia się wielokrotnie i na różne sposoby. Wszelako, jeśli pominąć oceny czy charakterystyki cudzej twórczości, łatwo można zauważyć, że znacznie mniej miejsca zajmują dywagacje o literaturze, niż roztrząsanie sytuacji piszącego, myślenie o swojej literaturze i jej miejscu w budowanej na własny użytek hipotezie sensu własnych działań, owszem, zapewne istnieje literatura, ale dla autora M i e s i ą c y przybiera ona przede wszystkim "fabularny kształt losu" /s.16/, dodajmy, własnego losu. Przy całej swojej profesjonalnej samowiedzy, Brandys nie chce, lub nie może zdobyć się na dystans do siebie jako pisarza, mimo iż wielokrotnie w sposób niesłychanie sugestywny istnienie takiego dystansu markuje.

Brandys na różne sposoby pisze o nędzy literatury. A więc, istnieją tematy /chodzi o przeżycia metafizyczne/, z których nie można zrobić dobrej literatury. Razi go "publicystyczna wiotkość" ujęcia, "to są sprawy wymykające się narracji, trudno uchwycić ich sens najistotniejszy - tak niematerialny - i wpada w słowa" /s. 109/. Gdy mowa o potrzebie intelektualnego oporu i powstaniu "Zapisu", autor zaznacza: "przychodzą takie momenty, kiedy kulturę tworzą wartości nienapisane" /s.52/. Wspomina o wstydzie na myśl, że nie zostanie po nas nic prócz wydrukowanych powieści lub wierszy - nic większego. "A mówiąc «kultura» powożujemy się na rzeczy większe" /s. 53/. A więc literatura, w ostatecznym rachunku, jest tylko cieniem "prawdziwego" życia, rzeczywisty dramat wartości rozgrywa się gdzieś indziej, literaturze co najwyżej pozostaje funkcja mitologii powoływanej na czas przetrwania próby. Nie sposób jednak uwolnić się od podejrzania, że Brandysowi "trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać książkę". W wymiarze prywatnym, literatura, własne pisarstwo, staje się codziennym dowodem własnego istnienia. "Przerwy w pisarskiej egzystencji podobne są do zapaści..." /s.1/. Autor M i e s i ą c y nazywa ten stan nawet "łękiem organizmu", jest to więc przypadłość psychofizyczna, stanowiąca o zdrowiu i chorobie, a nawet o życiu i śmierci, bo okres niemocy twórczej to swego rodzaju zawodowe ocieranie się o śmierć. "Są sygnałami nicości, od której nie umiem zbrawić się inaczej, jak tylko wysiłkiem pisania" /s.4/. "Pisarstwo to rodzaj egzystencji, sposób bycia, zawodem pisarza jest człowieczeństwo" /s.161/. A więc literatura nawet nie jest tu nałogiem, ktoś "pisze, więc jest", "... w wysiłku pisarza zawarty jest czynnik religijny..." /s.9/, "w tej walce /z nicością - uważa krytyka/ - pokrzepiam się dalej - jestem po dobrej stronie, gdyż usiłuję na swoją miarę zapobiegać próżni. Ta myśl pozwala mi zasnąć" /s.128/. Literatura wywołuje z pamięci

etapy autobiografii, odmierza czas, jest mapą świata, transmisją metafizycznego sensu. Wszystko inne to jedynie pretekst, przygotowanie, przykrą krzątaniem, daniną, którą trzeba zapłacić, zanim nastanie prywatny, święty czas i zanim przez kartki zapisanego papieru znacznie prześwytają esoloty: "każdy człowiek i każda literatura mają wpisane w siebie jako domniemane, nadprzyrodzone i transcendentne założenie gatunku: hipotezę nieśmiertelności" /s.89/.

Przy takich założeniach, w autorskiej hierarchii wartości jedno z najważniejszych miejsc zajmuje profesjonalna sprawność, znajomość tajników estyki, talent literacki, on bowiem jest gwarantem skuteczności życiowego wyboru, znakiem przyjaźni losu. Na zewnątrz objawia się to kultem literackości, kultem pięknego zdania. "W W i e k u m e n t o r ó w, świeżo wydanym tomie prozy, Artur Międzyrzeczki napisał kilka zdań, które zapadają w pamięć..." /s.115/, "... znowu olśnił mnie ten cytat... Co to jest talent? Talent to umieć napisać takie zdanie" /s.141/. W prozie Brandysa niemal co chwila natykamy się na wypracowane literacko zdania; zdania, które mają zwrócić na siebie uwagę aforystyczną celnością, myślowego skrótu, plastycznością opisu, albo wręcz językową nadorganizacją, poetyckością metafizycznej formuły: "Orszak zmarłych wstających domów przepuszczał w cisy nasze kroki" /s.5/. Autor wielokrotnie przynosi do swego niby-dziennika zanotowane niegdyś zdania, obserwacje, próbki opisu tylko dlatego, że dostarczają satysfakcji zawodowej. W opowieści wplata dygresje, dyskurs myślowy przerywa, by wtrącić żartobliwe spostrzeżenia, które stają się popisem inteligencji i sprawności literackiej: "Wiosna to jest reumatyzm, reumatyzm to jest światopogląd. Światopogląd reumatyczny stwarza filozofię gorczy. Gorczy to sposób wyposażenia się w godność. Godność ła swój styl i właśnie tego stylu chciałbym uniknąć na wiosnę". /s.77/. Brandys pisze swój niby-dziennik, by tak rzec, z krótkiego dystansu, z założeniem, aby ani na chwilę nie dać ochłonąć czytelnikowi, nie stracić kontroli nad jego reakcją, więcej, stworzyć fikcję braku dystansu, fikcję dobrego porozumienia. Synkretyczne gatunkowo, kapryśne formalnie M i e s i ą c ą w wielu swoich partiach imitują strukturę rozmowy toczonej przez intelektualistów przy kawiarzynie stoliku. Poważnie każdy sam ze sobą rozmawia nad kartką papieru. Brandys rezygnuje z tej powagi. Dominuje luźny tok asocjacyjny. Mówi się o wszystkim; powtarza się ostatnie wiadomości, wszczyna dyskusje, te z kolei okrasza plotkami. Ceni się dowcip, kalambury, paradoksy, cięte powiedzonka, kreuje się wielkości i autorytety. Brandys przyjaznym gestem zaprasza czytelnika do tej towarzyskiej rozmowy. Choć z czytelnikiem przyjąłby takiego zaproszenia, tym bardziej, że jest to jednocześnie salon kultury niezależnej?

Co więcej, za sprawą starań autora, zapraszany znajdzie tam tyle interesujących tematów: wspomnienia z międzywojnia i lat okupacji, świetne literacko portrety znanych pisarzy, rozważania o kryzysie teatru, o stanie duszy mężczyzny w chwilach erotycznego zbliżenia, o schizofreniczności polskiego życia, obrazki ze stołki Klubu Literatów, kronikę poczynan demokratycznej opozycji, notatki z wizyty papieża, refleksje o przeczytanych książkach, spotkaniach z ludźmi etc. ... W sposobie prowadzenia tych notatek uderza zadowolenie autora z eleganckiego zreferowania. Przyjemność profesjonalna. Przyjemność sprawowania roli arbitra, roli reżysera, narratora nadrzędnego, ostatniej instancji, kogoś kontentującego się bezbronnnością i plastycznością materiału. "W moich brulionach natknąłem się na zapomniane notatki z lat sześćdziesiątych. Jedna jest czymś rysopisem: «Bardzo otyły, podbródek nosi na piersiach jak sakwę i musi cierpieć na żądę żółądka, bo jadł spiesznie, dużymi kęsami cicho jęcząc». Opis jest dobry, ale kogo dotyczy, gdzie i kiedy tę osobistość widziałem? Najmniejszego pojęcia" /s. 58-59/.

Jak Dante w B o s k i e j K o m e d i i umieszczając swoich wrogów w piekle, tak Brandys w M i e s i ą c a c h daje galerię portretów ludzi potępionych i zbawionych za sprawą świętej literatury. I jednym i drugim przewodzi do nieśmiertelności. Jednych wysadza na brzegu potępieńców, jakby

powiedział Gombrowicz, wtrąca do piekiad drugorzędności, innych wysadza na schodach do narodowego Panteonu. "Patrzcie, co z nimi robię", zdaje się mówić autor, "stwarzam innych i poprzez nich stwarzam siebie".

Sprawozna moc pisarza nie ma granic. Literatura, sztuka pozwala nie tylko dostrzec nie znane wymiary czyjś losu, pozwala też przywrócić utracony spokój ducha, poczucie bezpieczeństwa i zadomowienia w otaczającym nas świecie /incydent z księdzem-antysemity, który zniszczył czyjąś wiarę/. Jak postępować - pyta Brandys - kiedy czyjaś agresywna grupota lub bezinteresowna nienawiść niszczy naszą wizję świata? "...Od podobnej zmyry można uwolnić się tylko słowami: nazwać ją chorobą umysłową albo wirusem i wyłączyć ze świata ludzi zdrowych" /s.86/. Literatura potrafi też zastąpić niewygodną rzeczywistość: "Śniłem o życiu bez przygód. To znaczy o prawdziwym życiu, w którym ja sam wymyślałem przygody. Niewykluczone, że podobne sny mają biurokraci i tyrani." /s. 30/. To bardzo gombrowiczowskie stwierdzenie. Gombrowicz także unikał życiowych przygód i programowo poprzestawał na własnym wnętrzu. Mamy jednak prawo przypuszczać, że wyznanie to, podobnie jak wiele innych u Brandysa, nie zostało zrobione "serio". Gdzie indziej bowiem Brandys narzeka, że schizofreniczna rzeczywistość nad Wisłą nie pozwala mu zostać prawdziwym pisarzem, to znaczy pisarzem-tragikiem. Bowiem trudno jest rozstrząsać racje moralne, rozstrzygać dylematy w świecie nie rządzącym się prawami, które czynią tragedię możliwą i sensowną. Jak budować tragedię tam, gdzie zwykły opad śniegów wyzwała stan schizofrenicznej katalepsji trwającej tak długo, aż problemu nie zlikwiduje "deus ex machina", tzn. nie przyjdzie odwilż? W naszym życiu - pisze Brandys - groza popolicieje, składa się z takich właśnie faktów. Przeżywa się je codziennie i one tworzą codzienność. Tę polską, skrzeczącą codzienność, o której mówimy: "nic nowego się nie dzieje" /s.73/. Natychmiast jednak dodaje: "Tutaj nigdy nic się nie dzieje, tylko ciągle się siedzi na rozżarzonych węglach. I trzeba uznawać, że się siedzi w fotelu. Zawsze trzeba trochę udawać dla przyzwoitości".

Właśnie! Brandys wcale nie kryje, że tego wszystkiego, o czym pisze, nie można traktować jako protokołu "serio" / "aja" kontrolowane z punktu widzenia kompozycyjnego zamysłu i kształtowane przez materiał dziejący się w trakcie pisania" s.111/ - autor zdaje się mówić: im bardziej jestem sztuczny, tym bardziej, być może, jestem autentyczny! Mankamentem tego zabiegu jest chyba równouprawnienie pisarskich zabiegów i rzeczywistości. Sprawia ono, że nawet tam, gdzie Brandys mówi serio, niknie dramat, a pozostaje wędrowka myśli przeglądającej się w lustrach stylu.

M i e s i a c e stają się podobne do intelektualnego drug-store'u w którym każdy może znaleźć coś dla siebie. Zmieniają się w reader's-digest zrobiony z intelektualnego dramatu naszej współczesności, wyciąg z rozmów i niepokojów ludzi, którzy - jak pisze sam autor - "częstokroć na własnej skórze przeżyli największe tematy stulecia" /s.86/.

Autor bestselleru zawsze ma przewagę nad natrętnym krytykiem. Przecież ta niezbyt wyraźnie wydrukowana książka jest zaczytywana, a wątpliwości, pytania, całe to szarpanie autora za poły marynarki, po cóż to? Czy książka wytrzyma próbę czasu? Historia wielkiej literatury poucza, że wielkość pisarza zależy w końcu od suwerenności stylu i jego zdolności ekspansji w obszary swej literackiej współczesności. Pod tym względem, intelektualnie giętka, niewysilona, jakby od niechcenia inkrustowana paradoksem, klasyczna polszczyzna Brandysa, niewątpliwie stawia go w rzędzie najłepiej piszących dziś po polsku autorów. Jasność składni, poszanowanie hierarchii słownika, przejrzysty tok inteligentniej polszczyzny, broniący przed załamaniem literackiej nowomowy, odbijający od pretensjonalnych i z mozołem konstruowanych przez pisarzy młodszego pokolenia języków, będzie zyskiwał na wartości, w miarę jak tamte będą ulegały dewaluacji. A więc, w ostateczności zwycięży dobre rzemiosło. To, co budziło niegdyś zastrzeżenia, spory o właściwy dla swego cza-

su styl myślenia, rozmaite pretensje wynikające z uwikłania w okolicznościowe literackie czy światopoglądowe dyskusje, wszystko to obumrze z czasem i przestanie się liczyć? "Czas, który zanajdując tę dziwną wymówkę, wybaczył Kiplingowi jego poglądy i wybaczy Pawłowi Claudelowi, wybaczy mu, bo dobrze pisze, napisał W.H.Auden w wierszu "In memory of W.B.Yeats".

'Być może ten sposób rozumowania należałoby zastosować i do M i e s i ę c y. Ale swój pocisk na orbitę chce wynieść Brandys właśnie siłą tego, co okolicznościowe, przypadkowe, powstałe z dnia na dzień, uwikłane w doraźność i skażone materią, którą żywi się h o m o s o c i u s, h o m o p o l i t i c u s. Ważny jest dyskurs o tym, co-wszystkich interesuje. Trudno jest więc abstrahować od zawartości i problematyki M i e s i ę c y. Z uwagi na bogactwo materiału, mogę wziąć tu jedynie próbki.

Brandys w M i e s i ę c a c h jest niezrównanym kronikarzem życia "nie bardzo podłego miasta" - Warszawy. Wspomnienia z czasów przedwojennych i współczesne sceny okolicznościowe i obyczajowe; miasto w dniu 11 listopada, w "kłęse żywiołowej" pamiętej zimy i w przeddzień przyjazdu papieża, obraźki codziennej warszawskiej mordęgi w kolejkach, kapitalny epizod z panem Pawlakiem, dozorcą, któremu przykrej pracy przysparza sąsiedztwo pobliskiej kawierzni, staromiejskie głosy w ciemności, nuda, brutalizacja życia i frywolne zteatralizowane życie na Rynku - scenki te tworzą jeden z najlepszych wątków M i e s i ę c y, a autora pozwalają zaliczyć do grona najciekawiej i najprzenikliwiej piszących o życiu miasta "warszawskich" pisarzy - Sionimskiego, Stępcowskiego, Tyrmanda, Kisielewskiego, Konwickiego, Nowakowskiego. Z drugiej strony trudno nie zauważyć, że Brandys ogranicza się jedynie do wąskiego wycinka warszawy - "małego Paryża": Starego Miasta, Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, a i tutaj, w odróżnieniu do wyżej wymienionych jest wyobcowany z życia zbiorowości inteligentnej, jak o tym świadczą fragmenty mówiące o trudnościach w nawiązywaniu kolpjkowo-sąsiedzkich kontaktów. Po mieście porusza się samochodem, je w stożówce klubowej, korzysta z kliniki na Rozej, "z zapakowanym majdanem, z rękopisem, maszyną, plecami, parasolami, ekspressem do parzenia kawy i zimowymi butami w bagażniku" /s.99/ wyjeżdża do Obór lub do Konstancina.

Ten egzystencjalny dystans w szczególnie sposób dochodzi do głosu tam, gdzie autor staje się kronikarzem losów polskiej inteligencji. Kiedy zaczyna o tym pisać, woli się odwołać do akcentowanej z dawna kliszy. Portret zbiorowy tworzony jest pod ciśnieniem romantycznego stereotypu. W ujęciu Brandysa, to ludzie "złączeni wspólną potrzebą cudu i zakniemieniem pokrępiąjącej legendy" /s.21/, to ciężkie formacje "polskich świętych", których kanonizował Zeromski i z których sztychł Gałczyński, formacja tradycyjnie stawiająca etykę przed polityką, gerdząc rachunkiem pragmatycznych racji: "Wszystko dookoła zaraża nieczystą «materia politica», która weszła głęboko w ludzi" /s.81/. Stąd też środowisko to przedkłada gesty polityczne nad polityczną rutynę; stąd też podziałów ideologiczne są tutaj drugoplanowe i wtórne w stosunku do podziałów towarzyskich.

Najsilniej to romantyczne, z lekka zmitologizowane spojrzenie zaznacza się tam, gdzie Brandys pisze o poczynaniach opozycji demokratycznej. Na kartach M i e s i ę c y wyznawcy ethosu ofiarnika ratują honor Polaków i gło-dziwają w obronie uwiecznionych Czechów, gdy tymczasem "Stare Miasto, ze swymi kmajkami, goframi, makaronami spaghetti, butikami po parysku i parówkami po kenadyjsku, z kataryniarzem, papugą i cyganską kapelą, wchodziło w letni sezon" /s.9/. Istotnie, w ostatecznym rachunku Brandys ma rację: to ruch kamieni rzuconych na szaniec spowodował lawinę. Z czego czynię autorowi zarzut? Chodzi mi o kął widzenia, o postawę arystokratycznego dystansu, moralizatorską dydaktykę i pesymizm besserwissera, który pozwala powiedzieć: "Miałem zdaje się rację pisząc w N i e r z e c z y w i s t o ś c i, że idee i pojęcia etyczne dzisiejszej masie społecznej wydają się ponad jej stan, że nie zaryzykuje ona dla nich swego stanu posiadania. I to nie dotyczy jedynie

nowej masy..." /s.73/. Gdzie indziej zauważa: "... dzisiejsza polska większość też nie jest wolnością najbardziej spragniona. Lęka się ryzyka nagłego przełomu, sytuacji otwartych, gdy musiałaby sama o sobie decydować. Nie wierzy w ich realność. Chce materialnego polepszenia" /s.153/. W odniesieniu do sytuacji pisarza tak to wygląda: "Dla literatury w tej «anormalności» istnieje pewna szansa: odnowiona możliwość arystokratyzmu. Szansę tworzy konflikt pisarza z reżimem. W zejściu do kameralnego podziemia, w półdobrowolnej izolacji przejawia się nowa żywotność: jest to ruch wyłączenia się z kultury masowej, oddzielenia się od twórczości kupionąj" /s.23/. Rację miał Gombrowicz, kiedy z emigracyjnego oddalenia ostrzegając: "W Polsce runęła więź zbył arystokratycznej kultury i tam wszystko, prócz kominów fabrycznych, stanie się w obecnym i następnym pokoleniu karłowate". Na szczęście okazało się, że "podziemie" kulturalne Anno Domini 1980 nie było takie znowu kameralne, choć z kolei, niestety, owe fabryczne kominy okazały się pobożnym życzeniem. "Jedynie nas nie da się zastąpić innymi, i tylko nas się nie miąnuje" /s. 174/- pisze Brandys, jakby zdawał się zapominać, że oprócz biurokratycznych są jeszcze niesformalizowane instytucje społeczne. Intelektualna elita działa w istocie z przyzwolenia owej anonimowej "masy", która przelewa na swoich mandatariuszy rolę strażników wartości, zezwala im na sprawowanie roli intelektualnych ekspertów i idoli, żywołiwie, to znów pobożliwie toleruje kaprysy i ekstrawagancje, ale dysponuje też wcale wyrafinowanymi i skutecznymi narzędziami kontroli. I sam Brandys korzysta w M i e s i ą c a c h z jej kredytu zaufania.

Dominacja pierwszej osoby jest czymś zwyczajnym w dziennikach pisarzy, którzy przeszli przez szkołę Gombrowicza, którzy w młodości zachwycyli się zakazanym aforyzmem "Piekkło to inni". Autorskie "ja" jest stale obecne w dziennikach, które z wyboru nawiązują do tradycji gatunkowej literatury "konfesyjnej", w dziennikach Herlinga-Grudzińskiego, Tyrmanda. Tak też jest w M i e s i ą c a c h Brandysa. Poznajemy więc autora również jako osobę /w niby-dziennik wplecione są starannie wątki autobiograficzne; autor zjawia się jako dziecko, student dręczony romantycznymi formami niepokoju, zbuntowany socjalista i młody adept literatury, wreszcie pisarz, do którego zaglądają magistralni, a młode kobiety zwracają się po poradę w sprawach "życiowych", autor zapraszany na zagraniczne stypendia i "zakazany" w kraju/. Poznajemy jego literackie sympatie i antypatie.

A jednak ta uprawomocniona wzorami gatunkowymi wszechobecność autorskiego "ja" w M i e s i ą c a c h, nie wychodzi książce na zdrowie. Nie chodzi mi tu o to, że autor demonizuje własną osobę przez nadmierną skłonność do myślenia o wszystkim w kategoriach ostatecznych. Usterki dopatrują się raczej w nadmiernej skłonności do obnażania zabiegów reżyserskich. I tak, egotyzm formy wypowiedzi tłumaczy Brandys tym, że te zapiski mają charakter niejako pół-prywatny, są autoterapią i pomocą w dochodzeniu do samopoznania. Znać prawdę o czymś to dla Brandysa oznacza znać prawdę o sobie w związku z tym czymś /por. s.162, 175/. Dalej, objaśniając przyjętą formułę zapisu, autor zarzeka się, że nie jest to dziennik, bo pisząc go realizuje postawione sobie wcześniej "zadanie stylistyczne", "wie o sobie więcej, niż tutaj zapisuje", "przeprowadza selekcję", "wykonuje robotę konstrukcyjną /w którą to pracę w kalkulowany jest jednak przypadek/ - "piszę to ... jak powieść" /s. 111/. Ale nie jest to "fikcja", bo "nie ma tu rzeczy nieprawdziwych" i autor "występna się zacych grzechów pamiętnikarzy" /s. 132/. Uprowadzając z góry ewentualny zarzut "oschłości uczuć" sięga po "etyczne" motywacje dla formy wypowiedzi: nie wolno zarządzać innymi swoimi wątpliwościami, wywlekać na wierzch własnych gryzot" /s.73/. Gdzie indziej swój intelektualizm traktuje jako dokuźliwą "gębę" przyprowadzoną mu przez Ducha czasu: "...Czuć, cierpieć kochać. Romantycy płakali, mdleli, to był wielki styl epoki: objawiać uczucia. My chcemy być inteligentni... Tak więc czy nie lepiej pisać skromny dziennik, bez komentarza, bez dyskursu..." /s.40/.

Brandys nieustannie zajmuje się narzucaniem czytelnikowi reguł gry; uprzedza jego reakcje, popełnia gwałt na czytelniku. W zamiśle autora, czytelnikowi nie pozostaje nic innego, jak tylko czytać w zachwyceniu. Tym samym Brandys coraz to bardziej uzależnia się od czytelnika, ciągle się tłumaczy, usprawiedliwia, ubezpiecza, a więc obrabowuje się z prywatności, wydaje się w ostateczności na jego łaskę i niełaskę. Taka "szczerłość" - paradoksalnie - budzi nasze podejrzenia, prowokuje do niewiary.

M i e s i ą c e skłaniają do rozważań nad literackim charakterem kultury polskiej, a ściślej mówiąc, kultury intelektualnej elity. O sposobach obecności pisarza i intelektualisty i o stylach ich myślenia w tej kulturze decydowały imponderabilia, które zapraszały do realizacji już to estetycznej, już to etycznej utopii. Nawet pasjonat Brzozowski, krytykujący swoich współczesnych za to, że brali wytwory swej estetycznej wyobraźni za rzeczywistość, pisał o schyłku życia w P a m i ę t n i k u s: "Bo w gruncie rzeczy nie dbam o nic, tylko o to, co jest myślą i jej wypowiedzeniem. Gdzie to się kończy, kończy się moje czucie". A i później, w okresie niepodległości, trzeźwy intelektualista, sceptyk, rezoner-Irykowski, to była tylko "nuda dobrej woli" dla młodego Miłosza, który zresztą sam rozmawiał bardzo trzeźwo. Od wielu już lat w literaturze polskiej mało kto chciał poprzestawać na tym, co "tępe zakreśla oczy". Dobrze to czy źle? Można powiedzieć, że był to konieczny gest samoobrony, bo to, co otaczało nas w niedalekiej przeszłości, paraliżowało wolę, jak niedawno pisał Krynicki - "odbierało nam władzę w rękach, umysłach i sercach". Znaleźli się jednak tacy, którzy przeciwko temu z całych sił się buntowali, byli tacy, którzy łatwo potrafili się z tym pogodzić, a nawet czynić z tego cnotę i przekonywać innych o pozytywach z tego piątnących, przybierając przy tym pozę stańczykowskie. Można zapytać, czy kostium narodowego wieszczą, jaki wciągali na nich usłudni krytycy, nie pił ich pod szyję.

Byli także i tacy, którzy nie chcąc się zarazić, wybierali postój, kwarrantannę w niebie klasyków, rozważania na temat kondycji ludzkiej, by w końcu znaleźć się poza zasięgiem cenzury. Całkiem niedawno, i znów nie bez ironii, Zbigniew Herbert zdradzał przekornie ich regułę:

"To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
nasza odmowa niezgoda i upór
mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku"
/"Potęga smaku"/

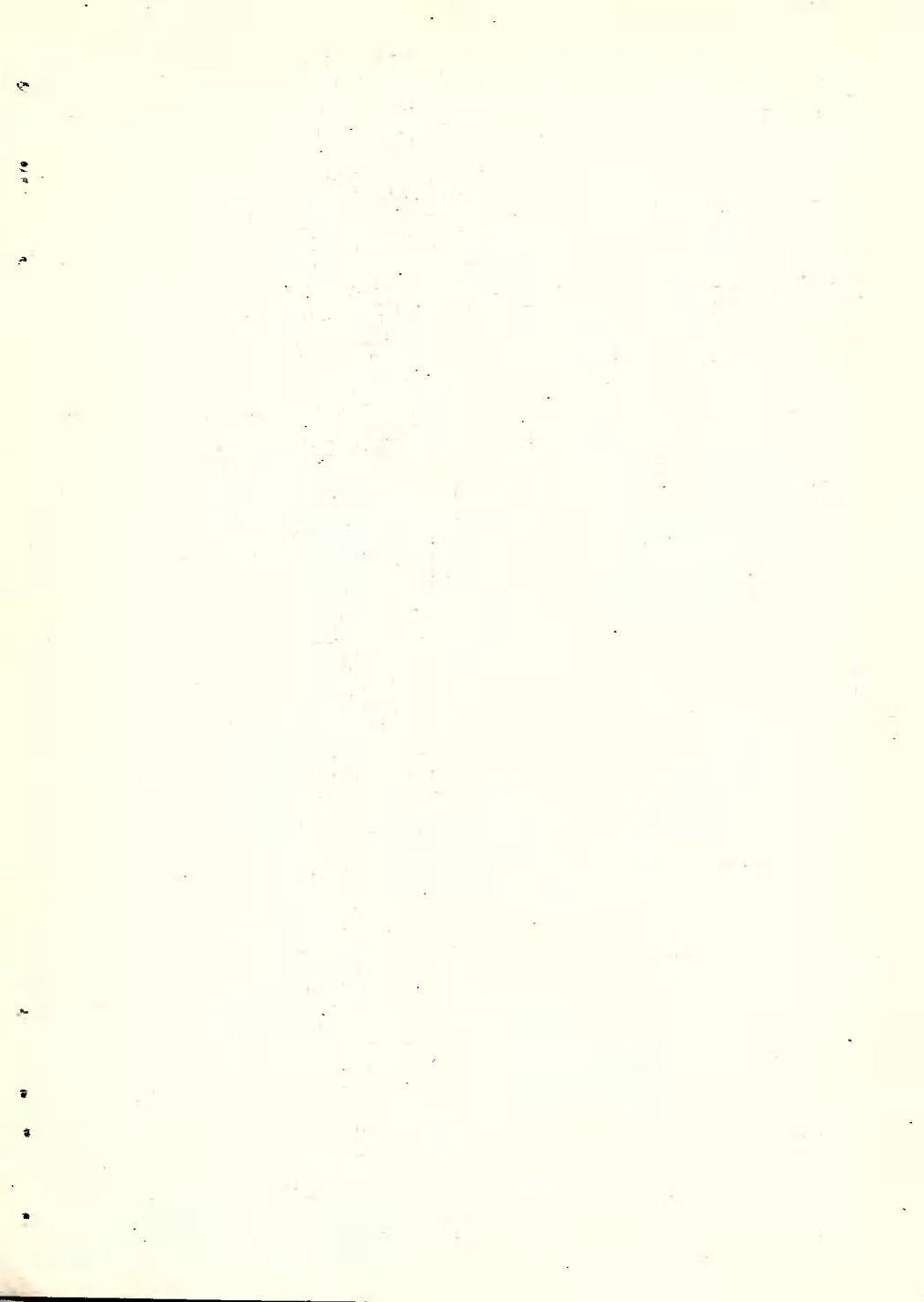
Literatura nie potrafi zmieniać rzeczywistości, nie potrafi też znieść zbyt dużej dozy realności. Dowodzonego tego już na różne sposoby. Ale potrafi tę swoją słabość zmienić w siłę, o którą często nikt by nie podejrzewał tych, którym do szczęścia-potrzebne jest, jak to Brandys pisze za Tatarkiewiczem: "czyste sumienie i ogrzany koninek". Od pewnego momentu, czytelnikom starożytnych filozofów i siedemnastowiecznych poetów, łatwiej jest przejść ciężką próbę, niż zrobić ten krok, po którym - posłużymy się tu metaforą z innego wiersza Herberta - zaczyna się schody prowadzące do luksusowego piekła Balzebuba, który "kocha sztukę".

A jednak literatura, ta, która jest kontredansem intelektu, świętem wyobraźni, ta, która stara się nie tyle zapomnieć o dokuczliwej rzeczywistości, oo stara się od niej uwolnić, unieszkodliwić ją elegancją stylu, zapamiętać nad nią intelektualnie bez reszty, słowem, przesłonić ją parawanem piętnych i mądrych zdań, narażona jest na wielkie niebezpieczeństwo.

Ukryć odruch zniecierpliwienia, nie dawać się wyprowadzić z równowagi, czuwać nad tym, by celne i eleganckie zdania niszczyły zwiastunów chaosu, tak jak przeciwciała niszczą bakterie choroby - to wszystko jest godne podziwu, ale może zastygnąć w zimną i martwą formę, która po latach będzie już miała tylko wartość muzealnego eksponatu. Nagły i nieoczekiwany zwrot historii może sprawić, że ulegnie przecenie. Ci, którzy wezmą dziedzictwo, nie znajdą w wystygłych kształtach tego, czego szuka każdy, kto żyje powietrzem i ziemią.

Październik 1981

.....



PIĘRO I MIECZ

Czy do pozardroszczenia jest los pisarza w Polsce dzisiaj? Jeszcze nie tak dawno mecenas państwowy oferował mu swoje hamburgery w zamian za rezygnację z tego, co, jak się często sądzi, stanowi dość istotny skłednik powołania pisarza, a mianowicie z poddawania w wątpliwość zastanego świata. Dyskurs literatury jest zresztą szczególnym rodzajem mowy rozszczepionej, jak gdyby autor jedną połową twarzy płakał, a drugą z własnego płaczu szczydził. Słowa literatury śpiewają na dwa głosy, wskazują na przedmiot i uciekają odeń, denotują i konotują... Gra tych głosów stanowi muzykę dzieła.

Władza jednak nie znosi rozdwojenia, wahań, dwuznacznego chichotu, choć była skłonna w pewnych okresach nie wymagać, aby pisarze koncentrowali się wyłącznie na pochwałach puszystej kity cesarskiego hełmu. Tolerowano więc twórczość, o ile godziła się na przebywanie w wyznaczonych rezerwach, nie podejmując coraz liczniejszych polityczno-społecznych tabu. Oczywiście pisarz nie musi pisać o tych właśnie sprawach, jest to jego osobisty wybór, można pisać wyłącznie o rzęsach Izoldy, ale musi to być rzeczywisty wolny wybór pisania o tym właśnie, a nie wynik brudnego kompromisu z państwowym dyspozytorem. Sama obecność owego dyspozytora wyznaczającego moją "wolność" zamyka mnie w więzieniu. Literatura uznająca bez protestu tę obecność skazuje się tym samym na wieczne potępienie, gdyż zza każdego jej najpiękniejszego słowa zleje czarną dziurą brak wolnego słowa; to jego trup jak widmo Banka straszy bez ustanku morderców i współników. A współnikiem jest każdy, kto nie krzyczy i nie piętnuje dokonanego gwałtu.

Na szczęście nie udało się skorumpować do końca środowiska pisarskiego. Als udało się poniekać rozbroić gniew, który bywa niekiedy najskuteczniejszym paliwem twórczości. Pisarstwo stało się zawodem bezpiecznym, w miarę rentowym; stało się produkowaniem neutralnego balastu do wypełniania mózgow, aby nie zagnieździła się w nich myśl buntu i niezgody. Wabiło też ku sobie mnóstwo jednostek o nikłych, ze względu na mierne zdolności, szsenschach sukcesu w innych zawodach. Z kolei jednostki niepokorne, potencjalnie niebezpieczne dla panującego systemu grzęzły w obeszwardniającej nijkaości niby to przywilejów i niby to represji. Ani bat nie był naprawdę batem, ani marchewka marchewką. Z tego królestwa pozorów, gdzie mnogość księzek miała zastąpić brak twórczości, wskoczyliśmy w świat ostro zarysowanych przeciwieństw, twardych wyborów, dramatycznych decyzji.

Dzisiaj, gdy ustaliły się dwa obiegi - oficjalny, manipulowany przez władzę i podziemny, niezależny - słowo, w zależności od obiegu, w którym krąży, albo nabrało wyjątkowej, nigdy przedtem niespotykanej wiarygodności, albo utraciło tę wiarygodność do końca. Między czytelnikiem a pisarzem nawiązana została więź niezwyklej wprost zaufania; pisarz jest uznawany albo za autora wypowiedzi w pełni znaczących, albo też napotyka na mur całkowitej dezaprobaty, traktowany jest jako źródło dokuczliwego hałasu, raniącego ucho skrzeku - antymowy.

Pisarze świata, w którym kultura funkcjonuje w ramach rynku - jest sprzedawana i kupowana - z trudem tylko zdać sobie mogą sprawę z sytuacji, kiedy wypowiedź przyjmowana jest przez odbiorcę bez cienia podejrliwości. Oto bowiem komunikat niezależnego obiegu, dzięki temu, że płaci cenę prześladowań, że nie tkwi za jego plecami mecenas władzy, że nie musi wybraniać się wobec czytelnika i oczyszczać od podejrzeń o ukryte, niejasne cele /w świecie skomercjalizowanym celem jawnym jest wartość, celem ukrytym zysk/. Jest dla odbiorcy tym czym jest, jego słowo przyjmowane już w dobrej wierze jako wypowiedź zrodzona z dobrej wiary, jako otwarta dłoń wyciągnięta i spotykająca drugą otwartą dłoń czytelnika...

Alte słowo w jakiejś mierze, przyjmowane z religijną niemal czcią przez czytelnika swą wiarygodność zawdzięcza sobie, przekazowi, który niesie? A w jakiej mierze swój niewyczerpalny kredyt winne jest przynalności do nie-manipulowanego obiegu niezależnego? Bo jeśli to drugie, to cudzy blask? Jakby z samego odrzucenia kłamstwa, fałszu i oszustwa zderającego tkanki oficjalnego dyskursu rodziła się Prawda dyskursu niezależnego... Tak w średnio-wieczu wierzone w prawdę wynikającą z autorytetu osoby wypowiadającej; sprawdzano więc autorytet, nie samą wypowiedź.

A więc kredyt zaufania udzielany obiegowi niezależnemu, alternatywnemu wobec zakłamanego obiegu oficjalnego /obiegu "złej wiary"/ może prowadzić do s u i g e n e r i s depersonalizacji wypowiedzi? Czyż nie jest to czymś podobnym do radosnego witania żołnierzy własnej armii? Ich mundur budzi zaufanie, nie osobista zasługa. Czyż więc mimo więzi zaufania zupełnie niezwykłej, literatura w tych warunkach rozwija się lepiej i bogaciej? Jeżeli głos dzieła jest tylko głosem Prawdy i Dobra, a nie głosem własnym konkretnego tekstu... A może literatura jest zabawką na czasy pokoju i obfitości, milknie zaś, jak powiadano, na czas wojny?

Czyż bowiem jednoznaczność Prawdy i Dobra nie zabija delikatnej tkanki poetyckiego słowa budującego w półcieniu, w niepewności ludzkiego konkretna, a umierającego w zbyt ostrym świetle Wiecznych Idei? Może wyzwoleńczy się z działań pozornych, z udawania twórczości /która była tylko małą gestykulacją błazna u stóp władzy/ stajemy twarzą w twarz z absolutem Esencji, .. których płomienie palą wątlą kartkę papieru? Literatura jest bowiem grą na bardzo poważne tematy, na tematy ostateczne, ale tylko grą. Cwiozeniem i wprawką, która kiedyś udatwi nam wykonanie jak najlepiej symfonii Prawdy i Dobra, Miłości i Śmierci? Ta różnica poziomów dzisiaj ulega zatarcu. Imperatyw jednoznaczności pozabawia literaturę jej fundamentów, którymi są kruchość, miogotliwość, pokora i wątplenie, nieostateczność, niespełnienie, nieidentyczność z sobą... Literatura bowiem wyrasta po stronie człowieka i jego /jeszcze?/ nie rozwiązanych sprzeczności, a nie po stronie metafizyki i jej pewników, raz na zawsze ustalonych, i strzeżonych przez Michała Archanioła mieczem, którym pokona Księcia Ciemności.

Alte może wchodzimy właśnie w czasy, gdy starcie Sił Ostatecznych jest już jawne i dyskurs literatury pozerają płomienie Apokalipsy? Stan wojny to stan, gdy dokonuje się konfrontacja Esencji, czyste Dobre i czyste Zło stają na przeciw siebie. I to jest właśnie Wojna. Podczas gdy Pokój należy do sfery Egzystencji, jest domeną zjawisk, bytów poszczególnych, skażonych niedoskonalością konkretna, przemianami i niewypełnieniem dotykalności, wpętanych w niepewność i konfuzję tego co jest, wtopionych w migotliwą wieloznaczność ni Bieli, ni Czerni. Literatura może zakwitnąć tylko w Egzystencji, a zatem tylko w czasie Pokoju, gdy pielgrzymujemy w codziennym mozole niepewni do końca naszych racji i błędów, gdy szukamy i drżymy wątplięc, potykając się i myląc krok. Wojna jest czasem Epifanii, gdy objawiają się Bóg i Szatan, Pokój zaś jest czasem oczekiwania i człowieczeństwa, a więc czasem jakążącego się i kluczającego dyskursu literatury. Wprawdzie człowiek musi być otwarty na Sprawy Ostateczne, na Boskość i Upadek, bez tego wymiaru nie potrafi oddychać jak bez tlenu, ale przecież nie można oddychać samym tlenem...

Kontrola wiedzy odbierała literaturze sferę człowieczeństwa /dążenie i wahanie się, wątplenie i błędzenie/ nie ustanawiając metafizycznej jasności, którą ustanawia Wojna wprowadzając Esencje. Nie był to czas Pokoju, ale czas zniewolenia w letargu. Wielką przewrotnością byłoby przedstawienie tego zniewolenia w letargu jako czasu Pokoju, brak Wojny bowiem nie jest jeszcze Pokojem.

Czy Wojna, którą nam wypowiedziano, gdy w całej okazałości nie fenomenem, ale Esencji objawiło się Zło, zakończy się Pokojem? Czy w Epifanii, gdy dano nam widzieć w jednym błysku to, co widzą Aniołowie i Święci, powrócimy do zwykłych ludzkich wymiarów i piórno nis będzie już mieczem w naszym ręku?

"W RÓG LUDU":

GRANICE TEATRU POLITYCZNEGO NA DZIS?

I

W kategorii "teatr polityczny" pragnę na użytek tego szkicu zawrzeć teatr, który zabiera głos na temat polityki, form rządzenia, stosunków władza-społeczeństwo, mechanizmów sprawowania władzy, jej etyki etc. Uważam takie trące tautologią uściślenie definicji za konieczne, albowiem pojęcie teatru politycznego powiększyło dziś w zastraszający sposób swą pojemność. Teatrem politycznym jest pełen najgłupszych aluzji kabaret, teatrem politycznym jest solenna piża patryctyczna, religijna czy "narodowo-wyzwoleńcza". Teatrem politycznym jest pierwszy lepszy spektakl, w którym na scenę wchodzi pod byle pretekstem statysty w przykubicach s tarczami i robią wszystko, by skojarzyć się widzom ze znanymi im z ulicy formacjami. Piętno teatru politycznego może całkiem niewinnemu spektaklowi nadać publiczność, której się skojarzy, albo recenzent bądź uprawiający trudną publicystykę zwaną donosem, bądź pragnący koniecznie dać poznać, że aluzju ponisz. Mieliśmy ostatnio sporo interesujących artystycznie spektakli całkowicie upompionych "politycznością" przez zwichrowane reakcje odbiorców, projekcje ich własnych oczekiwań i problemów.

Tymczasem - znów trzeba przypomnieć rzecz oczywistą - teatr serio polityczny to nie jest zonglowanie atrybutami polityki i aluzyjnymi żarcikami. To świadome skupianie się nad mechanizmami rządzenia społeczeństwami, czy - szerzej - mechanizmami funkcjonującymi w społeczeństwie; to podporządkowanie tej refleksji całej inscenizacji. W r ó g l u d u w Teatrze Nowym w Poznaniu może tu być niemal instruktażowym pokazem takiego podporządkowania. Praca Izabelli Cywińskiej nad pięćdziesięciu, bogatym w realia dramatem Henryka Ibsena polegała przede wszystkim na eliminacji wątków i elementów zaciemniających główny konflikt. Odrzucone zostały wszystkie szczegóły obyczajowe np. rytuał mieszkańskiej kolacji wraz z aforyzmi o pożytku z regularności posiłków. Odrzucono wszelkie "naddatki" charakterologiczne bądź nie wiążące się z głównym konfliktem, bądź wprowadzające nową motywację działań /np. wgardzona miłość jako powód do zmiany postawy politycznej/. Bardzo wydawnie została ograniczona rola wszystkich postaci drugoplanowych; są one na scenie o tyle, o ile są potrzebne w akcji, same w sobie nie znaczą. Otrzymałimy przedstawienie w najlepszym tego słowa znaczeniu telewizyjne: skupione, z oszczędną, możliwie najbardziej naturalną scenografią, ze szkicowanymi wyrażeniami albo skrótowo i jednoznacznie sylwetkami, z wyeksponowanym tematem głównym. Ów temat - konflikt wyposażonego w tzw. obiektywną skusność samotnego idealisty z władzą małego miasta ale i z miastem samym - uzyskała dzięki takiej destylacji cechy przypowieści uogólniającej, modelowej /by nie rzec plakatowej/. W znakomitym dramaturgicznie, efektownym skondensowaniu zostało ukazane funkcjonowanie odwiecznych skądinąd mechanizmów politycznych umożliwiających władzy wygrywanie podobnych konfliktów; nie trzeba dodawać, iż dla widzów z jesieni 1982 były to mechanizmy dojmująco znajome.

Premiera odbyła się 8 października 1982 i do końca roku kilkadziesiąt przedstawień szło kompletnie, na widowni dostawiane krzesła, nie było żadnego wolnego miejsca, zawiadzeni widzowie odchodzili od kasy. Spektakl stał się sensacją Poznania i nie ulega wątpliwości, że przyczyną zainteresowania była zamierzona i konsekwentna "polityczność" tego spektaklu. Dlatego też z recenzenckiego grzechu polegającego na sprowadzeniu wielopłaszczyznowego z natury przedstawienia teatralnego do wymiarów wypowiedzi politycznej, ignorowania jego wartości artystycznej - z grzechu tego czują się uwolniony.

W tej inscenizacji naprawdę o nic innego nie chodziło.

II

"Rzecz dzieje się w mieście nadmorskim w południowej Norwegii". Miasto to rozwija się w coraz bogatszy kurort dzięki sławie, jaką cieszy się leczniczy zakład hydropatyczny. I oto lekarz owego zakładu, współtwórca jego renomy, doktor Tomasz Stockmann odkrywa iż rozszławiane wartości lecznicze usdrowiska są iluzją, że zakład i samo miasto jest systematycznie trute wodą płynącą przez miejską sieć wodociągów. Służący tylko prawdziwie naukowiec pisze raport domagający się przebudowy sieci wodnej miasta, oraz - co oczywiste - zamknięcia do czasu ukończenia remontu samego zakładu. Raport ów trafia na stół burmistrza.

Wedle woli dramaturga ojcem miasta jest rodzony brat doktora weredyka. Burmistrz, jak na przedstawiciela władzy przystało, nie dyskutuje o meritum sprawy, kluczając i meandrując formułuje swe żądania: doktor winien wycofać raport. Oburzony lekarz odmawia.

Artykuł o swych odkryciach przynosi do redakcji "Gońca Ludowego", pisma pełniącego rolę koncesjonowanej opozycji. Redaktor gazety do polityk usiłujący budować swoją pozycję na umiejętnie wmawianej czytelnikom niezależności i krytyczności pisma z jednej strony, na zakulisowym ostrożnym flircie z władzą z drugiej. Drukarz, osoba w redakcji wpływowa to spokojnik, człowiek o "czystej karcie" politycznej, nie powiązany w żaden sposób z rządzącymi, głoszący zasadę "umiarkowanej rozważy". Obydwaj panowie przyjmują artykuł doktora widząc w nim dobro miasta i niewątpliwie korzyści dla siebie. Wizyta burmistrza w redakcji powoduje natychmiastową zmianę frontu niezależnych wydawców.

Tomasz Stockmann, któremu zapobiegliwość władz odejęła wszystkie publiczne kanały dla przekazania miastu informacji o swym odkryciu, czepia się sposobu ostatecznego: organizuje odczyt w prywatnym mieszkaniu przyjaciela. Przybywają mieszkańcy miasta. Gdy jednak doktor chce zabrać głos, odzywają się nagle ckrzyki domagające się wybrania przewodniczącego zebrania. "Wola ludu domaga się przewodniczącego" mówi umiarkowany drukarz i zgłasza kandydaturę burmistrza. Burmistrz odmawia, proponując w zamian drukarza. Nowy przewodniczący wygłasza przemówienie na temat umiaru, poczym, gdy lekarz już otwierał usta, udziela głosu burmistrzowi, ten zaś referuje oficjalne stanowisko kierownictwa zakładu, dementując niewygodny odczyt. Gdy doktor wreszcie dorywa się do głosu, krzyżoży już tylko inwektywy. Zgromadzenie jednomyślnie w tajnym głosowaniu uznaje doktora Stockmanna za wroga ludu. Lekarz zostaje znieważony, wyrzucono z posady i mieszkania, szykany spotykają jego rodzinę i przyjaciela, kamienie tłuką szyby.

Aliści - nietłotne z jakiego fabularnego powodu - pojawiają się przesłanki, które graczom politycznym sugerują, że Stockmann rozegrał tu swoją polityczną partię i uzyskał zaskakujące atuty w domniemanej walce o władzę. Redaktor i drukarz przybywają ofiarowując swoje wpływy i możliwości do wspólnej rozgrywki oczywiście przy gwarancjach wspólnego zysku. Rozjuszony doktor wyrzuca ich za drzwi. Wyrzuca też burmistrza. Zrujnowany ale nie załamany staje na środku sceny i mówi ostatni monolog o konieczności dalszej walki o prawdę, o duchową wolność. Kiedy po ostatnich słowach aktora światło już przygasło, a jeszcze nie odezwały się pierwsze oklaski, świzetki głos dziewczęcy stwierdził z widelami z mocą: zwyciężymy!

Reakcja może zabawna, ale symptomatyczna i w gruncie rzeczy trafna. Izabella Cywińska swoje przedstawienie zaadresowała do emocji widza, nie do jego intelektu. Pokazując mu mechanizm niszczenia człowieka, urabiania opinii publicznej, wykorzystywania nastrojów mas etc., wtłoczyła jednocześnie anta-

gonistów w bajkowo-agitkowy schemat Czarno-biały. Dr Stockmann uosabiał prawość, dobro, rację, także bezsilność wobec przemocy; władza upostaciowana w burmistrzu i pseudo-liberałach siłą, podstępem i niecnotą gnębiła bezinteresownego idealistę, zaś społeczność miasta dała się wprząść w diaboliczne knowienia władzy, sama nie ponosząc na dobrą sprawę żadnej odpowiedzialności, a w każdym razie nie popierając notabli zbyt czynnie. Tak przedstawiony konflikt nie stawiał widzowi żadnych zadań interpretacyjnych, natomiast - dzięki świetnie stopniowanemu dramatycznemu napięciu - jednoznacznie uczucia, które wyrwały z między piersi dzierski okrzyk.

Cele postawione sobie przez realizatorów *W r o g a l u d u* zostały zrealizowane znakomicie i uwieńczone sukcesem. *Aliści* była to teatru politycznego odmiana pospolitsza, częściej spotykana: emocjonalna, zbliżona nieco w nastroju do wiecu, zbliżona z odczuciami odbiorcy, w gruncie rzeczy bezkonfliktowa. Odmiana rzadsza, ohyba cenniejsza: taka, która swoje tematy stawia w sposób drastyczny, prowokujący, która roztrząsa konflikty postaw niejednoznacznych, bez łatwych wyjść - tę odmianę spotkać niezwykle trudno; nie wiadomo właściwie czy w obecnych warunkach może ona w ogóle istnieć. I może właśnie dlatego warto podumać o, by tak rzec, wirtualnym teatrze politycznym w owej rzadszej odmianie; tym bardziej, że *W r ó g l u d u* Henryka Ibsena zdaje się dla takiego dumania doskonałą egzemplifikacją.

III

W roku 1979 w Teatrze Powszechnym w Warszawie *W r c g a l u d u* wystawił Kazimierz Kutza. Bardzo symptomatyczne wydają się różnice pomiędzy tą i tamtą inscenizacją: choćby reżyserские ujęcie kluczowej sceny niedoszłego odczytu. U Izabelli Cwińskiej po kątach sali odczytowej zostali rozszarżeni mieszkańcy miasta. Bierni, ociężali nieruchomi, może zrzęgowani a może przelęknięci. Osoby działające to politycy: burmistrz, dziennikarz, drukarz. Aktywność mieszkańców miasta ogranicza się do głosowania /tu jawnego, w dramacie tajnego/; opanoszone i jednomyślnie podnoszą dłonie. Po wszystkim rozchodzą się z ociąganiem, ze spuszczoneymi głowami, jakby ze wstydem. W spektaklu Kazimierza Kutza tłum był agresywny: krzyczał, gwizdał, żądał sensacji i awantury. Burmistrz w ogóle nie był w tej rozgrywce potrzebny; zebranie rozgrywało się w głębi sceny, a blisko proscenium, z boku stał ojciec miasta rozluźniony, spokojny z lekkim uśmiechem na twarzy. Wszystko szło zgodnie z planem.

Przedstawienie Kutza było gorzkie i nieprzyjemne. Powstało w dość czarnych czasach, kiedy niezgrożenie rozrastała się absurdalna fasada ustrojowa, a społeczeństwo zdawało się być zajęte moszczeniem sobie za fasadą ciepłych miejsc. Wściekłe przemówienie Stockmanna aktor grzmiał nie tylko do cścigodnych współobywateli, także do widowni: "Najstraszliwszym wrogiem prawdy i wolności wśród nas jest zwała większość! Tak jest, przekięta, zwała, liberalna większość. To ona. Teraz wściecie!"

Na jesieni 1982 roku w Poznaniu adresowanie tych słów do widowni nie wchodziło w ogóle w rachubę. I przyczyn znowu trzeba szukać poza teatrem. Między jedną a drugą inscenizacją *W r o g a l u d u* rozegrała się bowiem sierpniowa rewolucja, której niewątpliwym twórcą była właśnie owa nadspodziewanie zwała i nadspodziewanie liczebna większość. Wszelkie koła opinio-twórcze były tym zaszokowane i przed masami społecznymi pochyliły się w głębokim, hołdowniczym ukłonie. Rodzący się wtedy Związek nazwą, niestanym przywoływaniem milionowego stanu posiadania, ostentacyjnym akcentowaniem demokratyczności i autonomizacji wszystkich ogniw - najusilniej podkreślał swą masową proveniencję. Tworzące się struktury milionowego ruchu imponowały zasięgiem, ogromem, rozmachem, zdawały się niezniszczalne. Hołd dla większości, który wywalczyła i zbudowała "Solidarność" był dogmatem tak funda-

mentalnym, że do dziś właściwie nie jest stawiane kłopotliwe pytanie: dlaczego tak się stało, że pierwszą rzeczą, która przysłała w chwili zewnętrznego uderzenia, był mit masowości, wielomilionowości, zawartości i większości?

I tu Ibsenowska charakterystyka - okrutna, pisana z nieukrywaną wrogością - wydaje się przydatna. Owa zwarta większość z przemówienia Stockmanna charakteryzowana jest jako grupa ludzi, która 1/ jest w gruncie rzeczy indyferentna, gdy chodzi o abstrakcyjne cele polityczne, ustrojowe, rewolucyjne; 2/ jest szalenie konserwatywna w przyjmowaniu haseł i programów; czuła to nie tylko kultywowanie tradycji, ale także odrzucenie nowych rozwiązań, jako nie mieszczących się w dotychczasowej praktyce; ale także lojalizm wobec dotychczasowej władzy jako czegoś znanego, przyswojonego; 3/ kieruje się instynktem stadnym, odznacza się bezkrytycznością i podatnością na sugestie; 4/ jej zapach jest krótkotrwały, szuka sensacji, szybko się nudzi; 5/ pilnie zważa na własny, doraźny interes /Stockmann nastąpił "zwartej większości" nieźle na odcisk, skoro za jego odkrycia musieliby płacić z własnej kieszeni; dlatego władze nie mają żadnych trudności ze skierowaniem gniewu podatników przeciw doktorowi/. "Jacy to ludzie - krzyżo reformator - stanowią większość mieszkańców naszego kraju: mądrzy czy głupi? Zgodzimy się chyba, że głupcy stanowią przytaczającą większość na całym świecie. Jakże więc do diabła może być szusne, by głupcy rządzą mądrymi?"

No, to jest przecież pamflet, paszkwil, oszczerstwo - powie ktoś. Nie ma bezpośrednich analogii - dorzuci ktoś inny. Zgoda - to jest pamflet, jednostronne wyolbrzymienie wad, przeczerzenie obrazu. Zgoda - analogie bezpośrednie są demagogią, ale proszę mi powiedzieć, czy święte masy solidarnościowe nie miały w swoim repertuarze obok innych zalet, wymienionych tu pięciu wad? Czy te wady - oczywiście we właściwej proporcji - nie determinowały w jakiejś mierze poczynania Związku? Dlaczego mamy o nich nie mówić kontantując się schematem, w którym władza jest lacyperem wcielonym, prawdą-Bożem, a masy są zniewolone, czyli jakoś tam rozgrzeszone? Dlaczego teatr polityczny - szerzej - dlaczego wszelka publicystyka polityczna ma się sprowadzać do zbiorowego podniecania się okrzykami, pozostawiając na boku sprawy drastyczne, bolesne, nienawistne nawet ale ważne?

A dlatego - słyszę - że jest zapotrzebowanie na pokrzepianie serc i gdy teatr zdecydował się narazić władzom politycznym na sceni, to nie po to, by rozdrapywać rany; teraz jest czas Sienkiewicza, Żeromskiego prosimy później. Coż, trudno, wypada wrócić do wirtualnego teatru politycznego, niezależnego i samorządnego. Powiedzieliśmy, że w trójkącie rewolucjonista-władza-społeczeństwo, ów trzeci człon nie jest wcale tak jednoznaczny. A w dramacie tkwią jeszcze dalsze niespodzianki.

IV

Czytajmy dalej przemówienie Stockmanna na niedoszłym odczytaniu: fragmenty, których nie było i być nie mogło w emocjonalnej, wyidealizowanej interpretacji poznańskiej.

"No właśnie przewszajęca większość obdziera mnie z wolności i usiłuje mi zabronić mówienia prawdy. /.../ Możecie mnie zakrzyknąć, ale nie możecie zabić tego co mówię. Większość ma niestety siłę... ale słuszności nie ma. Słuszność mam ja i inne jednostki. Mniejszość ma słuszność /.../ Mam zamiar rozpętać rewolucję przeciw kłamstwu, które głosi, że prawda jest tam gdzie większość".

No tak, tego być nie mogło. Najuczciwszy doktor Stockmann przemawia frazeologią przywłaszczoną sobie przez partię rządzącą dziś w PRL. "Rewolucyjna mniejszość" etc. Jak by to inscenizować, ten frazes będzie wzbudzał uczucia jednoznacznie negatywne i żadna refleksja się przez nie nie przebieje. Idźmy dalej.

"Jakie to prawdy porywają zwykle większość? Prawdy tak zbutwiałe, że grzą rozpadnięciem. A kiedy jakaś prawda do tego stopnia zbutwieje, panowie, jest już na najlepszej drodze, by stać się kłamstwem. /.../ Prawdy wyznawane w naszych czasach przez masy i tłum to są prawdy wyznawane przez walczącą awangardę ludzkości za czasów naszych dziadków. My walczącą awangarda dzisiejszych czasów nie uznajemy ich dłużej".

Tego też być nie mogło. Obrazić by się mogła władza karmiąca nas prawdami sprzed 35 lat, obrazić by się mogli całkiem liczni endekoidzi ze swymi prawdami sprzed półwiecza, obrazić by się mogli antysemita plotący bzdury sprzed 100 lat. W innym miejscu wypowiedzi:

"Chcę wbić tym kundlom do zakutych łbów, że liberałowie są najgorszymi wrogami wolnych ludzi, że programy partyjne ukręcają szyję wszystkim nowym, żywotnym prawdom, że względy użyteczności wywracają do góry nogami sprawiedliwość i moralność, tak że życie staje się udręką. /.../ Niech pan posłucha: należy wytepić kacyków partyjnych. Bo, widzi pan, kacypek partyjny jest jak wilk, jak żarłoczny wilk... Musi zezreć rocznie tyle a tyle mniejszego zwierza, jeśli chce przetrwać".

Fragment smakowity i z oczywistych względów całkowicie "niepuszczalny". Ale ileż już pogardy w słowach doktora, jakież arystokratyzm ducha, przekonanie o własnej wielkości, zapieczęcie się w coraz bardziej agresywnym egotyzmie. Finał przemówienia: "Tak bardzo kocham moje rodzinne miasto, że wolałbym je zniszczyć, niż przyglądać się, jak kwitnie w kłamstwie" - to już krok do schizofrenii. Nieskazitelnemu weredykowi z inscenizacji Cywińskiej tak naprawdę brakuje siły, żeby stać się Hitlerkiem czy Stalinkiem. Cóż za przewrotność dramaturga, który wyposażając bohatera w niewątpliwą rację, a więc zapewniając mu sympatię widowni przeprowadza go przez piekło totalnej krytyki współczesnej mu rzeczywistości aż na skraj obłądę.

Marzy mi się taki teatr polityczny, w którym znajduje się wielopłaszczyznowa gorzka i dramatyczna dyskusja o demokracji, bynajmniej nie negująca jej sensu. On spektakl będzie miał cel dydaktyczny: uświadomi widzowi, że pojęcia tego nie wolno fetyszyzować, że ma ono oprócz mnożstwa zalet także i wady i że trzeba się nauczyć te wady obchodzić. Spektakl ten będzie wolny od uproszczeń jako że będzie on skierowany do ludzi myślących i krytycznych /także autokratycznych/.

Aby zrealizować to teatralne marzenie potrzebne są: dobry dramat, świadomy teatr i demokratyczne, rządne i mądre państwo. Jak dotąd mamy tylko dramat. Napisał go Henryk Ibsen dokładnie 100 lat temu - w 1882 roku. Na pozostałe części składowe wciąż czekamy.

Styczeń 1983

.....

ZAPADA NOC

Biletom wstępu jest tu zaufanie. Na spektakl teatru podziemnego nie można wejść, można tylko być wprowadzonym przez kogoś, kto poręczy za nas i uzyska od gospodarzy zgodę na wprowadzenie jeszcze jednego widza. W umówiony dzień tygodnia, późnym wieczorem, gdy zwykle teatry dawno już skończyły pracę, umawiamy się z naszym poręczycielem na petli jakiejś linii autobusowej, o której w ogóle nie mieliśmy pojęcia, że gdzieś jeździ po zakamarkach Warszawy. I jedziemy długo i zmudnie, by na koniec wylądować przed nie wyróżniającymi się niczym specjalnym drzwiami w jakimś mrówkowcu, kamienicy czy willi.

Za drzwiami po prostu karnawałowe przyjęcie. Papierowe serpentyny porozpinane między żyrendolami, w mniejszym pokoju kanapki, kawa-herbata, kieliżki. Goście, wśród których łatwo dostrzec aktorów, rozrzucaeni w grupkach po całym mieszkaniu, rozgadani, towarzyscy. Choć nikt nie tańczy, w sąsiednim pokoju dyskotekowe rytmy kupie magnetofon. Sąsiedzi mają wiedzieć, że odbywa się tu po prostu prywatka.

Kamuflaż? Tak, ale przecież nie tylko. Przecież także tradycja najgłębiej pojętej narodowej kultury rozkwitającej właśnie w mieszkaniach ludzi swiatłych, w wąskich gronach przyjaciół i towarzyszy. I niekoniecznie wzorzec konspiracyjnego zebrania z okresu zaborów trzeba tu przywoływać. Wystarczy sięgnąć do czasów przed-telewizyjnych i przed-radiowych, do tradycji wieczorków poetyckich, domowego kameralizowania, do rytuału rodzinnego czytania głośno literatury, do tworzenia prywatnych galerii. Ktoś powie, że to anachronizm... Losy kultury bywają piękne; ultranowoczesny system masowego komunikowania z chwili na chwilę brzydnie współczesnemu odbiorcy.

Od dawnych wieczorków poetyckich dzisiejsze spotkanie różni się tylko tym, że występują przed nami zawodowcy, dawniej zaś byli to amatorzy. Jest to jednakże rozróżnienie tylko formalne; aktorzy przyjechali po swoich spektaklach, są zmęczeni, ale uśmiechnięci, bezpośremani, nie muszą zakładać kostiumów, charakteryzować twarzy, kręcić się wśród widzów, polując na rekwizyty. Jeden z nich prosi o pudełko zapałek potrzebnych w akcji, inny o ćwiartkę chleba zawiniętą w białą chustkę /tym chlebem aktorzy przełamują się z widzami w trakcie spektaklu i będzie to może już naszyt dosłowny, nazbyt ogryny wspólnotowy chwyt, lecz, do diabła, stosują go permanentnie teatry zawodowe grające dla przypadkowych widzów, którzy kupili bilety - ilekroć bardziej uprawniony do takich gestów jest ten teatr/. Wreszcie w pewnej chwili aktorzy wychodzą do przedpokoju, zaś gospodarze sprawnie formują ćwierćkolistą widownię otaczającą jeden kąt pokoju, są krzesła, ławy, poduszki i dywan - różne klasy miejsc siedzących. Delikatny dźwięk gongu, czwórka aktorów ustawia się na niewielkiej przestrzeni wyciętej ścianą, zasłoniętym kotarą oknem i koliskiem widzów.

Jest to scenografia niezwykle. Za plecami aktorów zwykły, obskórny kaloryfer, wczepiona w gołą ścianę doniczka z kwiatem, obok stary, szacowny kredens, którego pewnie nie dają się przesunąć, czy też nie było takiej potrzeby, a który nadaje tej martwej dość scenarii indywidualność. Właśnie, ta - śmiało mówić - scenografia jest uniwersalna i niepowtarzalna zarazem. Uniwersalna, bo w końcu wszyscy znamy podobne mieszkania, bo każdy widzi tu jakiś kąt podobny do swojego; konkretna - bo tu przecież mieszkają konkretni ludzie, nasi gospodarze. Choćby zaangażowano najlepszego scenografa, który werystycznie odtworzyłby podobieństwo, choćby twórcy się zarzekali, że grają prywatnie i mówią od siebie - w "prawdziwym" teatrze nigdy nie pozbedziemy się uczucia, że tu się przed nami udaje pewną rzeczywistość, że jest to imitacja zawsze skażona grą, udaniem, nieprawdą. Takie są po prostu ramy sztuki

teatru; zdarzenie w którym uczestniczę i które opisuję unicestwia te ramy, wybiega poza teatr, może przez to jest tak fascynujące.

Oczywiście elementem sztuki teatru są występy aktorów. Ale oni po prostu wykorzystując swoje umiejętności, swój kunszt mówią i śpiewają cudze teksty, w które prywatnie gorąco wierzą. Nawet, gdy tekst każe im wcielić się w nie-nawistne postacie - przesłuchujących oficerów, spikerów telewizji - demonstrują jednocześnie i postać, i swoje w stosunku do niej obrzydzenie. Na program godzinowego spektaklu składają się fragmenty literatury stanu wojennego; poezji, relacji, listów. Tematem tych utworów różnych w nastroju: gorzkich, ironicznych, oskarżycielskich, zrezygnowanych, wściekłych, przegranych - jest przemoc; opowiadają o zbrodniach, internowaniach, przesłuchaniach, poniżaniu, biciu, szykanach, kłamstwach, cłupianiu, drwinach. Oszczędnie, właściwie konturowo inscenizowane są te relacje - krótkie scenki: przesłuchanie, nocne rozmowy w celi, wędrówka osobowym pociągami na widzenie, czy z widzenia.

W tym spektaklu jest ironia, sarkazm, poczucie humoru. To rzadkość w podziemnej twórczości. Jest oczywiście i patos, ale stonowany, sciszony, chciałoby się rzec uczciwy; jeżeli w niektórych wierszach pobrzmią chwilami Broniewski, to jest to ten Broniewski najlepszy, mocny i gorzki. Nie ma w tym spektaklu żadnej tromtadracji, żadnych haseł i agitacji; recytacje odbiera się intymnie, do wewnątrz, nie wzbudzają "rewolucyjnego" podniecenia. Wśród wierszy łatwo rozpoznać gorzkie gry lingwistyczne Stanisława Barańczeka - od jego przedsierniowego jeszcze wiersza "Zapada noc" rozpoczyna się przedstawienie. Aktorzy spętani minimalną powierzchnią i niemożnością podnoszenia głosu tworzą przy użyciu najniezbędniejszych rekwizytów, przy akompaniamencie gitary spektakl niesłychanie skupiony, oszczędny, przez to czysty i mocny, zróżnicowany w nastrojach, wartki, spójny, rzekłoby się: kunsztowny. Nie wolno mi z czystych względów pisać o nich imiennie. Proszę zważyć, oni chcą za ten teatr nie tylko narażaniem się na szykany, nie tylko wianym czasem, ale i monetą dla aktora bezcenną: zgodą na anonimowość.

Nawet nis sposób im podziękować, gdy spektakl dobiegnie końca. Pojedyncze aplauzy uczinane są hasłem "konspiratorzy nie klaszczą". Podziękować im można tylko w bezpośredniej rozmowie. Towarzyskie zebranie znów odzyskuje swe kamuflażowe znaczenie; nocne rodaków rozmowy toczą się długo, długo...

Jaka jest przyszłość czy perspektywa takiego uprawiania sztuki teatru? Nie potrafię odpowiedzieć. Nie sposób bawić się w proroka, kto dziś umie odpowiedzieć, co z teatrem stanie się w przyszłości! Wszyscy patrzmy tylko w przerażeniu, jak nad teatrem, obszarem pokazowej zemsty poobrażanych samowładców zapada noc.

Jedno wszakże wydaje się niewątpliwe. Te intymne, emocjonalne, naprawdę piękne wieczory teatru prywatnego, ta nieklamana wspólnota wykonawców i odbiorców, musi być dla każdego aktora głębokim przeżyciem twórczym. W sposób nieomal niezamalny weryfikuje sens uprawiania sztuki aktorskiej. W czasach, gdy z chwili na chwilę gwałtownie pogłębia się deficyt sensu uprawiania czegokolwiek, takie utwierdzenie się, taka pewność zdają się skarbem bezcennym.

Styczeń 1983

.....

KINO NIEDOZWOLONE

Wbrew powtarzanym nieraz, gazetowym opiniom, kino polskie w sezonie 1980/81 dogoniło wydarzenia społeczne i w jakiś sposób towarzyszyło temu, co ludzie wówczas myśleli i czuli. Chodzi nie tylko o dokumentalne zapisy w rodzaju *Robotników 80* Chodakowskiego i Zajęczkowskiego, *Chłopów 81* Piekutowskiego, czy zrealizowany na zamówienie "Solidarności" film *Wajdy Człowiek z żelaza*. Także "normalne", fikcyjne filmy fabularne zwróciły się ku sprawom, o których się mówiło, ku omijany dotąd rejonom historii.

Pojawiły się filmy o wychowaniu totalitarnym /*Dreszcze* Marczewskiego, *Wahadłko* Bajona/, o tragedii rewolucji /*Gorączka* Holland/, o wyborach moralnych, stojących przed pokoleniem 68 /*Indeks* Kijowskiego, *Dziecinne pytania* Zaorskiego oraz *Przypadek* Kieślowskiego, film ukończony w styczniu 1982/, o demoralizujących skutkach kryzysu /*Kobieta samotna* Holland/, o metodach łamania ludzi na UB /*Przesłuchanie* Bugajskiego, ukończone w grudniu 1982/. Co więcej, kino to umiało nie tylko schlebiać publiczności, ale także zdobyć się na przestrozę; wskazywało zło nie tylko w systemie, ale także w prymitywnej żądzy odwetu - w tym sensie pesymistyczna *Gorączka* Holland, *Kobieta samotna* i *Wojna światów* Szulkina wyprzedzały swój czas. Obecnie żaden z wymienionych filmów nie jest dostępny szerszej publiczności. Na niepisany "indeks" znalazły się także niektóre filmy ukończone ostatnio, a powstałe na Zaorskiego oraz *Przypadek* nurt, porównywalny ze "szkołą polską"? Chyba nie - a to dlatego, że nie starczyło czasu, aby zdobyły sobie publiczność i poruszyły krytykę. Być może dziś jesteśmy od tych filmów mądrzejsi o czas, który minął. Zamieszczony tu artykuł o kinie polskim został napisany jesienią 1981 roku; po festiwalu gdańskim. Wydawało się wtedy jeszcze, że nurt, który się zarysował, będzie miał swoją kontynuację, toteż wyrażone tam opinie krytyczne brzmią dziś nieco inaczej.

GDANSK 81

Co roku uczestnicy festiwalu pielgrzymują pod stocznnię, tyle że w inne miejsce. W roku 1979 szło się pod starą bramą, tę koło torów kolejowych, gdzie jeździ tramwaj 9. To tam, w ostatniej scenie *Człowiek z marmuru* Agnieszka-Janda siedziała na biało-czerwonej barierce. Oba końce jej długiego szala dotykały chodnika. Z opuszczonymi rękami, zrezygnowana, przypominała Polonię z modernistycznych obrazów. Dźwigi stoczniowe z wielkimi dzibami nachylały się, jakby gnębiły ofiarę. Brama, wiadukt, tory kolejowe, ulica z kociami i bami, wszystkie te miejsca i rzeczy za sprawą tego filmu połączyły się w symboliczną całość, która pozostała. W 1981 roku, pięć lat po premierze *Człowiek z żelaza* z *marmuru*, symbolika rezygnacji jest wciąż zawarta w sinoczerwonej barwie tej ulicy.

Kamienie zamków "splamione krwią bratobójczą" musiały wywierać podobny urok na poetach ruin. Wajda umie wykorzystać romantyczny nastrój przegranej. W *Człowiek z marmuru* budzi współczucie widok obalonego posągu, śmierć bohatera, upadek wiary. Z emblematów klęski powstaje wspomnienie o upadłym idole komunizmu, wspomnienie w swej istocie sentymentalne. *Człowiek z żelaza* również obliczony jest na sentymentalny efekt, rozgrywa się jednak wokół innej bramy. Tamta była bramą klęski, ta jest bramą zwycięstwa.

Na plakatach zjazdowych "Solidarności" powracają znaki robotniczej siły: obnażone zylaste przedramiona, dłonie w uścisku. Obraz robotnika, podyktowa-

ny przechodniowi przez ulotkę przekształca się znowu z prześladowanego i godnego litości w silnego, dyktującego prawa. Nastąpiło znamienne przechwycenie emblematów oficjalnych, pod które podłożono inną, społeczną treść. Wcześniej użył tej metody Wajda, gdy posłużył się plakatem motywem barczystego robotarza, stoczniowych dźwigów i fabrycznych kominów. Sens tych znaków został w C z ł o w i e k u z m a r m u r u odwrócony: dźwięm przydano grozę, robotnik stał się bohaterem cierpiącym. Dziś oba bieguny uczuciowe wyznaczają nastroj Gdańska: żal pod jedną bramą stoczni, poczucie siły przed drugą.

Ale jak wyjść z pola magnetycznego, wytwarzanego przez zbiorowy sentyment, gdzie obowiązują tylko dwa znaki, plus i minus? Jak uciec od emblematu? Oderwać się od przeciwnika? Oczywiście nie mam na myśli polityki, ale sztukę. Dla kina są to pytania zasadnicze, jeśli ma być czymś więcej niż sztuką obrzędową, celebrującą społeczne zwycięstwa i klęski.

Z drukowanych relacji o grudniu 1970 utkwiło mi w pamięci opowiadanie o kobiecie w szarym płaszczu, która wsiadła w Gdyni do autobusu właśnie tego dnia, kiedy to po przerwaniu strajku ludzie poszli do pracy na radiowe wezwanie Kociółka. Widział ją kierowca autobusu. Z całego tżumu upamiętnił ją nie się ta jedna postać. W czasie jazdy stała przy szoferce. A potem, kiedy zaczęli strzelać, pierwsze, na cc kierowca zwrócił uwagę, to znajomy płaszcz: kobieta leżała na jezdni. Tyle. W filmie o roku 1970 ta kobieta mogła być ośrodkiem dramatu. Anonimowy opowiadał, anonimowa bohaterka. Treść nie klasowa - ludzka. Myślę, że gdyby był na to czas, taki film mógłby nakręcić Wajda. Ktoś nazwał go artystą ludowym. Jest nim chyba rzeczywiście, bardziej niż romantycznym tragickiem. Ludowy - oznacza jednak także: będący na usługach ludu, narodu, publiczności. Wajda odszedł daleko od roli mentora, jaką spełniał jeszcze w latach sześćdziesiątych /pacyfistyczne P o p i o ł y/. Pozyskuje widzów obrazem dawnych cnót, sielskich dworów /P a n n y z W i l k a/, heroicznymi gestami C z ł o w i e k a z ż e l a z a. Od rozdrapywania ran przechodzi do pokrzepiania serc. Oby tylko nie stał się podobny do mistrza ceremonii z P o p i o ł u i d i a m e n t u. Pen we fraku, natchnionym gestem ustawia gości w korowód "na powitanie dnia". Podrywa zaspną orkiestrę - chwila osobliwa! moment dziejowy! - i polonez rusza.

Te cierpkie uwagi nie przyszłyby mi może na myśl, gdybym zaraz po C z ł o w i e k u z ż e l a z a nie obejrzał fatalnej S z a r ż y, reklamowanej takim samym, biało-czerwonym emblematem. Mijają kolejne epoki minione, a kino wciąż głosi publiczności naiwną nadzieję na "powitanie dnia", jakby ktośkolwiek wierzył, że ten dramat skończy się wesołym oberkiem. Kto się osmiesił powiedzieć publiczności, że happy endu nie będzie? Ale zrobić to tak, żeby się podobało! Ten dramat musiały się rozgrywać na innej płaszczyźnie niż ta, którą wyznacza nastrój zbiorowego entuzjazmu lub zbiorowej żałoby. Musiałyby się obyć bez pokoleniowych komunatów. Nie stawiałyby dzieiowych pytań i nie miałyby naiwnych pretensji do rzeczywistości o to, że jest źle urządzona. Jest źła, bo obciążona grzechem. Złe poczęta, skłamała od samego początku. Polska to nie tylko blond dziewczę, nie tylko żałobna wdowa, to także stary grzech, z którym się jednak żyje. Film, o jakim myślę, musiałyby mieć świadomość tego grzechu. Nie od rzeczy Wajda uczynił bohaterem C z ł o w i e k a z ż e l a z a małego człowieka, szuję, która jednak chce dobrze, choć boi się. Właśnie z nim, a nie z herosem, utożsamia się skrycie widzownia. Chodzi o to, by kino polskie znalazło przejście od dramatu dziejowego, narodowego, do dramatu ludzkiego, który obywatel się bez happy endu. Film taki przyjmowałby perspektywę raczej osobową niż dziejową czy polityczną. Przypominałby widzowi znany pewnik, że "płynię w historycznym fakcie jak orzech w Nilu kataraktach".

Literaturze rozrachunkowej, filmom o czasach stalinowskich, grozi przyjęcie perspektywy naiwnej. Bierze się bohatera czystego, który przemienia się następnie w marionetkę systemu, człowieka à la mode swoich czasów. Chciałoby

się wyjść poza ten kanon. Zobaczyć na ekranie człowieka, którego życie jest wprawdzie poddane koniecznościom epoki, jednak nie zdeterminowane do końca. Człowiek taki, jak orzech z porównania Miłozza, płynie, bo nie ma innego wyboru, lecz jak orzech pozostaje nieprzenikniony. Czy udałoby się odtworzyć w filmie nie tylko entuzjazm ZMP-owski, ale na przykład ategnącję inteligenta, wyrzuconego poza nawias życia? Taką perspektywę, z jakiej patrzy na tamte lata na przykład Jan Józef Szczepański: "Tamte czasy były pełne udręki, mimo że dziś chętniej przedstawia się je jako karnawał powszechnego entuzjazmu. /.../ Czulem się zagrożony wyzuciem z rzeczywistości".

Znalazł się na festiwalu film dziwny, jakby nietutejszy. Reżyser tego filmu ośmiela się przyznać: nie rozumiem tego, co się z nami dzieje, boję się nagłych odmian losu jak choroby. Chciałbym służyć dobrej sprawie, ale nie bardzo wierzę w użyteczność sztuki, która jest zawsze poniekąd fałszem, grą. Trzeba przyznać, że Jerzy Skolimowski, przy całym swoim staroświeckim i zachodnim egocentryzmie, w R e k a c h d o g ó r y przemawia własnym głosem. To rzadkość. W dodatku zachowuje ten sam charakter pisma, jaki wykształcił sobie przed wyjazdem z Polski, dwie minione epoki temu. Epatuje widza swą światowością, ale zaraz przybiera pozy męczeńskie.

- Kapitanie Sawicki - pyta z ekranu - Czy pan wie, że przesłuchanie u pani odebrało mi na zawsze pewność siebie? W Hyde Parku upomina się głośno o większy przydział mięsa i demonstruje swoje kartki. W jego wizji Warszawy wapćczonej flagi strajkowe łopocą nad trupem pijaka, potrąconego przez samochód. Ruiny Bejrutu kojarzą się z ruinami Warszawy - przeszłymi, przyszłymi? Ale lęk przed hekatombą rozkładowuje się natychmiast w ironicznej przesadzie: Warszawa stoi jeszcze, to tylko pijak przewrócił się na ulicy.

Niektórych raz i pozerstwu Skolimowskiego. Jednak w porównaniu z coraz liczniejszymi utworami rozrachunkowymi wydaje się, że on jeden nie przybrał pozy. Wydobył tylko na jaw fałsz, który jest także udziałem nas, widzów tego filmu. Ten film o pozerstwie polskim na pewno spodobałby się Dygatowi. Mamy tu do czynienia z pewną mistyfikacją, ale przecież nasze codzienne działanie i mówienie również jest w jakiś sposób zmystyfikowane, poddane wielkiej dziejowej reżyserii. Aplikuje się nam sztuczne euforie. Jesteśmy straszni przez telewizję jak dzieci. Niepewność losu odbija się na ocenie własnej. Chyba nigdzie w Europie nie przechodzi się z taką łatwością od oskarżeń pod adresem swojego narodu do samozachwytu. Z równym powodzeniem udawaliśmy sobie, że jesteśmy społeczeństwem biernym, zgncionym i zastraszo-nym, jak to, że jesteśmy awangardą wolności. Trudno nam pogodzić się z myślą, że jak wszystkie nowoczesne społeczeństwa nie stanowią "jednej rodziny" lecz splót antynomii, który nie da się rozwiązać za pomocą jednego cięcia. Broniąc honoru narodowego używamy czasem tego samego argumentu, co pewien pijak-poeta, który leżał na schodach Dworca Centralnego do góry nogami. Kiedy chciałem go podnieść, podał mi zimą dłoń i powiedział:

- Ja mam siłę... Tylko ona na czym innym polega.

Józef Stalin był w sezonie 81 ukrytym bohaterem paru filmów.

Wersja Jerzego Skolimowskiego /1967/ jest blażeńsko-komiczna. Brygada ZMP skłajała z gotowych elementów gigantyczny portret przywódcy ruchu robotniczego. Jedni zaczęli od czoła, drudzy od brody. Gdy portret był gotów, okazało się, że ma czworo oczu /elementy były podwójne/. Kobieta biegnie ku kamerze, ścigany spojrzeniem z portretu:

- Jezus Maria! Całe studia na nic! Całe życie na nic!

Faktycznie, zostali naznaczeni na całe życie. Ich kompleks jest jednak mistyfikacją - powiada Skolimowski. Służy za wygodne wytłumaczenie własnej małkości, głupoty, strachu. Ludzie potrzebują męczeństwa, nawet udanego, aby zrzucić na nie winę za swoje wady. Na tej samej zasadzie pijak potrzebuje

wojny światowej, aby usprawiedliwić swój nażóg.

Przed komisją dyscyplinarną jeden z kolegów, klejących portret, załamuje się. Drugi bierze całą winę na siebie. Ukarany /wyrzuceniem z organizacji.../ chce popełnić samobójstwo. Dziewozyna /Joanna Szczerbic/ wyśmiewa go, przykłada do głowy ZMP-owskiego męczennika patelnię zamiast aureoli.

Inaczej w W a h a d e ł k u Filipa Bajona. Bajon należy do pokolenia, które w 1953 roku chodziło jeszcze do przedszkola. Nie zdążyło zżnąć strachu, ani odpowiedzialności, spędziło natomiast - jak ktoś mówi - "piękne dzieciństwo pod parasolem bezprawia". Ideologia stanowiła dla nich abstrakcję. Tym bardziej byli podatni na wiedzenie, choć z portretem wąsatego ojca narodów konkurowała Bozia na obrazku. Wódz umarł. Znikły ze ścian wszystkie jego wizerunki, ale tajemniczy urok pozostał - jak widać - i dzisiaj do dziś. Film Bajona uzmysławia potęgę tamtego wspomnienia. Retrospekcje z Dziadkiem Mrózem, który przemienia się w Stalina i kładzie rękę na ramieniu chłopca, oglądała publiczność gdańska w niezwykłym skupieniu, jakby te obrazy zapuszczały głębinną sondę w podświadomość. Bajon dawkuje tę scenę, dzieli ją na krótkie urywane fragmenty, a chciałoby się jeszcze i jeszcze.

B bohater W a h a d e ł k a, epileptyk, impotent, wraca do wspomnienia bałuw gwiazdkowego niczym do źródła mocy. Dziadek Mróz odgrywa tam rolę szama. Ideologiczne mowy są czymś w rodzaju zaklęć magicznych. To nic, że życie dawno skompromitowało iluzję. Iluzja ta jest j e g o własnością, ohochy przez to stanowi wartość.

- To dla nas ważniejsze przeżycie niż cały Proust, Musil, Broch i Joyce - mówi nieudacznik do siostry.

Psychopatologia W a h a d e ł k a jest tylko wybiegiem, pozwalającym powiedzieć coś istotnego na temat zjawiska społecznej hipnozy. Bajon stara się przywołać i oświecić tę dziwną, zniewalającą siłę, jakiej poddają się pojedyncy ludzie, rodziny, całe społeczeństwa. Właściwie można by powiedzieć, że przyczyną nieszczęścia rodziny z W a h a d e ł k a jest ustrój; samotna matka, by zarobić na dom, musi przekraczać normy; życie spędza na wiecach i szkoleniach, syna w tym czasie państwo chwca na pioniera. Można by z tego materiału wykroić historię typową i podać ją jako oskarżenie sytemu.

Bajon jednak robi a tej fabuły inny użytek. Ustrój jest dla niego figurą losu. Losu nie można dotknąć. Nie można odsgrać się na nim za swoje krzywdy. Co więcej, ludzie potrafią kochać siłę, która żmie im życie. W ocenie przeszłości postępują się sentymentem, a nie znajomością podręcznikowych praw. Podcennie postępuje w baśniach księżniczka, która dobrowolnie oddaje się potworowi, wierząc, że go uszlachetni. Podobny błąd popełniają krowy z F o l w a r k u z w i e r z ę c e g o Orwella - oszukane przez swoich przywódców obistnicą stadnego dobrobytu, w największej beznadziei skupiają się razem i nucą dla pocieszenia pieśń rewolucyjną, bo tylko tę jedną znają.

W a h a d e ł k o, przejmując zagrane przez Mirosławę Marcheluk i Janusza Gajosa, dotyka urazu odczuwanego dziś, jak sądzę, przez ogół widzów. Polska widownia dobrze rozumie sekret bezsilności. Bajon tak kieruje jej uwagę, że z ulgą przyjmuje się obraz niezapomnianej gwiazdki 1951. Stanowi ona melodramatyczny kontrast wobec romantycznej współczesności. Degenerat z ekranu staje się w jakiś sposób reprezentantem nas smych. Oczywiście, jest od widza uboższy /ograniczenie bohatera filmowego to jedna z głównych satysfakcji, jaką daje kino/. Nie może się uciec do pomocy religii, magii czy sztuki bo możliwości te zostały mu odebrans w dzieciństwie. Na nic się nie zda Proust. Pozostaje tylko Dziadek Mróz, jako strapa ojca i Pana Boga.

Widownia gdańska żąda pełnej prawdy. Chce rozrachunku, zdemaskowania zła Stalina i kolejnych ojców narodu - można tak sądzić po natężeniu okłasków i śmiechów w kinie. Chcą, żeby wyraźnie wskazano generalną przyczynę naszych wszystkich niepowodzeń, od tych narodowo-społecznych do tych osobistych, życiowych. Ale tego żądania nie da się zaspokoić. Zły Soso jest tylko projekcją szatana, siedzącą również tu, na tej widowni. Zdjęcie maski z Dziadka

Mroza symbolizuje jedynie marzenie, nie daje żadnej odpowiedzi.

W ogóle pojęcie systemu, którym tak często się operuje w ocenie czasów stalinowskich, niewiele tłumaczy. Jest abstrakcją stworzoną po fakcie. Człowiek, żyjący w swojej epoce, nie jest świadomy uwarunkowań ustrojowych, żyje w dużej mierze epoką poprzednią, w której spędził swoją młodość. Używamy pojęć, jakie są w obiegu. Instynktownie naśladujemy większość lub przeciwstawiamy się większości. Decydują o tym względy psychologiczne, nie tylko ideowe czy moralne.

Temat upokorzenia i przemocy, stary jak polska niewola, służy zazwyczaj w sztuce popularnej do uderzenia w ton dumy /"póki my żyjemy"/ lub do zamykania rąk wobec prześladowającego fatum. Człowiek z żelazą mieści się w obydwu tradycyjnych kanonach. Młodzi - Bajon, Marczewski, Falk, Szulkin - odchodzą od tradycji przedstawiania losu narodowego w kategoriach wyjątkowych. Ambicją filmów o latach stalinowskich, zaprezentowanych w 1981 roku w Gdańsku, było raczej przyjrzenie się z bliska rozgrywce dobra i zła. Probując odpowiedzieć na pytanie, czy okres, o którym mowa, był w dziejach społecznych czymś niebывалым, niepojętym jak potop, czy też był w dużej mierze rezultatem przyrodzonych ludzkich słabości, twórcy W a h a d e i k a i D r e s z c z y przyjmują raczej /za Gombrowiczem/ ten drugi pogląd.

W ćwierć wieku po Munku, w kilkanaście lat po S z y f r a c h H a s a /najdojrzałym filmem polskim c okupacji/, kino wraca do perspektywy psychologicznej. Pozwala ona ujawnić nie tylko oszustwa propagandy /co jest bardzo łatwe/, lecz także sięga do oszustw wewnętrznych, na które jesteśmy podatni.

D r e s z c z e Wojciecha Marczewskiego dlatego są filmem ważnym, że próbuje się tu /przyjmując za medium postać dziecięcia/ odwrócić świadomość człowieka zdeзоритowanego, tkwiącego w środku wyderzeń, których nie pojmuje, dysponującego jedynie obiegowymi pojęciami. Bohater filmu, mały pionier w czerwonej chustce, reprezentuje ortodoksyjną czystość, opartą na fałszywych wartościach. Opierając się na najszlachetniejszych, religijnych pobudkach, wierzy w bzdury. Dramat dziecięcy staje się tu satyrą na wierność emblematom, zamiast wartościom. Jest to zarazem opowieść o utracie dziecięcej wiary. Dziecko chodzi do kościoła, bo inni chodzą, bo tak kazał rodzic. Czci obrazki, bo ładne. Co się stanie, jeżeli przemocą skierować jego wiarę w inną stronę? Podmienić obrazki? Oto doświadczenie pedagogiczne, jakiego zostaje poddany 12-letni bohater D r e s z c z y.

Najpierw odbiera mu się najwyższy autorytet - mądrego ojca. Potem przenosi się chłopca na obóz szkoleniowy. W starym pałacu, gdzie odbywa się szkolenie, na miejscu krzyża wisi portret prezydenta, a brodaty Marks ze szkłem przypomina Boga Ojca. Zamiast modlitwy do Ducha św. przed lekcją, dziewczynka śpiewa kryształowym głosem: "Nie papież nam wybrzeże dał..." Przed oczami chłopca odbywa się wielka zmiana dekoracji, mająca prowadzić do totalnego przewartościowania. Ale system nowej wiary nie utrzymuje się długo. Świat jeszcze raz przewraca się do góry nogami, gdy do obozu docierają numery rewizjonistycznego "Po Prostu" i audycje "Wolnej Europy" z informacjami o masakrze w Poznaniu.

Reakcja chłopca, poddanego eksperymentowi, jest paradoksalna. Zamiast, zgodnie z tym jak go uczą, hołdować Nowemu, on jak na złość czci to, co stare i przyzwyczajone. Wkrótce po przyjeździe na obóz, odmawia pacierz przed trójkątnym znaczkiem Madagaskaru. Potem, gdy upadają obozowe autorytety, zostaje wierny i modli się, by kontrrewolucja poniosła klęskę. Jego instynkt moralny tęskni do stałości, gubi się wśród zmian. W końcowym dialogu słyszymy, jak to niewiniątko domaga się "wytępienis przeciwników". Nie oznacza to jednak przemiany serio. Tomek wspaniałomyślnym gestem ofiarowuje swój święty obrazek najbardziej ortodoksyjnej drużynie, ale nie świadczy to, że został "kupiony" - jego charakter wskazuje na nieprzekupność. Jego niespodziewane

gesty /zawsza przeciwne temu, co robią wszyscy/ wynikają raczej z jakiegoś osobistego rachunku moralnego, z dziecinnej chęci wyróżnienia się.

D r e s z c z s dowodzą, że nawet poddanie się rytuałom nowej wiary nie przeszkadza w zachowaniu tajnej, nienazwanej hierarchii wartości. Chłopak, postuszny druhnisi, patrzy na nią z góry, jak mężczyzna. Na ile jest zakochany w wychowawczyni, na ile lituje się nad jej naiwnością?

Film, tak ponury w atmosferze i kolorystyce, stanowi próbę rozbrojenia demona: chłopiec, poddany tylu rozmaitym próbom znieprawienia /w dzień deklamuje rewolucyjne hasła, a w nocy podgląda starszych kolegów, oddających się onanistycznym zabawom/ - wciąż pozostaje niepoprawnie czysty.

Totalizm, jak wynika z etymologii słowa, jest takim sposobem myślenia o świecie, który usuwa z rzeczywistości wszystko to, co sprzeciwia się raz przyjętej regule. Totalizm pragnie jednolitości, boi się konkurencji innych wiar, idei - nawet towarów. Film raczej bytu jest jedność zewnętrznego formy życia. Dąży więc do ujednolicenia emblematów będących w obiegu. Monotonia pozwala bowiem panować nad społeczeństwem, skłonny do popadania w chaos. Ale to złudzenie. Doskonała monotonia nie da się zrealizować poza fantastyką Orwella. W Chinach, u szczytu rewolucji kulturalnej, kobiety podbijały sobie granatowe mundurki cennymi materiałami; nawet w obozie radzieckim, opisanym przez Herlinga-Grudzińskiego, pojawił się, raz w ciągu całego roku, film *W i e l k i w a l c* i dał mieszkańcom tego domu umarłych poczucie istnienia innego świata.

W Polsce w latach pięćdziesiątych - był jazz. Zespoły istniały na pół konspiracyjnie. Dlatego może film Feliksa Falka pt. *B y ł j a z z /o party m. in. na wspomnieniach Jerzego Matuszkiewicza/* kojarzy się dziś młodej widowni z *Z a k a z a n y m i p i o s e n k a m i*. Jazzband gra przeciwko temu, co go otacza: akademiom, radiu, wykładom, pochodom. Także przeciwko pićsenkom Szpilmana, choć one niczemu nis były winne. Do *Z a k a z a n y c h p i o s e n e k*, po ich premierze, krytyka miała pretensje, że przeszkadzają obraz okupacji. Można by powiedzieć o filmie Falka, że daje obraz czasów Bieruta w stylu sweet. Jak bywa w musicalach, wszelkie dialogi prowadzą tu do scen muzycznych. Służą jedynie do zapełnienia intermedii między kolejnymi numerami. I tak - do intermedii został zepchnięty u Falka cały sztafaż Planu 6-letniego. Nie jest ani groźny, ani groteskowy, ani patetyczny. Stanowi tylko obojętne tło dla muzyki. Nie czynię z tego zarzutu - przeciwnie. Dobrze, że do kolekcji postalinowskich zmór, dreszczy i kompleksów dochodzi ten pastelowy obrazek, ukazujący normalność życia w niernormalnej epoce. Każda, najmniejniejsza nawet rzeczywistość, mieści w sobie całą skalę ludzkich przeżyć, zostaje wypełniona kulturą. Która zawsze, ze swej istoty, jest przeciwna przemocy. Więc obok studiów psychologicznych uwiedzenia i zagrażania "nową wiarą" musiało się znaleźć świadectwo o tych, co pozostali zdrowi, niewiedzeni. Co prawda, bohaterowie filmu rozmawiają między sobą frazesami piętnych lat. Ktoś tam nawet wierzy w zwycięstwo komunizmu. Wezyskto to razem jest tylko sztafażem, nie tworzy problemu. Ila fabuły istotne jest tylko, jak znalazł lokal na koncert jazzowy, i jak go zalegalizował. Prosta, naiwna konwencja filmu muzycznego oddaje mentalność ludzi, których front ideologiczny nic a nic nie obchodzi. Nie zapalali się na soc, bo byli zajęci czym innym.

.

BOHDAN KOSIŃSKI

NA PROSTEJ

Więzienie w Białej Podlaskiej, w randze aresztu śledczego, mieści się na ulicy Prostej, trzy kroki od Placu Wolności, centralnego punktu miasta, dzisiaj wojewódzkiego.

Wzniesiona za caratu, na oko niezbyt potężna, okazała się dziełem nad poziom solidnym. Dziejowe wstrząsy, wojny i rewolucje przetaczające się nad miastem nie tylko nie skruszyły murów, lecz na odwrót, jakby je utrwaliły.

Jako chłopiec biegałem do szkoły właśnie ulicą Proszą, w cieniu więziennego gmachu. Nie przychodziło mi wtedy na myśl, że za tymi murami kryje się spora porcja historii. I że dalsze "są w drodze".

Myśl o założeniu więzienia w Białej Podlaskiej powstała niewątpliwie w okresie wojny Moskali z kościołem unickim, w kilkanaście lat po Powstaniu Styczniowym. Zamknięto wówczas wszystkie cerkwie i wywieziono prawie wszystkich księży unickich; niektórych aż na Syberię. Kozacy atakowali brutalnie unitów gromadzących się przed zamkniętymi świątyniami. W Pratulinie zabito trzynastu osób. W Janowie Podlaskim, w Leśnej, w Hrudzie, w Ciciborze, w samej Białej trawiono kołami i bito nahażami kłęczących ludzi. Tysiące osób przetrzymywano w cyrkulach i pędzono na zsyłkę. Mimo to opór trwał, zacięty, heroiczny, niosący dalsze śmiertelne ofiary.

Więzienie pilnie wówczas potrzebne, gotowe było w roku 1898, a więc dopiero na wojnę wypowiedzianą carskiej policji i Ochronie przez bojowców Polskiej Partii Socjalistycznej. Dziełem bojowców były w latach 1905-1907 zamachy na szpiclów Ochrony i żandarmów, akcje zbrojne na dworzec kolejowy w Białej Podlaskiej i na ambulans pocztowy pod łomazami. Jednym z pierwszych zamkniętych był Jan Brodacki, robotnik z fabryki drzewnej Raabego. Wrócił z Syterii i w latach trzydziestych widywałem go, kroczącego w pierwszych szereгах manifestacji PPS, jako wsterana.

Ku końcowi I wojny światowej, w roku 1918, niemieccy "huzarzy śmierci" okupujący Białą i nie pozwalający się rozbroić, wsadzali tam członków Polskiej Organizacji Wojskowej /POW/. Wśród nich Stanisława Chmiela, młodego nauczyciela wiejskiego. Później był on jednym z bliskich kolegów mego ojca, naszym sąsiadem. W więzieniu nie siedział długo, udało mu się zbiec.

W Polsce Niepodległej więzienie na Prostej służyło policji państwowej w jej rozprawie z ówczesną ekstremą - członkami KPP. Stamtąd też, bodaj 1 maja 1937 r., dotarła do mnie, usłyszana po raz pierwszy, "Międzynarodówka". Więźniowie śpiewali ją w trzech językach: polskim, ukraińskim i żydowskim. Budowla dominowała nad dzielnicą biedoty, głównie żydowskiej. Stąd, i z ubogich polskich i ukraińskich wsi podlaskich, rekrutowali się tutejsi pensjonariusze.

Pewnego dnia w 1938 r. przestał przychodzić na lekcje kolega ze starszej klasy gimnazjum, dziesiętnastolatek, Włodzimierz Muś. Okazało się, że jest za murami, które tak dobrze znałem z zewnątrz. Wówczas dopiero cień więzienia nabrał dla mnie pewnej wyrazistości. Musia aresztowano za organizowanie komórki KZMP, odsiedział rok. Po wojnie był generałem, dowódcą KBW w roku 1956. W roku 1968 z wojska usunięty.

Szkic publikujemy bez wiedzy i zgody autora. /red./

Druga wojna światowa przyniosła kolejną zmianę gospodarza na Prostej. Wkrótce i ja mogłem spojrzeć na mury więzienne od wewnątrz. Gestapowcy wzięli mnie 17 kwietnia 1940 r. na ulicy, w łapance /bezsensownej/ na młodych ludzi w uczniowskich mundurach. Nosilem wtedy stary, licealny. Od ręki byłem przesłuchiwany. Szef białskiego SD /Sicherheitsdienst/ bił mnie po twarzy, ponieważ notatki, które przy mnie znaleziono /nazwiska, adresy/, wydały mu się podejrzane.

Czterdzieści dwa lata później, 7 kwietnia 1982 r., mój syn Jarek, działacz "Solidarności", został zatrzymany na ulicy przez SB, bity przez funkcjonariusza tej służby po twarzy i głowie, ponieważ notatki, znalezione przy nim wydały się podejrzane, a syn odmówił udzielenia wyjaśnień. Internowany następnie w Białolekę.

W celi znalazłem się w nocy, nie dostałem więziennego koca. Chłop spod Pieczcowa wsadzony za to, że nie dostarczył kontyngentu, okrył mnie swoim kożuchem. Nazajutrz rozpoczęła się obowiązkowa edukacja. Złodzieje i nożownicy uczyli mnie zabawy w "ślepą babkę" i gry w "salonowca". Od udziału w tej ostatniej zwolniony był tylko młody inżynier Billi. Po powrocie z przesłuchania w Gestapo pokazał nam pośladki - krwawosiną miazgę.

Ktoś ostatnio zwolniony z Białoleki opowiadał o tym, że w łaźni starzy Białolecczanie ze zgrozą oglądali "kolorowe" plecy nowo-przybyłych internowanych, zatrzymanych przez ŻOMO podczas rozpędzania manifestacji trzeciomałkowej w Warszawie.

Inżynier Billi i znajdujący się w sąsiedniej celi uczeń gimnazjum, mój rówieśnik i kolega jeszcze z powszechniaka, Tadek Sobol, najpierw rzucili się do organizowania walki z Niemcami. Niestety, dość szybko nastąpiła wpadka. Zostali rozstrzelani, wraz z kilku innymi, w białskich Palmirach, w lesie Grabarza.

Budynek na Prostej opuściłem wraz z pozostałymi wziętymi z łapanki. Wysłany z nakazami do wyznaczonych miejsc pracy. Niektórzy otrzymali na pożegnanie po 25 uderzeń gestapowską pałą.

Nie pamiętam dokładnie - może to było przed moim pobylem - w każdym razie gdzieś w roku 1940 przywieziono tu transport kilkudziesięciu Żydów, niemieckich komunistów, aresztowanych w Związku Radzieckim w latach 1937-1938 i przekazanych hitlerowcom przez NKWD w Brześciu nad Bugiem.

Jesienią 1940 r. kilka pierwszych tygodni swej męczeńskiej, więziennej drogi do Oświęcimia spędził na Prostej ojciec mojej żony, Stanisław Maziejuk. Organizował komendę białsko-podlaskiego obwodu ZWZ AK, był zastępcą komendanta obwodu do chwili aresztowania. Przed wrześniem '39 r. znałem Go tylko z widzenia - był współzaścicielem i kierownikiem kina. Blżej mogłem Go poznać dopiero z listów przysyłanych do rodziny z Oświęcimia. Zginął tam pod koniec roku 1941.

Rafał Kantor, najbliższy kolega szkolny, dostownie z tej samej ławy - razem startowaliśmy i razem kończyliśmy gimnazjum i liceum im. J.I. Kraszewskiego - znalazł się na Prostej po likwidacji getta w 1942 r. Zatrzymano wtedy blisko setkę młodych, swego rodzaju kompanię pracy i zakwaterowano akurat tam. Spotykałem ten oddział młodych Żydów pędzony pod konwojem na jakąś budowę. Podchodziłem blisko i mogłbym powiedzieć sobie z Rafałem "cześć". Hitlerowcy, stopniowo, pomordowali ich wszystkich.

II wojna światowa dla Białej Podlaskiej skończyła się w roku 1944. Ale korowód znajomych i kolegów przybywających wbrew swej woli do gmachu na Prostej nie ustawał. Zaczęła się wojna domowa. Władza, która zawitała do Białej Podlaskiej w sierpniu '44 r. w osobach pełnomocników PKWN i ulokowała się w pomieszczeniach dawnego starostwa, "krzepka" i "umacniła się" przez ucisk i represje.

Pierwsze miejsce na liście represjonowanych zajął ksiądz Paweł Zubko. Ten sam, o którym pisał Nowak-Jeziorański w swoich wspomnieniach: K u r i e r z W a r s z a w y. Jak się okazało, na plebanii u ks. Pawła, zjawialiśmy się w tym samym czasie - w zimie 1940 r. Przynosiłem tam tajne gazetki, wyśmienite niekiedy flaszki z okowitą. W czasie okupacji hitlerowskiej był częstym gościem i przyjacielem naszego domu. Udzilił chrztu memu bratu, Leszkowi, urodzonemu w czasie wojny. Zagrzewał rodzinę duchem patriotyzmu, choć nie było to tak bardzo konieczne. Po wyjściu Armii Czerwonej nadal kłopotował gazetki w swej parafii i gminie. Zabrało go NKWD. Po kilku tygodniach pobytu na Prostej, wraz z setkami żołnierzy AK i BCH wywieziony i internowany w łagrze pod Riazaniem. Wrócił po pięciu latach.

Ksiądz Zubko zamknięty został w końcu października '44 r. Natomiast pewnej listopadowej nocy dokonano aktu prawdziwej walki klasowej - zgarnięto blisko setkę ziemian z okolic Białej. W efekcie cele bialskiego aresztu śledczego stały się filią arystokratycznych salonów.

Niektórzy uniknęli aresztowania. Najważniejsza figura, baron Stanisław Rosenwerth z Cielśnicy, producent wspaniałych wódek gatunkowych, inicjator budowy Podlaskiej Wytworni Samolotów, został w porę uprzedzony przez z-cę komendanta powiatowego MO, Bolka Horaczynskiego, bitnego partyzanta BCH. On sam zresztą, w kilka dni później, musiał uciekać i ukrywać się przed pościgiem świeżo uformowanego Urzędu Bezpieczeństwa.

Inni spędzili w ludowym więzieniu parę lat, wywiezieni z Białej wkrótce po aresztowaniu. Był tam m.in. hrabia Jan Karcki, właściciel sporego i dobrze prowadzonego majątku Roskosz. Był wybitnym reprezentantem środowiska ziemianńskiego. Z moim ojcem, miejscowym nauczycielem, mieli na pienku. Istniała jednak płaszczyzna porozumienia. Ojciec był naczelnikiem strazy pożarnej, a hrabia jej prezesem. W czasie okupacji niemieckiej buntowałem mu fornali, namawiając ich /z niejakim skutkiem/ do wstępowania w szeregi socjalistów /Barykada Wolności-Polacy Socjaliści/. Potem podzielił między siebie pańską ziemię, korzystając z reformy rolnej.

Bywało, że na narach obok pana spał tzw. prosty chłop, np. Jan Drożdżuk, ludowiec, w czasie wojny porucznik Batalionów Chłopskich, rolnik z Dubowa, prezes spółdzielni spółemowskiej. Chętnie zaglądałem, będąc w drodze, do jego gospodarstwa. Był serdeczny, gościnny, pił z umiarem. Inne motywacje nadały wysoką temperaturę jego życiowej aktywności. W roku 1945 został powiatowym prezesem PSL. Przez 16 miesięcy działał jak w transie. W styczniu '47 wygrał wybory na swoim terenie, zasiadł w sejmie. Na krótko. Aresztowany za raz potem, odsiedział pięć lat, początkowo na miejscu, następnie w Lublinie.

Jeszcze jeden kolega z liceum: Witold Łacic. Miał wspaniałą kartę żołnierską, najlepszą spośród nas, maturzystów '39 r. Był adiutantem kapitana "Zenona", dowódcy oddziału partyzanckiego AK działającego na terenie powiatu bialsko-podlaskiego. Witek brał udział w akcjach zbrojnych i bitwach stoczonych przez ten oddział, został odznaczony krzyżem Virtuti Militari. Podzielili los swego dowódcy aresztowanego w roku 1946, gdzieś w zachodniej części kraju. Studis, do których garnął się natychmiast po wojnie, mógł zacząć dopiero w trzy, cztery lata później. Obecnie jest znanym działaczem ZBO-iD-u w Warszawie.

W taśmie pamięci tkwią też ciernie. Nie mogę ich pominąć. W roku 1949 przez kilka miesięcy przebywał na Prostej por. "Feliks", członek komendy obwodu AK. Pamiętam go z chwili podniosłej - po przeprowadzeniu Niemców, równocześnie z wojskami radzieckimi, do Białej wkroczyła Armia Krajowa, właśnie wspomniany oddział kpt. "Zenona" i dowództwo. Z entuzjazmem mieszkancy miasta witali sławnego "Zenona" i jego kolegów, polskich żołnierzy - wielu z nich w zielonych, wojskowych mundurach uchowanych po wrześniu, z orzełkami na czapkach - a zwłaszcza pluton ułanów.

Por. "Felix" podejrzany był o wydanie rozkazu i osobiste kierowanie egzekucją rodziny Piszczów, chłopów ze wsi Komarno-kolonia. Jakuba Piszczę znamem bardzo blisko. Był jednym z moich nauczycieli politycznych i społecznych, działaczem "Społem" i PPS, ofiarnie pomagał żołnierzom radzieckim, którym udało się wyrwać z jenieckiego obozu zagłady pod lasem Hola. Zabito go wraz z żoną i 19-letnim synem.

W grudniu 1944 r. wyjechałem na stałe z Białej Podlaskiej. I wróciłem tylko raz /wyjąwszy okazje rodzinne/ - w roku 1948. Po to, by po raz drugi przekroczyć furte więzienną na Prostej. Wziąłem udział w ustalaniu tożsamości złapanego gdzieś w Niemczech i przywiezionego tutaj, dawnego prześladowcy więzionych, byłego szefa Sicherheitsdienst. Tego samego, który wydał rozkaz rozstrzelania inż. Billego i Tadka Sobola, a także kazał bić i mordować wielu innych. Tego samego, który i mnie niegdyś aresztował. W białskim więzieniu spędził ostatnie miesiące swego życia.

W roku 1956 na Prostej rozpoczął się okres stagnacji. Zamykano tylko "popolitych", za kradzieże, napady, podpalenia i gwałty. W mieście pojawiły się nowe, okazalsze budowle. Zaczęto stawiać obiekty najważniejsze - siedziby władz nowokrosowanego województwa. Któż chciał interesować się jeszcze tym staroświeckim, nieciekawym gmachem?

Od zapomnienia ocaliła go noc z 12 na 13 grudnia 1981 roku. Przez blisko stulecie rozmaite policje trudziły się nad zapełnianiem cel białskiego więzienia. W noc grudniową Służba Bezpieczeństwa zabierała z domów i pakowała do tych samych cel - nazwanych "ośrodkiem odosobnienia dla internowanych - działaczy i pracowników związku "Solidarność". Z Białej, Radzyna, Międzyrzecza, Terespoła, z miast i wsi Podlasia.

Próbowałem dowiedzieć się czegokolwiek o tym co się działo tam, w środku. Mówiono, że ciężko, że trudniej niż gdzie indziej. I tylko w wieczór wigilijny, i potem jeszcze 13 stycznia, rodziny gromadzące się na Prostej przed bramą i mieszkańcy sąsiednich domów mogli dostrzec świeczki palące się w zakratowanych oknach i usłyszeć pieśń "Boże coś Polskę" dochodzącą zza muru:

"Wyrwij lud polski z tyranów niewoli.
Wspieraj szlachetne zamiary młodzieży!"

Po upływie dwóch miesięcy internowanych przeniesiono do innych więzień, a białski "ośrodek" przestał istnieć. Wywieziono jednych, przywozi się innych z "Solidarności", uruchamiając przeciw nim artykuły i paragrafy dekretu wojennego.

Tym razem wśród nich nie ma moich znajomych ani kolegów. Ale choć nieznanymi, są mi bliscy, a ich więzienną udrękę odczuwam bolesniej niż tę, której doświadczali w tym miejscu dawni ich poprzednicy. Nie wiem, może to skutek zmnęczenia człowieka sześćdziesięcioletniego, a może, po prostu, rozpacz, że temu nie ma końca.

Warszawa, 25 lipca 1982

.....

RECENZJE

STAN WOJENNY, MARGINES I AUTOR

Marek Nowakowski, Raport o stanie wojennym, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, str. 60

Książka pod tym nieco standartowym tytułem, podkreślającym sprawozdawczo-służebną funkcję dzieła, lecz i historyczne aspiracje, stanowi ewenement co najmniej z trzech powodów.

Przede wszystkim jest to relacja o życiu w stanie wojennym, napisana przez polskiego pisarza. Ścisłej - pierwsza próba takiego opisu w rozmiarze książkowym, podjęta przez polskiego prozaika. Forma Raportu, można powiedzieć, amorficzno-różańcowa - 40 miniaturowych opowiadań, po części raczej migawek, przeustawien niekoniecznie ujętych w formę fabularną, nanizanych jednak na wspólną wszystkim utworom nić tematyczna - odzwierciedla charakter i sens pisarskiego przedsięwzięcia: kolekcjonowanie okrucichw bieżącej rzeczywistości, dorywcze, zaangażowane i pospieszne. Niektóre z tych tekstów powstały natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego/pierwszy nosi datę 1 stycznia 1982/ i były już publikowane we wczesnych numerach tygodnika "Mazowsze", co czego przyczyniła się zapewne nie tylko ich aktualność, lecz również krótkość. Forma tak bardzo okolicznościowa, urywkowa i ekspresowa odpowiada trudnościom, z jakimi w stanie wojennym borykać się musi autor, wydawca i sam czytelnik.

Zaczyna się Raport od najazdu czołgów na hutę. Ale nie z huty i nie z czołgu obserwujemy wydarzenie, tylko spod żarzącego się nocą koksownika, przy którym rozmawiają żołnierze i stara kobieta. One aluzyjnie napomyka, że krew się leje. On "opuścił głowę i czubkiem buta zaczął złobić śnieg /.../ - Grupia jesteś - odkrzyknął..." Tyle na wstępie. I już w óródmieściu Warszawy, łapanka, pałowanie, kogós aresztują. Na komendzie MO: "Urodzony w ZSRR? - zajrzaj w mój dowód. - Wilno... - zrobił pauzę. - Zwalniam was. Tylko pamiętajcie... Nie wolno wam mieszać się do niczego". Następuje opowiadanie taksówkarza. Narratora tego zatrzymał milicjant, zrewidował mu wóz, nic nie znalazł. "Powiedziałem: - I po co to było kolego? - A co? - wybuchnął. - Ja to wymyśliłem?" Konkluzja: "Juz mu się zaczyna przejaśniać w głowie". Dalej komisja weryfikuje dziennikarzy. Jeszcze dalej lekarz szepcze na ucho działaczowi "Solidarności": "Gdyby coś... jakiś kłopot... To u mnie na chirurgii można poczuć się absolutnie bezpiecznie". Odsłaniają się "sekretne oblicza konfidentów". Kolejka ryzykantów staje po mięso nie czekając na koniec godziny policyjnej. Patrol wprawdzie interweniuje, lecz ogranicza się do pobrania łapówek. Pod ambasadą radziecką tajniak usiłuje zatrzymać w autobusie młodego człowieka, który krzyknął "kacapy", ale pasażerowie i kierowca umożliwiają mu ucieczkę. Portier-agent chwali sobie fajne interesy: śledzi w hotelu cudzoziemców i bierze napiwki w dolarach. Kierownik nakłania swego pracownika do podpisania politycznej deklaracji lojalności. Słyszony jednak: "Ten papier to nawet do podarcia tyłka nie pasuje. Za brudny". Młodziez licealna domaga się "uwolnienia naszej nauczycielki języka polskiego" w związku z czym komisarz wojenny przeprowadza w szkole dochodzenie. Piąjacy poszukują wódki. Co znaczy u nich skrót KPN? Okazuje się, że smogon, czyli Koniak Pędzony Nocą. Jeszcze jedna rewizja uliczna, jeszcze jeden żołnierz przyryka oko na bibułę wydobytą z damskiej torebki. Ale kontroler "Ruch" sprawdzający, czy kioskarze nie używają piecyków elektrycznych, mówi: "Dziś miałem zniwo. Jedną taką nakryłem. Nieprzyjemna, udaje grand damę i zawsze z góry mnie traktowała. Aż stało się i ja byłem górą. Zrobiła się taka malutka. Nie popuściłem babie. Spisałem i zapłaci". Tymczasem "Zostało

nas trzech /.../ spotkaliśmy się po rannej zmianie w starym kamieniołomie. Tam został pochowany stary powielacz. /.../ - Trzeba zacząć zaczerpnąć papier - powiedział Jurek Kobylka. Głoe miał świszczący. W strajku ząb mu wybili na przedzie". Ci trzej postanawiają wydawać pismo podziemne. W pierwszym numerze zamieszcza się opis strajku, listę uwiecznionych, ogłoszenie o zbiorce pieniędzy na pomoc dla tych ludzi, może jeszcze apel Wałęsy. "Dwie kartki bibułkowe papieru. - Sto egzemplarzy da radę wybić". Istnieją również broszury w szarych okładkach, które udostępnia pofnie do czytania starszy inspektor Janicki, partyjny. Też jakby "lewe", a mowa w nich o działaniu "międzynarodowego zydostwa w Polsce". I jak tu cokolwiek ma się rozemnać, gdzie prawda, a gdzie władza "jad podskórny sący". Prorządowy literat wystąpił w telewizji. Tytułem odwetu grupka żartownisiów dzwoni na milicję i zawiadamia, że w mieszkaniu literata ukrywa się Bujek. Pani Amalia Bessarabo, kobieta w podeszłym wieku, być może rumuńskiego pochodzenia, z zswodu eku-szterka, gromadzi zapasy. Wołki, job ich mać, zaległy się w macie. Popłoch w teatrze: aresztowano przewodniczącego regionu, który działał z ukrycia i chodził w peruce, wskutek czego do teatru przyszli bezpieczeństwa przejrzeń peruki i wziąć charakteryzatora na przesłuchanie. Były podoficer, żegarnik i weteran spod Monte Cassino, pan Bratek, "80-ty rok życia zaczął wraz z tą cywilną wojną", ale dostał zawału. "Oczywistą jest rzeczą, że cała ta wojna. mniej go obeszła niż własne serce". Wrócił ze szpitala, gdzie słuchano "Głosu Ameryki" /"Sylvia Danil... sądząc po głosie bardzo przyjemna niewiasta"/. " Teraz u nas - odzywa się pan Bratek - zimniej niż na Syberii przy daleko mniejszym spadku súpka rtęci. - Syberyjski mąstrój - powiedziałem i wdrygnąłem się mimo woli. - A cóś pan myślał?!". Kolporter tajnej prasę maszeruje ulicą z plecakiem i czteroletnim dzieckiem. W ślad za nimi przechodzień. Chłopczyk o przechodniu: "- Tak idzie - szepną - jak jakiś... -Kto? - zapytałem. - Ubek - odparł krótko".

To wszystko zarejestrował R a p o r t. Autor dodaje: "Zapis czasu wojenny trwa. Ciąg dalszy nastąpi". Otóż właśnie fakt, że zapis taki w ogóle powstaje, jest pierwszym powodem, by uznać publikację za ewenement.

Drugi powód to figurujące na książce nazwisko autora. Marek Nowakowski opisał stan wojenny, ale mu się nie poddał. Przyzwyczajaliśmy się już do publicznego obiegu prac nie cenzurowanych, jawnie sygnowanych nazwiskami autorów. W poważnej skali obieg ten datuje się od drugiej połowy lat siedemdziesiątych, gdy ukazały się pierwsze niezależne czasopisma i książki. Jednak decyzja autorekiskiego ujawnienia łączyła się w tamtych warunkach nie tylko ze znacznie mniejszym niebezpieczeństwem osobistym, lecz miała również inny sens i cel społeczny. W ówczesnym skonformizowanym społeczeństwie pisarz otwarcie buntujący się przeciwko tajnej cenzurze dawał wzór odważnego postępowania, który można i trzeba było w szerokim zakresie społecznym tj. na różnych innych polach naśladować, a dało się naśladować, jak dowiodła wkrótce historia, z powodzeniem. Chodziło raczej o przełamanie bariery psychologicznej niż wystawianie się na ryzyko rzeczywistości poważnej represji, o ośmielenie ludzi, bez czego nie byłaby powstała eni opozycja demokratyczna, ani "Solidarność". Chodziło bowiem o wyegzekwowanie od władzy poszanowania praw, które ona w teorii uznawała, toteż presja musiała być ostentacyjnie legitymistyczna, a więc jawna. Wraz ze stanem wojennym, czyli wypowiedzeniem przez władzę wszelkich umów z obywatelami, zlekceważeniem wszelkich praw i dopuszczeniem dowolnych form terroru, jakie tylko władzy spodobą się zastosować, stały się formy niejawne. Wydaje się, że w tej zmienionej sytuacji trzeba nie tyle obalać dawną barierę psychologiczną /w pewnych przypadkach może ona być wręcz użyteczna jako bariera rozsądku i bezpieczeństwa/, i zalecać inny, bardziej celowy sposób postępowania, niejawnego właśnie i przez to skuteczniejszego. Otwarte wystąpienie pisarza jest dziś raczej bohaterskim gestem osobistym niż drogowskazem dla ogółu. Powiedziawszy to, trudno nie przyznać, że gest taki dzięki swej niezwykłości budzi jednak słuszny podziw i pokrzepia serca.

Ale narzuca się wrażenie, że w istocie ten manifestacyjny akt /Marek Nowakowski był bodaj pierwszym autorem, który go w stanie wojennym dokonał/ wynika przede wszystkim z naturalnego przywiązania twórcy do artystycznej profesji. Jest to jakby obrona konieczna pisarza przed publiczną depersonalizacją i utratą tożsamości. Jest to wręcz opór przed anonimowością niemożliwą, ponieważ cechy właściwe pisarstwu Marka Nowakowskiego zostały w Rapo r t e bardzo wyraźnie zachowane. Można by nawet powiedzieć, że obraz indywidualności autorskiej rysuje się w książce dobitniej niż tzw. obiektywna rzeczywistość stanu wojennego. Wyobraźnia i język Nowakowskiego od chwili debiutu czepią niezmiennie z jednego źródła - ze środowiska ludzi obejmowanych oficjalną nazwą marginesu społecznego. Ale u Nowakowskiego margines ten od dawna nie ogranicza się do "tych starych złodziei", oszustów, rzeźmieszeków, wykołajeńców i prostytutek, od których zaczęła się obserwacja zjawiska. Pisarz spostrzegł mianowicie, że w ustroju tak gruntownie zładczonym jak socjalizm, peerelowskie prawa półświata są jedynymi rzeczywistymi prawami również tego rzekomo nie marginesowego "normalnego" świata. Toteż cały nasz świat można zrozumieć tylko w kategoriach odpowiadających realnościom półświata i można go prawdziwie opisać tylko językiem znaczącym coś w półświatku. Było to życiowe odkrycie Nowakowskiego, które zaowocowało kapitalnymi opowiadaniem, gdzie sekretarze partyjni, pułkownicy, literaci, oziwki i złodzieje występowali jako szemrane typy w społeczeństwie zamienionym w całości na margines, z właściwym marginesowi horyzontem i etnosem.

Pisząc Rapo r t o stanie wojennym Nowakowski pozostał wierny swojemu pojmowaniu polskiej współczesności oraz wypróbowany przez siebie narzędziem jej opisu. Wszyscy bohaterowie stanu wojennego reprezentują pod względem umysłowym, obyczajowym, przeżyciowym i językowym subkulturę "marginesu". Historyk z wykształcenia, demaskator "jadu podskórnego" broszur antysemitkich, gromi je w następujący sposób: "Bzdura to wierutna! Średniowiecze! Auto da fé po prostu!". Język zuniwersalizowanego "marginesu" zawiera pewną przymieszkę uczoności, gdyż jest po trosze językiem ludzi "z awansu". Tak też, jako mieszanina knajacko-złodziejskich gwer "marginesu" i sztampy językowej "awansu", wystylizowany został sam język autorski, który ma być odbiciem zbiorowej psychy i dzięki temu najbardziej zdawać sprawę ze zbiorowego bytu ludzi. "Raz goniec wpadł do pokoju kierownika i cofnął się od razu. Oni przy biurku. Kotłowali się. Kierownik miętosił ją za te wielkie cycki. - Na dywanie będzie tages! - chichotał wtedy goniec i ręką zgiętą w łokciu wykonał charakterystyczny manewr". A więc kotłowanie, cycki, tages /to goniec/ i zaraz wykonanie charakterystycznego manewru /konwencjonalnie szykowny autor/. Uprawnione są więc zdania w rodzaju "Znienna gra uczuć Lałowała się na twarzach zebranych w kawiarni dziennikarzy". #szelkie auto da fé też się legitymuje. Albowiem: "Może jeszcze jeden akcent stanowić o nastroju tej kawiarni. Inkwizycja. Przebrać tementy za komisyjnym etołem w nabit. Zniencić sceneryj i ta reminiscencja ze średniowieczna będzie zupełnie na miejscu". Dodajmy jednak, że w ogólnym obrazie Rapo r t u element kulturowy "marginesu", jak zawsze u Nowakowskiego, góruje zdecydowanie nad konwencjonalizmami "awansu".

Ale zastosowanie przez pisarza metody "jak zawsze" prowadzi w zetknięciu z prawdą stanu wojennego do pewnych ograniczeń poznawczych i nieoczekiwanych qui pro quo. Otóż prawdziwy stan wojenny jest próbą rozgromienia wielkiego ruchu społecznego, który nie powstał na marginesie, lecz w jąrdze społeczeństwa, i który to społeczeństwo przeobraził. Ruch był robotniczy, lecz nie lumpenproletariacki. "Solidarności" nie stworzyli ludzie zdegenerowani przez system, lecz odrodzeni przez ruch. Nowakowski jakby trochę nie umiał sobie z tymi faktami poradzić, bo wykroczył poza jego filozofię... Niby autor wie o nich, jednak mu "nie leżą". W książce po prostu nie ma ruchu. Rzecz znamienna: Nowakowski omija z daleka główne ogniska przeobrażeń społecznych, gniazda nowej świadomości i oporu, stocznie, walczące kopalnie, strajki, wieće, demonstracje, a także obozy internowanych, więzienia /jakos nie zagląda do nich ten specjalista!/, omija sam związek "Solidarność" i nawet

kościół. Wśród raportów o stanie wojennym, ten jest zapewne jedyny, który się bez takich elementów obywa. Wolno przyjąć, że sprawozdawca świadczy skromnie o tym tylko, co widział na własne oczy i w czym uczestniczył. A w stoczni nie działał, w kopalni nie strajkował, w więzieniu nie był, może i do kościoła nie chodził. Gdy jednak Jurek Kobylka i jego koleddy zastanawiają się nad miejscem, gdzie ustawią powielacz i będą "zaczerniać papier", i gdy okazuje się, że najlepiej robić to u cioci Peli w małym domku na przedmieściu, zalety lokalu tak oceniają: "U niej na strychu można nawet fałszywe pieniądze bić!" To ekożarzenie, mało wiarygodne jak na ideowych konspiratorów, tłumaczy się już nie tylko autentyzmem obserwacji, ile wiernością pisarza dla indywidualnej wizji świata, którą wykreował i stara się kontynuować.

W literaturze trudno na ogół o "prawdziwe" przedstawienie rzeczywistości w takim sensie, jaki obowiązuje raporty. Nieporozumieniem byłoby dociekanie, czy książka Nowakowskiego spełnia ten obowiązek, choć wskutek sugestii, że go podjęta, będzie ona szczególnie prowokować czytelnika do zjawienia się tym pytaniem. Nowakowski uchodzi za realiste, co nie ulega wątpliwości w zakresie stylu. Jeśli jednak wejrzeć w istotę sprawy, myślał o niej na zawsze na obrzeżach życia społecznego, tworząc deformacje i karykatury. Kontynuowanie takiej sztuki pod reżimowym bagnetem z jednej strony i pod wrażliwym okiem uciśnionego społeczeństwa z drugiej, nie jest programem łatwym. Ale śmiało sięgnięcie przez pisarza do własnych specjalności dowodzi, że literatura potrafiła jeszcze raz ocaleć i kontynuuje swój autonomiczny żywot w stanie wojennym /ocalenie literatury polega zawsze na zachowaniu autonomii/. I to jest trzeci powód, który pozwala uważać książkę Marka Nowakowskiego za ewenement.

Z B A W I E N I A N I E B Ę D Z I E

Leszek Kołakowski, C z y d i a b e ł m o ż e b y ć z b a w i o n y ?
i 2 7 i n n y c h k a z a ń, "Aneks" Londyn 1982, str. 333. Przedruk:
"Krağ" Warszawa 1983.

"Kłopot z socjaldemokracją jest taki, że nie przynosi ona i nie sprzedaje żadnych podniecających produktów ideologicznych, jekich różne totalitarne ruchy - komunistyczne, faszystowskie albo lewackie dostarczają marzycielskiej i złańskiej młodzieży. Socjaldemokracja nie ma ostatecznego rozwiązania dla wszystkich ludzkich nieszczęść i bied; nie ma przepisu na totalne zbawienie ludzkości; nie może obiecać, że fajerwerk ostatniej rewolucji zlikwiduje ostatecznie wszystkie konflikty i walki; nie znalazła żadnych cudownych pomysłów, przynoszących ludziom doskonałą jedność i powszechne braterstwo. Socjaldemokraci nie wierzą w żadne ostateczne, łatwe zwycięstwo nad złem. Socjaldemokracja nie jest zabawą. Jest trudna, nie wynagradza i nie ma pociągających stron samonarzucającej się ślepoty. Wymaga związania się z pewną liczbą wartości podstawowych - z wolnością, równością szans, z gospodarowaniem zorientowanym na człowieka i publicznie kontrolowanym. Ale ponadto żąda solidnej wiedzy i racjonalnej kalkulacji, jeśli musimy uswiadomić sobie i badać tak dokładnie jak to tylko możliwe, warunki, w jakich mają być owe wartości urzeczywistnione. Socjaldemokracja jest wytrwałą próbą stopniowego usuwania warunków, stwarzających możliwe do uniknięcia cierpienia, ucisk, głód, wojny i nienawidź rasową i narodową, nienasyconą chciwość i mściwą zawiść; jednakże jest świadoma wąskich granic, wewnątrz których toczy się ta walka, granic nałożonych przez naturalne ramy ludzkiej egzystencji, przez niezliczone historyczne przypadki, przez różnorodne siły, jakie kształtowały przez wieki dzisiejsze instytucje społeczne".

Tak pisał profesor Leszek Kołakowski na łamach "Socialist Affairs" nr 5/6 z 1979 roku /tłumaczenie "Krytyka" 7/80/ i szkoda, że tekst ten nie znalazł

się w wydany ostatnio przez londyński "Aneks" zbiorze esejów Kołakowskiego z ostatniego 12-letnia Czy diabeł może być zbawiony? i 27 innych kazań, bowiem tu chyba właśnie w sposób najbardziej zwiezły i dobitny samookreśla się Kołakowski-socjaldemokrata, a jednocześnie z tą samą dobitnością rysuje się sedno całej politycznej publicystyki polskiego filozofa. Przypomina się inne samookreślenie innego wybitnego umysłu z kręgu polskiej opozycyjnej lewicy - profesora Edwarda Lipińskiego, który na pytanie dziennikarza o to, czy czuje się socjalistą, odparł: "Tak, jestem socjalistą. Ale nie wiem, co to znaczy".

Kołakowski /po przeczytaniu tej książki nie wiem, czy jest on bardziej filozofem czy jednak publicystą/ za warte swego eseiistycznego zainteresowania uważa nade wszystko owe "nie wiem, co to znaczy", interesują go wyłącznie miejsca ciemne, dwuwykładne, sprzeczności i nierozwiązalne dyalematy myśli. Mówią już o tym same tytuły poszczególnych części tej pracy. Kłopoty z kulturą, Kłopoty z ohrześciianstwem, Kłopoty z socjalizmem, Kłopoty z Polską. Pisarz od początku /pamiętamy jeszcze Rozmowy z diabłem wydane w Polsce na fali gasnącej już wtedy październikowej "odwilży"/ deklaruje swe zainteresowanie diabłem i diabelstwem czyni to nie z fascynacji rzeczami nadprzyrodzonymi, lecz stąd, że Zły Duch jest od prawiaków nie tylko poręcznym instrumentem do straszenia grzeszników, ale jeszcze lepiej nadaje się do głoszenia wykładów /kazań/ o sprawach sprzecznych, wątpliwych i nieprawomyślnych; stąd tytuł książki niniejszej. Kołakowskiego esaje o rzeczach niejasnych i dwuwykładnych są jednak nade wszystko publicystykę polityczną, choćby traktowały akurat o teologii diabła bądź o sprzecznościach współczesnej kultury - piszącemu te słowa sednem współczesnej najszerzej rozumianej polityki wydaje się proces rozpadu owych "podniecających produktów ideologicznych, jakich różne totalitarne ruchy - komunistyczne, faszystowskie czy lewackie dostarczają szarym ludziom i szklanej młodzieży" - by użyć zcytowanego na wstępie tekstu. Jest to stopniowy, pełen zahamowań i nawrotów choroby - ale niezbędny i nieunikniony, jeśli świat ma mieć przyszłość jakąkolwiek - proces uwalniania się ludzkiej świadomości od totalitarnych złudzeń rozmaitej proveniencji, od szlachetnych może w intencji, lecz zgubnych w zastosowaniach rojeń o "idealnym porządku", bądź o "pięknej rewolucji", która taki porządek ostatecznie ustanowi tu na ziemi. Jest to proces jeszcze szerszy, bo ochodzi zarówno o dokonujący się na naszych oczach /choć kto wie, czy nie na naszych kościach/ rozpad marksowskiego mitu o proletariatus, którego miał raz na zawsze uszczęśliwić rewolucyjny "skok z królestwa konieczności do królestwa wolności", ale też o mniej oczywisty dla Polaków w dzisiejszej sytuacji rozpad kapitalistycznej bajeczki o pucybycie awansującym na milionera, także o rozpad mitów i złud nacjonalistycznych. I jeszcze o coś więcej, bynajmniej nie o rozpad mitu religijnego, bo potrzeba wiary jest jedną z podstawowych cech ludzkiej natury, ale od oochodzenia od tej uświęconej, lecz zniewalającej człowieka, prowadzącej do różnych form teokracji, dogmatycznej, czysto ziemskiej konserwatywnej roli kościołów różnych wyznań. Dzisiejsze posoborowe przywództwo Kościoła katolickiego rozumie konieczność tej przemiany o wiele lepiej niż całkiem spore rzesze wiernych w niejednym kraju, także i naszym. Przywództwo "real socjalizmu" nie rozumie, a najpewniej zrozumieć nie chce i nie może, choć od potępiającego stalinizmu XX Zjazdu KPZR minęło z górą ćwierć wieku, tutaj świecki odpowiednik "ducha soborowego" nie narodził się i zapewne nie narodzi się już nigdy, mimo tekich i innych - założenie jak wiemy z niedawnej historii zakończonych - usiłowani. Co zaś do Zachodu, to ten - choć z zasady i do ducha demokratyczny, reformowalny i antyutopijny - w sytuacji narastającego /choć niekoniecznie zbrojnego/ konfliktu z "real socjalizmem" i jednoczesnego nabrzmiewania "ciemnych wewnętrznych sprzeczności, co zawsze sprzyja rozwojowi totalitarnej złądy, też niekoniecznie i nie zawsze musi okazywać się wart miana "społeczeństwa otwartego". Nie jest więc i nie może być przesądzone, że czeka nas na tej drodze jakakolwiek lepsza przyszłość, ale że jest nadzieja, o t...

świadczy dzisiejszy, zmierzający do nieuchronnego rozpadu, głęboki kryzys całej formacji komunistycznej, świadczą dzisiejsze przemiany w Kościele, który z instytucji przytłaczającej człowieka staje się stopniowo i bez wahań Kościołem Wspomagającym. Jeśli po dzisiejszej epoce prowadzącej kod dogmatyzmu Reformacji i zapetrzonej w przeszłość - zwykła jeszcze bardziej dogmatycznej - Kontrreformacji, czeka nas Oświecenie jakiegokolwiek, to tylko na tej drodze. W każdym razie dla piszącego te słowa wyzwalanie się ludzkiej świadomości ze złud i dogmatów wiary w owe "przepisy na totalne zbawienie ludzkości" na rzecz "wytrwałej próby stopniowego usuwania warunków stwarzających możliwe do uniknięcia cierpienia" jest zasadniczym problemem politycznym naszych czasów, o wiele ważniejszym i bardziej ważącym na przyszłość świata niż jakakolwiek walka "socjalizmu z amerykańizmem" lub na odwrót. Odbiegłem trochę na rzecz własnych rozważań od książki, ale sprawa wydaje mi się zbyt ważna, by jej nie dopowiedzieć do końca i po swojemu, choć akurat nie dopowiada jej w ten sposób sam autor.

Kimże bowiem jest Kołakowski w ogóle, a w szczególności w swej ostatniej książce? Bezlitosnym grabarzem marksizmu ze swego trzytomowego fundamentalnego dzieła *Główne nurty marksizmu. Powstanie - Rozwój - Rozkład*? Filozofem przywiązany przez sentyment młodości do lewicy, a przez rozsądek wieku dojrzałego do liberalizmu, przez co uwikłany w beznaściwną sprzeczność między dwoma wielkimi Karolami - Marksem i Popperem? Autorem zgrabnych i pełnych zaskakujących paradoksów przypowieści filozoficznych, niby pieprzem kosmaczonych tytułowym diabelstwem? Dysydem politycznym wreszcie, członkiem byłego KSS KOR, członkiem kolejnego i gorzko zawiedzionego pokolenia apostatów od "real socjalizmu", tym razem ofiar czystki 1968 roku? Na pewno każdym w trochu - tym bardziej, że pisarz to wyjątkowo płodny - ale dla mnie jest Kołakowski nade wszystko jednym z najwybitniejszych orędowników tego antydogmatycznego nurtu, o którym tu była mowa, myślicielem i pisarzem zajmującym się upartym rozbijaniem wszelkich mitów, złud, "cudownych pomysłów" i "podniecających produktów ideologicznych", jakimi wciąż mamy się ludzka świadomość. Tak tłumaczy się dla mnie jego spór z marksizmem, zwłaszcza z marksizmem-leninizmem /żeby już przez miłosierdzie nie wspomnieć o tej wersji oficjalnej ideologii "real socjalizmu, którą złośliwi studenci nauk politycznych nazywają "marksizmem-leninizmem"/. Tak tłumaczy się jego polityczna i filozoficzna publicystyka ostatnich kilkunastu lat, tak tłumaczy się też jego spór z Popperem, choć spośród obu wielkich autor *Otwarte społeczeństwo* a ileż mu bliższy, tak tłumaczy się wreszcie jego spór z chrześcijaństwem, a raczej o interpretację chrześcijaństwa. Jest więc Kołakowski wielkim i nieustępliwym antydogmatykiem, rzecznikiem racjonalizmu - być może przedczesnym i przez to nieraz fałszywie rozumianym, co jest nieuchronnym udziałem tych wszystkich, którzy mają rację nie w porę, bo przecież czas kartezjańskiej jasności jeszcze nie nadszedł i być może nigdy nie nadejdzie, a słowo "kontrreformacja" byłoby lepszą analogią na określenie czasów, w jakich żyjemy.

Najlepsze, najbardziej płodne, najszerszego upowszechnienia godne stronicę pisarstwa Kołakowskiego - zarówno z jego trzytomowego sporu z marksizmem, jak i z obfitej jego publicystyki - to takie, gdzie wylewa kubeł zlanej ożywej wody na współczesne rozpalone głowy, oburzone totalitarną złudą jakiegokolwiek maści. Co ma do przeciwstawienia utopiom, najrozmaitszym - a zwykle do opłakanych skutków prowadzącym - wierzeniom w możliwość zbawienia człowieka tu na tej ziemi? Niewiele. Właściwie tylko rozsądek i umiarkowanie, uważna staranność w oddzielaniu tego, co racjonalne i dające się udowodnić, od tego, co leży już w sferze wiary. Odwagę atakowania właśnie spraw kłopotliwych, niejasnych, takich gdzie konstatuje niewiedzę lub chociażby dwoistości problemu gotowi jesteśmy zastępować dogmatem lub najwymowniejszym. Propozycje, by być "konserwatywno-liberalnym socjalistą", co pozornie tylko jest sprzeczne, a tłumaczy się dobrze na proponowanej przez Kołakows-

kiego płaszczyźnie racjonalnego minimalizmu, gdzie nie ma wprawdzie "zadanych cudownych pomysłów przynoszących ludziom doskonałą jedność i powszechne braterstwo", lecz która: "Wymaga związania się z pewną liczbą wartości podstawowych - z wolnością, równością szans, z gospodarowaniem zorientowanym na człowieka i publicznia kontrolowanym. Ale ponadto żąda solidnej wiedzy i racjonalnej kalkulacji, jeśli musimy uświadomić sobie i badać tak dokładnie jak to tylko możliwe warunki, w jakich mają być owe wartości urzeczywistnione".

Jest tam jeszcze coś nie mniej ważnego i ożywczego niż odtrutka na dogmatyzm: właśnie rola wartości, których nie można - jak w "real socjalizmie" - dowolnie manipulować w zależności od ich "klasowej treści". Według Kożakowskiego wartości podstawowe, takie jak wolność czy prawa człowieka, są niezmiennikami niezależnymi od stosunków społecznych, a zwłaszcza produkcji; jeśli je uznajemy - obojętnie czy pobudki nasze są religijne czy laickie - możemy dopiero zbliżyć się do ich realizacji poprzez usuwanie przyczyn dającego się usunąć zła w owych "nałożonych przez naturalne ramy ludzkiej egzystencji" granicach. W tym łączy się publicystyka Kożakowskiego z publicystyką filozofa innej zupełnie formacji, a mianowicie ks. Józefa Tischnera z ostatniej części jego wydanej przed paroma miesiącami przez "Znak" książki *Myślenie według wartości*. Nawiasem mówiąc szkoda, że ta właśnie ostatnia, najbardziej publicystyczna w najlepszym sensie tego słowa część książki Tischnera, nie została wydana osobno, mając szansę stać się lekturą dla każdego, podobnie jak powinny być taką powszechną lekturą antydogmatyczne teksty Kożakowskiego, ale tu już można w "real socjalizmie" liczyć tylko na wydawnictwa podziemne. Publicystyka filozofów /o ile są oni publicystami/ bywa bowiem - przez szansę społecznego oddziaływania - ważniejsza od ich czysto filozoficznych dzieł, o czym powinni wiedzieć wydawcy, choć samym autorom bliższe być mogą teksty naukowe.

Tak antyutopista Kożakowski występujący przeciw wszelkim dogmatom, a zwłaszcza dogmatom marksistowsko-leninowskim, głoszący, iż "marzenie o ostatecznym zbawieniu na ziemi jest rozpaczą przebraną za nadzieję, żądzą władzy przebraną za pragnienie sprawiedliwości", doprowadza swe eseje do części ostatniej *Kłopoty z Polską* do czasów "Solidarności", a nawet i "KOR-y, bo kończące książkę *Postawie* do *postawia* datowane jest w pięć tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego. I właśnie w tych najostatniejszych, lecz najbliższych naszym nadziejom i cierpieniom, tekstach czeka nas najgłębsze i zupełnie niespodziewane rozczarowanie, przestaje bowiem autor być chłodnym antydogmatykiem tropiącym mity. Trudno odeń wymagać, aby analizował błędy i wzloty posierpniowej odnowy z nie wybaczącą nikomu przenikliwością Jadwigi Staniszkis /patrz *Revolucji się nie robi*, ona przychodzi sama "Wektory" nr 1/1981/ - kraj i współczesnictwo w jego bolesnych przemianach dają inną perspektywę niż obserwacja z zagranicy, żal jednak, że znakomity filozof ulega obiegowym mitom na ostatnich stronach swej mitoburczącej książki. Wprawdzie w postawiu pisanym jako "ocena sprawy polskiej na dzień 22 lipca 1981 roku" dopomina się o poszanowanie złożonej różnorodności Polaków wbrew popularnym - jak pisze - "na emigracji" /a w kraju to nie?/ uproszczeniom stawiającym niby w czarno-białym schemacie, po jednej stronie rzekomo jednolite "spłeczczeństwo", a po drugiej tak samo monolityczną "władzę"; na tym jednak się kończy demitologizacja dni, kiedy pomiędzy Odrą i Bugiem mity i piękne złady obrodziły niemal tak obficie jak nienawiść do systemu. Właściwie w dniu 22 lipca, a więc po IX nadzwyczajnym zjeździe PZPR, gdzie do głosu i Komitetu Centralnego doszły wojskowo-maźomiasteczkowe "siły żądu i porządku", partyjna reprezentacja polskiego Ciemnogrodu z minimalnym tylko udziałem wielkoprzemysłowych robotników i inteligencji uniwersyteckiej, wszystko już zostało stracone i może się być jedynie spierać o sposób oraz datę akcji dowodzonej przez generała w ciemnych okularach. Natomiast skutecznie wypróbowana przez KOR w późnych latach siedemdziesiątych taktyka "odwojowywania" od władzy kolejnych obsza-

rów życia podniesiona do rangi strategii 10-milionowego związku już od początku musiała - bez wewnętrznych reform w systemie komunistycznym - doprowadzić do katastrofy. A był to przecież czas, kiedy co bardziej zadufanym i mitomańskim przywódcą "spokojnej rewolucji" wydawało się, że już, już, tylko trochę mocniej przycisnąć i machina "dyktatury nie tyle proletariatu, ile aparatu" runie jak domek z kart. Był to czas wyjątkowych erupcji utopiijnych recept na rzekome zbawienie Polski, dogmatycznej wiary w nieziszczalne przonki, politycznej głupoty i ciasnych szowinizmów po obu stronach dzielącej kraj barykady. I co - i cisza? Czyżby wypowiadać się o tym mieli tylko Koźniowski z Urbanem? Prawda, był to czas wspaniałej postawy nas, determinacji i nadziei, ale też czas wielkiej zaprzepaszczonej szansy, za co odpowiedzialność obciąża nie tylko Moskwę, nie tylko pozał się Boże "demokratycznie wybrany" KC PZPR, nie tylko wojskowych politruków z GZP, ale także nas, nas "Solidarności". Prawda, że w mrocznych czasach dzisiejszych potrzebujemy pokrzepienia serc, ale rozumowi bardziej potrzebny jest surowy i niedogmatyczny sędzia.

Pisze Koźniowski i całkiem słusznie /powtarzając swój sąd z III tomu Głównych nurtów marksizmu/, że ostatnią zywą formacją ideową w komunizmie był rewizjonizm 1956 roku, wszystko co potem, było już martwe. Owszem, martwi ideowo byli też partyjni odnowiciele z okresu październikowego, przymuszający wystraszone kierownictwo do zgody na pierwsze w historii tej partii jako tako wolne wybory i na niechciany IX nadzwyczajny zjazd. Ale właśnie dlatego, że znaleźli się oni w komunistycznej partii już bez wiary i miłości jak ich poprzednicy z wielkich czasów rewizjonizmu /Polska 1956, Czechosłowacja 1968/, byli niedogmatyczni i nieskonni do utopii, to, co proponowali nie mogło być już ani manifestem, ani porywającą wizją, lecz zgrabną bo zdroworozsądkową propozycją ułożenia wspólnych spraw w Polsce tu właśnie położonej. Jednym z najbardziej gorzkich dramatów okresu październikowego jest ostateczne rozminięcie się antyutopiijnych, faktycznie niewierzących, a więc bliskich Koźniowskiemu, realistów z różnych stron i różnych ugrupowań. A zwłaszcza rozminięcie się z "Solidarnością" tego nurtu w partii mającej z konstytucyjnego zapisu rządzić Polską, więcej - odrzucenie go przez "Solidarność".

SWIADECTWO NIEDOMÓWIONE

Tadeusz Drewnowski, Ty le h a ł a s u - o n i c ?, Warszawa, "Czytelnik" 1982, str. 199.

Tadeusz Drewnowski, rocznik 1926, publicysta i krytyk literacki, długoletni /od 1960 do grudnia 1981/ redaktor działu kulturalnego tygodnika "Polityka", a przedtem /1950-1955/ członek zespołu redakcyjnego i kierownik działu krytyki literackiej "Nowej Kultury", znany był dotąd szerszej publiczności przede wszystkim jako autor U c i e c z k i z k a m i e n n e g o ś w i a t a - książki o Tadeuszu Borowskim, a także ze swych samodzielnych, częstokroć źródłowych, mozołnych i dociekliwych badań nad osobowością i piarstwem Marii Dąbrowskiej, badań niedawno uwiecznionych pięciusetstronicową próbą epiki krytycznej - R z e c z ą r u s s o w s k ą .

I oto krytyk ten, wywodzący się ze szkoły socjologów, po części marksistowskich /"kuźnica", Stawar/, a po trosze jeszcze i pozytywistycznych, nie skrywający swych skłonności faktograficznych, swych upodobań "realistycznych" i "epickich", swej predylekcji do tego zwłaszcza, co można ustalić i przedstawić "obiektywnie" w sposób rozważny i rzeczowy, wolny od uprzedzeń i zniekształceń stronniczych, krótko mówiąc, przedstawiciel gustu ostentacyjnie niemodnego, zgoda nieoczekiwanie puścił się na zdradliwe fale narracji osobistej i dał nam książkę z gatunku wspomnień.

Zastrzega się co prawda w krótkim słowia wstępnym do niej /datowanej 10 III 1980/, że nie zamierzał iść w ślady niektórych swoich kolegów-rówieśników, autorów publicznych zwierzeń i lirycznych spowiedzi, kolorystatorów bądź demaskatorów, brązowników bądź mitoburców, fanaronów bądź biczoników, weredyków bądź sowizdrzałków, czy wrzeszące krotocwilnych bajarzy i bezkrytycznych harcowników na niwie baletryzowanego pamiętnikarstwa, i że ani mu pozostało w głowie podejmować współzawodnictwo z pokoleniowymi mfinchhausenidami /w literacko szlachetniejszym i mniej szlachetnym sensie tego określenia/. Drownowski wymienia w tym miejscu K a l e n d a r z i k l e p s y d r e Tadeusza Konwickiego, P a m i ę t n i k m o i c h k s i ą ż e k Romana Bratnego oraz L i t e r a t u r e Wiktora Woroszyńskiego; w dalszym zaś fragmencie nawiązuje polemicznie do wspomnienia Woroszyńskiego N a s z a ł ó d z k a m ł ó d ó ś ć, ogłoszonego w pierwotnej postaci w książce zbiorowej T r a n z y t e m p r z e z ł ó d ź /1964/. Tę samą polemiczną intencję, obecną w szkicu traktującym o powojennych wstąpieniach komunistycznych zarówno samego autora, jak bliskiej mu pod względem ideowym grupy młodzieży studenckiej, w szczególności polonistyczno-literackiej nazwanej ongiś pokoleniem "pryszcząt", tę nutę zaczepną, nutę sporu - wyczuwa się również w warstwie wspomnień okupacyjnych.

W pierwszym przypadku polemika Drownowskiego - o wiele bardziej zresztą sentymentalna niż intelektualna, uczuciowo samobronna, myślowo natomiast nieakuteczna - odnosi się bez wątpienia do nurtu piśmiennictwa rewizjonistycznego /jakkolwiek termin ów nie pojawia się w tekście ani razu/. Odnosi się zatem do nurtu, wpięty gwałtownie, a następnie systematycznie nicującego niewczesne uniesienia, pomyłki i złudzenia przyszczatej młodości, nurtu nieufnego, stopniowo odepinającego kamienne niebo komunizmu, jego pustą obietnicę: mit o powszechnej sprawiedliwości, i jego rzeczywistą funkcję jako narzędzia przemocy w skali planetarnej. Szyderczemu biegowi dziejów, co filozofię wyzwolenia społecznego obrócił w pośmiewisko, oż można dzisiaj przeciwstawić? Wygastym popiołom - jakie jeszcze złudzenia? Co najwyżej można jeszcze neutralizować zbyt ostrą prawdę świadomości zbiorowej - niuansami oświetlenia i ciepłem prywatnej pamięci.

Autor T y l e h a ł a s u - o n i c ? pochyla się więc nad cieniami przepędnych wartości i nad dokumentami przegranych spraw, usiłując zwińścić w szkicu wspomnieniowym ł ó d ź - m o j a r e w o l u c j a, najbardziej osobistym w całym tomie, wskrzesić klimat świętego zapału, zafascynowania, zaru i porywu ideowego, szczególnie klimat i barwę wieku niewinności, kiedy to rewolucyjna doktryna marksizmu-leninizmu - mająca niezadługo i w tym kraju stać się doktryną urzędową, obowiązkowo chociaż nader opornie wpajaną w dusze obywateli - jawiła się naiwnym oozom bardziej jako "siła moralnego gestu", by użyć sformułowania Ortega y Gasseta, niż jako przykrywka dla poczynna totalistycznej władzy. Drownowski opisuje kółka premiera marksistowskich kadr w naukach humanistycznych i krytyce literackiej, seminarium "Kul-nicy", referaty i potyczki na dorocznych zjazdach polonistycznej młodzieży; wiele miejsc poświęca też środowisku i działalności skrajnie lewicowej organizacji studenckiej AZWM "Życie", do której, w latach 1946-48, należeli m. in. Leszek Kołakowski, Józef Kępa, Władysław Markiewicz, Ryszard Herczyński, Kazimierz Kąkol, Andrzej Braun, Wiktor Woroszyński, i naturalnie sam autor wspomnień. Ofiarą praca, zapamiętała nauka, niezwykła aktywność ideotwórcza, przebijowość intelektualna, gorliwość prozelitów i apostołów, i niemata porcja sekolarstwa składająca się na obraz tej grupy w książce Drownowskiego. O dziwo, pamiętnikarz nie zastanawia się wcale, w jaki sposób tak różni ludzie znaleźli się w tak dziwnie niedobranym i zgoła dwuznacznym /patrzac z późniejszej perspektywy/ towarzystwie, i co z tego wyniknęło dla ustroju, który wspólnie obmyślili i przez pewien czas zgodnie budowali. Więcej, w każdym razie, w szkicu ł ó d ź - m o j a r e w o l u c j a barw jasnych niż ciemnych, więcej przywiązania niż zdziwienia filozoficznego, więcej sentymentu niż autoironii czy drwiny, i więcej dobrośliwości niż krytycznego dystansu.

Pisząc Łódź - moją rewolucję, a potem Niezapomniany okres miniony - rzecz o socrealistycznym epizodzie i stalinizmie w polskim wydaniu, Drewnowski wychodzi z milczącego założenia o normalności i jakby oczywistości tego wszystkiego, o czym w obydwu tych szkicach mówi. Potępia, rzecz jasna, polityczne nieprawości okresu, wymienia niektóre słabości i błędy inteligencji, szczególnie środowiska literackiego /"... poddaliśmy się wulgaryzacji i zbarbaryzowaniu... Postępowi pisarze zawiedli zaufanie, jakim od dawna cieszyli się w społeczeństwie"/, ale przyjęta skala ocen, ogólny ton relacji, rozłożenie akcentów, proporcje - są takie, że zjawiska normalnie problematyczne i pod każdym innym względem nienormalne wyglądają w ujęciu pamiętnikarza jak normalne. Powstaje wrażenie, iż, ogólnie rzecz biorąc, stalinowski "okres miniony" nie był aż takim złem i koszmarem, jak go apostaci komunizmu, rewizjoniści i moralści malują; że być może, pisarze rewizjonistyczni i im podobni po prostu przesadzili. Zajrzyjmy do omawianej książki wspomnień. Cóż się okazuje? Normalnie przebiega staż autora w redakcji "Literaturnoj Gaziety" w roku 1952. Sama ta gazeta funkcjonuje jak w każdym uwilizowanym kraju, zupełnie normalnie: "Przewadzono tam solidne archiwa, dbano o dopływ materiałów ze wszystkich zróżnicowanych obszarów ZSRR i selekcję pod kątem ogólnozwiązkowej przydatności, sprawdzano nie tylko główne fakty, ale i najdrobniejsze realia, nie mówiąc o przypatrywaniu się przez lupę każdemu słowu. Nieraz razem z zastępcą redaktora Borisem Kosolepovem, faktycznym kierownikiem redakcji, ślezcąłem nad kolumnami gazety i przypatrywałem się, jak przeprowadza ich ostatni szlif". Normalne też było, że po śmierci Stalina Drewnowski wymyślił do numeru żałobnego "Nowej Kultury" - "montaż tekstów literackich, radzieckich i polskich, ułożonych według rotacji przysięgi Stalina nad grobem Lenina /zwał się D o t r z y m a n a p r z y s i ę g a i tak się spodobał Jurkowi Wittlinowi, że przystosował go na użytek młodzieżowych wieczornic i natychmiast opublikował w "Iskrach"/. A wreszcie postrach ówczesnej literatury, Grzegorz Iasota, to przecież nikt inny, tylko serdeczny kolega "Grześ Iasota". Czyli wszystko w porządku.

Dopiero w zamykającym książkę szkicu Warszawa dla w n u k ó w pamiętnikarz opowiada, jak począł gubić się duchowo w świecie, który dotąd jawił mu się bliski i znajomy, jak poczucie bezpiecznej normalności i zadowolenia zniknęło, ustępując miejsca czemuś nieprzewidzianemu i nienazwanemu. Kiedy to miało miejsce? Około połowy lat sześćdziesiątych?

"W każdym razie wówczas pojawiło się groźne, a nie mające wiele wspólnego z niewinnym miasteczkiem zewołanie: «Mława idzie!» I ten element ciemny, lumpowski ośmielał się, atakował coraz bezkarniej, by dojść do głosu na warszawskiej ulicy w marcu 1968. Jakież rzekomo ORENOWskie oddziały pańkowały zdemonstrujących studentów. Jakies pseudo-robotnicze bojówki pikietowały warszawskich literatów, kiedy obradowali na słynnym zgromadzeniu w Domu pod Królami. Tę szumowinę określalem sobie słowami Stefana Czarnieckiego: ludzie luźni w służbie przemocy. W Warszawie, od lat, przynajmniej w ważnych chwilach, tak solidarnej i bezbłędnej w zasadniczych odruchach, z przerażeniem dostrzegałem wybuchy dzikości i fanatyzmu, które okazały się jedynie zewnętrzными symptomami dużo głębszych i groźniejszych schorzeń, jakie objawić miała przyszłość".

W układzie całej książki jest to jednak tylko napomknienie, wtrącony epizod. Nagła smuga cienia. Przeważa co innego. Zwykłość, normalność, stabilność, przejrzystość.

Wszakże czytelnik, przytłoczony stanem wojennym i jego następstwami, czytelnik anno 1982, ani nie będzie umiał zrozumieć, ani tym bardziej nie zechce dzielić z autorem "miękkiego", lirycznego podejścia oraz usprawiedliwiającego punktu widzenia, z którego opisuje on i osądza lata "łagodnej rewolucji" i późniejsze. To znaczy historyczny i logiczny początek obecnego położenia. Na odwrót. Wszędzie tam, gdzie autor zdaje się widzieć ceną wspólno-

ta ideową przypominającą natężeniem ofiarnej aktywności i wysokim płomieniem wiary/wiary w "sprawę robotniczą"/ życie pierwszych gmin chrześcijańskich, czytelnik zobaczy niechybnie przewrotną maskę diabła. Zobaczy wiadome oszustwo. Podstępne nadużycie socjalistycznych symbolów, poetaw, wartości. Zapowiedź ich całkowitego skorumpowania, rozkładu, degeneracji i zniszczenia.

Czytelnik ów /a innego w Polsce nie ma i długo nie będzie/ nie mógł z perspektywy swych społecznych doświadczeń nie uznać za celną uwagi wycytowanej we wspomnieniach Arthura Koestlera: "Na przestrzeni zaledwie trzech pokoleń ruch komunistyczny przeszedł z epoki Apostołów do epoki Borgiów". Wiadział, jak opisana przez Koestlera i innych zachodnich eks-komunistów dekadencja mitu "społeczeństwa przyszłości" osiągnęła najpierw fazę "realnego socjalizmu", by wkrótce wkroczyć w nową, jeszcze dziwniejszą i bardziej uciążliwą stadium - socjalizmu generalskiego. Nic przeto dziwnego, że chciałby postawić autorowi książki Tyle hałasu o nic?, a szczególnie dwóm najobszerniejszym w niej szkicom wspomnieniowym, najobszerniejszym i o największym gatunkowym ciężarze, tódź - mojs rewolucja i wie z e p o m n i a n y o k r e s m i o n y - pewien trudny do uchylecia zarzut. Zarzut nieomówionego świadectwa.

Na czymże bowiem polega nieprawda tych wspomnień? Z pewnością nie na zamiarze okłamywania siebie samego. Ani nie na świadomym zwodzeniu bliźnich. A jednak, choć "prawdziwe" w intencji autorskiej - będą nieuchronnie oceniane jako "nieprawdziwe" w czytelniczym odbiorze. Gdyż ich zawartość, styl mówienia, tkanka pojęciowa, pułap językowych i poznawczych możliwości, wszystko to różni się od stana umysłów. Natrafia na barierę recepcyjną, czyli zupełnie inaczej zorientowaną i odrinnie niż samemu reagującą publiczność. Drugo by mćwić o powołach tej przemiany, które miały piszczyk zaszkoczyć. Jeśli idzie o gatunek wspomnień literacko-poetycznych /do których najbliżiej książce Drewnowskiego/, jedno wydarzenie co najmniej wpłynęło tutaj decydująco na przekształcenie stylu odbioru. Mianowicie opublikowanie w 1960 roku w i e k u Aleksandra Wata. Z tą chwilą ekwilibrystyczne i potwornie irytujące, a przecież szeroko przez inteligencję czytane, wieloczęściowe "Wiek w i e k u Jerzego Putramenta przestało być jakiegokolwiek poważnie traktowanym punktem odniesienia. Horyzont i miarę wielkiego i prawdomównego omówienia współczesnego wyznaczył swój książką Wt. Wspomnienia Tadeusza Drewnowskiego, niestety, lokują się ciągle jeszcze w horyzoncie nowy niedomówionej, czyli dużo bliżej Putramenta niż Wata. Stąd odczuć ich anachronizm, "nieprawdziwość", a co najmniej niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo przede wszystkim w planie sensu, nie zaś tylko w planie faktów przywołanych.

PODRĘCZNIK POWOJENNEGO DWUNASTOLECIA

Krystyna Kersten, Historia polityczna Polski 1944 - 1956, "Krağ", Warszawa 1982, str. 112.

Od dawna już odczuwana była potrzeba syntetycznego podręcznika przedstawiającego najnowszą historię Polski, a zwłaszcza okres powojenny. Po sierpniu potrzebę taką wyraziły liczne środowiska. Wydane oficjalnie książki: N. Kołomojczyk, B. Syzka Polska w latach 1944 - 1949 Warszawa 1969 i 1971 oraz Władysław Góry Polska Rzeczotwo-polita Ludowa /Warszawa 1976/, nie mogły służyć poznawaniu skomplikowanych powojennych dziejów. Były bowiem apoloją polityki partii komunistycznej we wszystkich okresach jej działania, przemilczały istotne fakty, fałszowały inne. Podobny charakter miały inne publikowane syntezy /np. stosowne rozdziały w Dziejach Polski, Warszawa 1976 i Zarz-

sie historii Polski wyd. 1979/. Wiele interesujących relacji i opracowań, dotyczących wszakże głównie historii niepolitycznej, społecznej i gospodarczej, rozrzuconych było w czasopiśmie naukowych i popularnych. Nieliczne wartościowe, choć niepełne wskutek działań cenzury monografii /np. E.Kozika Partie i stronnictwa polityczne w Krakowskim 1945 - 47, wyd. 1975/ nie mogły wypełnić luki jaką stwarzał brak podręcznika pisanego bez tematów tabu i koncesji na rzecz obowiązującej linii propagandowej.

Ukazało się na emigracji wiele przyczynków i dokumentów zamieszczanych przede wszystkim na łamach paryskich *Zeszytów Historycznych* oraz pamiętników ozywnych w pierwszych powojennych latach polityków opozycji - Stanisława Mikołajczyka, Stefana Korbońskiego, Karola Popiela. Na obczyźnie opublikowano pierwsze bardziej całościowe opracowania. Tadeusz Żenczykowski wydał książkę o roku 1945. Jakub Karpiński /Marek Tarniewski/ jest autorem niewielkiego szkicu pt. *Pochodzenie systemu traktującego o latach 1944-48*, monografii roku 1956 - *Porcja wolności* oraz książki o marcu 1968 - *Krótkie spięcie*. Wszystkie te pozycje zostały za pośrednictwem niezależnych wydawnictw udostępniłone szerszemu kręgowi czytelników w Polsce. Ostatnio ukazały się dwie książki Andrzeja Micewskiego - *Współrządczy niekłamac. PAX i ZNAK w Polsce 1945 - 1976*, Paryż 1979, oraz *Kardynał Wyszyński. Prymas i mąż stanu*, Paryż 1982. Formą pośrednią między publicystyką o celach aktualnych a dziejopisarstwem był esej Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*, Paryż 1977.

Historycy krajowi wielokrotnie namawiani na pisanie powojennych dziejów, zaskaniali się brakiem dostępu do źródeł. Niezwykle ważne dokumenty przedstawiające politykę partii, stronnictw, zawierające sprawozdania i wytyczne, zamknięte są w sejfach, do których tylko nieliczni zaufani mają dostęp. Nie są wydawane pamiętniki działaczy partii, a te które publikowano /np. Jerzego Putramenta/ są pozbawione większej wartości poznawczej. Trumaczenie się brakiem dostępu do źródeł jest tylko częściowo usprawiedliwione u historyków. Nie wiadomo przecież jak długo jeszcze będą zamknięte sejfy, a tymczasem białe plama w historii ostatnich prawie czterdziestu lat jest ogromnie dokuczliwa. Jakub Karpiński spróbował pisać historię od strony działań społeczeństwa posiłkując się tylko oficjalnymi enuncjacjami władz. Metoda ta stosunkowo najlepiej sprawdziła się w opisach momentów kryzysowych PRL, gdy społeczeństwo aktywizowało się i ujawniało swoje gążenia. Nie przypadkiem trzy książki Karpińskiego - o latach 1956, 1968 i 1970 poświęcone są właśnie takim zakrętom historii.

W krajowym, niezależnym obiegu wydawniczym ukazało się szereg opracowań przedrukowanych za czasopismami emigracyjnymi a także prace oryginalne, wśród których wymienić trzeba Tadeusza Kowalika *Spory o ustroj społeczno-gospodarczy Polski 1944 - 1948* /Nowa 1979/, Jerzego Holzera *Agonia PPS. Socjaliści polscy w sojuszu z PPR* /Nowa 1981/; po raz pierwszy szkic ten drukowany był w "Krytyce" wraz z obszernym wyborem dokumentów. Również na łamach "Krytyki" opublikowane szkice *Revolucja 1944 - 1948 w Polsce czyli o genezie i mechanizmach dyktatury*, przedstawiający obraz ustawodawstwa represyjnego, relacje dotyczące pogwałcenia prawa w tym okresie, fragmenty pamiętników Romana Zambrowskiego, protokołów otwarcia archiwum Bolesława Bieruta, spisane z taśmy magnetofonowej wspomnienia Stefana Kisielewskiego, fragmenty pamiętników i listy Jerzego Zawieyskiego. Wydawnictwo "Głos" prócz szczegółowych artykułów, ogłosiło stenogramy posiedzeń władz naczelnych PSL /wyd. 1981/. Wydawnictwo RMP natomiast upowszechniło opracowanie o więziennictwie pierwszego uziściocielecia PRL. Podręcznika jednak dotąd nie było.

Profesor historii Krystyna Kersten opublikowała dotychczas dwie duże monografie - Polskie Komitet Wyzwoleń Narodowe /Lublin 1965/ oraz Repatriacja ludności polskiej po II wojnie światowej /Łódź-Warszawa... 1974/. Była także współautorem pracy Polska Ludowa 1944 - 1950. Przemiany społeczne /Łódź-Warszawa 1974/. Historia polityczna Polski 1944 - 1956 powstała w 1981 roku, a jej fragment wyszedł w drukarni NSZZ-Solidarność Zakładów "Ursus". W końcu 1981 druk książki zapowiadał "Tygodnik Solidarność". W 1982 r. całość ukazała się wreszcie nakładem wydawnictwa "Krağ".

Historia polityczna Polski... oparta jest o wieloletnie badania własne autorki, znajomość literatury przedmiotu, szeroką /na ile jest to możliwe/ kwerendę w krajowych, a w pewnym stopniu i zagranicznych archiwach. Wykorzystano także relacje wielu czynnych wtedy ludzi. Jest to podręcznik względnie popularny, przedstawiający w miarę krótko, choć bez uproszczeń, dzieje pierwszych 12 lat Polski Ludowej.

O zaletach można by długo, bo dzieło ma wyjątkowe znaczenie dla kształcenia wiedzy historycznej i świadomości mechanizmów politycznych PRL; również dla profesjonalistów będzie wydatną pomocą w dalszych badaniach. Zamiast komplementować autorkę i wydawnictwo, spróbujmy spojrzeć nie tyle na wady, ile pewne niedomówienia książki czy też pożądane kierunki dalszych dociekań. Nie na stron, które można by usunąć bez szkody dla tekstu, przydałyby się natomiast strony dodatkowe.

Obraz dziejów tych lat można by poszerzyć przez ukazanie historii politycznej na tle historii społecznej: warunków życia ludności, zniszczeń i strat wojennych, odbudowy gospodarczej, migracji i wynikających stąd różnic między różnymi częściami kraju. Koszmarne przeżycia lat wojny, straty biologiczne, przemieszczenia ludności powodowały rozbitcie dotychczasowych struktur społecznych, erozję systemów wartości i założeń ideowych, przyczyniając się do łatwiejszego opanowania społeczeństwa przez nowy system. Również złożone stosunki między autochtonami, osadnikami i władzą na obszarach niezamieszanych składowe etnicznie opisane są zbyt lakonicznie. Można by rozwinąć fragmenty wyjaśniające sytuację na Górnym Śląsku, Warmii i Mazurach oraz w białostockim i rzeszowskim. Społeczna wiedza na ten temat jest przeciętna, pełna uproszczeń i stereotypów.

Zbyt skrótowo pisze autorka o genezie i pierwszym roku funkcjonowania nowej władzy, do czasu powstania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, w czerwcu 1945. Gdyby choć pobieżnie przedstawiła sytuację kraju jeszcze pod okupacją niemiecką, nie tylko represje, ale także kształt i rozległość polskiego państwa podziemnego, uzyskalibyśmy jeszcze jedną perspektywę spojrzenia na lata 1944-45, kiedy organizująca się nowa władza zderzyła się z budowaną przez kilka lat, dobrze zakorzenioną w społeczeństwie konspiracją. Interesujące również byłoby zaprezentowanie zakresu wpływu i ewolucji programowych sił, które w 1944 utworzyły PKWN, a więc PPR i komunistów polskich w ZSRR. Brakuje omówienia sytuacji wewnętrznej stronnictw tworzonych w Polsce lubelskiej, eżabych przecie i niesamodzielnych, ale później rozwijających się i nabierających autentyczności /np. Stronnictwo Ludowe z Balczykiem na ciele/. Można by więcej napisać o zasadach tworzenia administracji, sądownictwa, wojska, milicji, aparatu bezpieczeństwa i innych instytucji.

Obraz Polski lat 1945-48, przedstawiony klarownie i sugestywnie, byłby pełniejszy, gdyby został wzbogacony o opis skomplikowanych układów wewnątrz stronnictw legalnych i w ugrupowaniach podziemnych. Jaką koncepcję dalszego rozwoju wydarzeń i jaką wizję przyszłej Polski miały PSL, SP, PPS oraz LN, SN, NSZ, jak ewoluowały one w czasie, w następstwie zmieniających się warunków. Czy PPR była partią przez cały czas dążącą do modelu więcej więcej radzieckiego czy dopiero rozwój wydarzeń kierował ją ku takiej koncepcji? Czy istniały w PPR podziały - np. na "krajowców" i "ZPP-owców", jak od 1968 sło-

si propaganda, czy też były bardziej złożone? Znacznie trudniej odpowiedzieć na pytanie o granice suwerenności państwa: czy niedopuszczenie do legalizacji WRN i SN, rozprawa z SP a potem PSL, decyzje o sfałszowaniu referendum i wyborów zapadły w Polsce czy poza Polską? Łatwiej może dałoby się przedstawić wewnętrzne i zewnętrzne źródła przełomu 1946 r. Pełna stalinizacja w latach 1948-49 dokonywała się przecież bez oporu, nie tylko ze strony sił politycznych przedtem spacyfikowanych i rozbitych, ale także członków PPR, opowiadającej się za tzw. polską drogą. Czy nie była to konsekwencja atosowanej od początku polityki eliminowania wszelkich sił opozycyjnych? Być może model radziecki był już wcześniej jedynym jaki PPR-owcy w sobie nosili, a ożegnwanie się od takiej sugestii wypływało z potrzeb taktycznych /względ na stosunki z Zachodem, chęć niepomniejszenia liczby przeciwników w sytuacji nieugruntowanej jeszcze pozycji nowej władzy/. Wszak już w 1945 na szereg zebrań organizacji PPR domagano się proklamowania w Polsce dyktatury proletariatu. Gdyby spojrzeć z tej perspektywy, trzeba by uznać, że początek zimnej wojny, powstanie Kominformu i konflikt z Jugosławią zbiegające się z rozbićciem opozycji, stworzyły tylko sprzyjające warunki dla wprowadzenia od dawna upragnionego systemu radzieckiego, stalinowskiego.

Możliwości porównywania i wyciągania wniosków dałaby metoda szerszego zestawiania wydarzeń w Polsce i innych krajach bloku, w tym ZSRR, a także rozgrywek na arenie międzynarodowej. Przy omawianiu niektórych zagadnień autorka zwraca na to uwagę /np. przy likwidowaniu partii chłopskich, przy jednoczeniu socjalistów z komunistami/, kiedy indziej rezygnuje z szerszego tła i porównań systemu w Polsce i innych krajach.

Część druga, dotycząca okresu stalinowskiego, jest wyraźnie wyodrębniona. Nie tylko zajmuje mniej miejsca, ale została napisana w innej konwencji. W części pierwszej dominuje spis chronologiczny, w drugiej problemowy. Nie jest to zarzut, gdyż po pierwsze dynamika wydarzeń jest po 1948 mniejsza, po drugie w ujęciu problemowym łatwiej omówić zasady ustroju państwa i politykę partii wobec różnych grup społecznych oraz rozmaite metody działalności /terror, ideologia, ekonomika/.

Odczuwa się brak bardziej szczegółowego wykładu dotyczącego partii i jej aparatu, różnych grup w centrach, problemu dzieła czy pochodzenia żydowskiego, roli doradców radzieckich, czynnych nie tylko w bezpieczeństwie i kierujących nie tylko wojskiem. Można by się zstanać nad relacjami między kierownictwem partii a ministerstwem bezpieczeństwa. Problemy te rzutowały na genezę wydarzeń roku 1956. Jakże były motywacje i system myślenia młodych intelektualistów partyjnych, dłaczego zaakceptowali i propagowali stalinizm, a następnie zbuntowali się i odrzucili gorset często już na trwałe? Czy kierownictwo partii nie było podzielone cały czas, mimo pozorów jedności, choćby na działaczy byłej KPP, czynnych podczas wojny w ZPP /Berman, Minc, Zambrowski, Ochab/, i tych, którzy przeszli przez radziecki aparat partyjny i państwowy /Nowak, Mazur/. Czy nie było w tym wypadku różnych powiązań i zależności, które zagrały wyraźniej w kilka lat potem? Wiadomo, że w 1954 r., po sprawie lekarzy, straceni Berlii, na początku ery Chruszczowa, usunięto z odpowiedzialnych stanowisk kilku aparatczyków pochodzenia żydowskiego, m.in. Leona Kasmana, Artura Starewicza, Stefana Staszewskiego; w kilka miesięcy później na II Zjeździe obniżyła się pozycja dalszych działaczy. Wiktor Jedlicki, autor pamfletu "C h a m y" i "Ż y d y", twierdził, że na tej fali destalinizacji usuwano skompromitowanych działaczy i w reakcji samoobrony zaczęli oni udawać liberałów i kokietować społeczeństwo, by ratować swą pozycję polityczną. Jest to zapewne pogląd uproszczony. Przynaloby się jednak ustosunkować do jego tez, upowszechnionych przecież dość szeroko. Inny autor, którego relacji nie można pominąć, to Józef Świątko, pułkownik UB, zbiegły z Polski w 1954 r. W książce jest wspomniany fakt jego ucieczki, ale brakuje ustosunkowania się autorki do tego, co powiedział przed mikrofonami RnE. W jakim stopniu mówił prawdę? W czym kłamał?

Rozdział ostatni, w którym mowa o początkach odwilży, można by wzbogacić o porównanie tego, co dzieło się u nas, z przebiegiem wypadków w ZSRR. W jakim stopniu program rolny Chruszczowa rzutował na politykę rolną PZPR i przyczynił się do zahamowania kolektywizacji? Czy "korekty" planu sześcioletniego w 1954 r., nie były reflekssem nowej polityki ekonomicznej Malenkowa? Do jakiego stopnia atak na bezpieczeństwo, do którego doszło na naradzie listopadowej 1954, był inspirowany przez towarzyszy radzieckich, a w jakim stopniu wynikał z oburzenia rewelacjami Swiatły, czyli z sytuacji wewnętrznej? By odpowiedzieć na pytania o przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne inspirację, trzeba by uciec się do analizy powiązań personalnych i do spekulacji. Mogłoby to zjawiając się na kartach podręcznika budzić pewien sprzeciw, niemniej jednak analiza taka byłaby pożyteczna.

Autorka zrezygnowała z przypisów, także bibliograficznych. Jest to uzasadnione w popularnym podręczniku. Niemniej przydałyby się odesłania do wartościowej literatury, wskazówki dla czytelnika, którego książka zachęci do dalszych lektur.

Wypada wspomnieć, że powyższe uwagi nie deprecjonują w niczym rangi książki profesora Krystyny Kersten. Historia polityczna Polski 1944 - 1956 jest podręcznikiem niezwykle cennym i szkoda, że nie trafi do każdej szkoły, każdego studenta, każdego zainteresowanego robotnika, wszystkich ciekawych przeszłości niezależnie od wykonywanego zawodu. Jeśli więc kilka propozycji uzupełnień zdecydowałem się przedstawić, to z myślą o przyszłym, oby bliskim i masowym wydaniu.

.....

ROZMYSLANIA NAD GAZETA

R O C Z N I C A

pisane w listopadzie 1982

Więc mamy tę rocznicę, którą godnie uczcić polecił już IX Zjazd PZPR w 1981 roku. I oto nadeszła - pod stanem wojennym. Stan wojenny rychło zmieni się w stan cywilno-policyjny, a obchody trwać będą nadal, bo rocznica to nie byle jaka: okrągłe stulecie.

"Trybuna Ludu", a za nią inne dzienniki i czasopisma w każdym numerze informują o akademiach, sesjach naukowych, wydawnictwach przygotowywanych dla uczczenia Rocznicy. Zawodowi i rocznicowi historycy dwoją się i troją, by nastarczyć artykułów, referatów, książek, a także tekstów okolicznościowych przemówień dla działaczy partyjnych.

I kogoż to tak czczą obrońcy ładu publicznego, spokoju i państwa, likwidatorzy największego robotniczego ruchu w polskich dziejach? Może setną rocznicę wydanej w Petersburgu, w maju 1883 roku Ustawy o środkach zachowania bezpieczeństwa państwa i spokoju publicznego, na podstawie której - jak pisze historyk - "można było w każdej chwili i w każdej miejscowości wprowadzić stan «wzmocnionej ochrony», co było równoznaczne ze stanem wojennym. Podczas «wzmocnionej ochrony» władze administracyjne mogły też decydować o zamykaniu zakładów naukowych i organów prasowych, a nawet przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych". /Leon Baumgarten, Dzieje Wielkiego Proletariatu, Warszawa 1966, str. 193-4/.

Może czczą pamięć znakomitej w swym fachu carskiej żandarmerii, komisji śledczych, prokuratorów sądów wojskowych, nadzorców K Pawilonu? Żarty na bok. Bohaterami rocznicowych akademii, sesji, wspomnień i artykułów prasowych są ich ofiary.

Dziwne doprawdy. Bo przecież trzeba im się przyjrzyć, co to za jedni. Ten Waryński na przykład. Niby student, ale nie studia mu w głowie. Paniczyk z tzw. dobrego domu, przez kilka lat ukrywa się pod fałszywymi papierami. Pi-sze i drukuje nielegalne ulotki, rozpowszechnia informacje mogące przynieść szkodę interesom państwa i wywołać niepokój publiczny. Nawiązuje kontakty z wrogimi ośrodkami na Zachodzie, zwłaszcza z polskimi i rosyjskimi emigrantami w Genewie. Czyta z zapamiętaniem podlegające "manifesty". Powraca do kraju po to, aby jątrzyć. Usiłuje wykorzystać sytuację gospodarczej i pod pozorem obrony jej interesów dążyć do przekształcenia kas i kótek robotniczych w partię polityczną, mającą na celu zdobycie władzy. Wraz z innymi podobnymi mu agentami /wśród których nie bark Mendelsonów, Konów, Diksztajnow/ zakłada w roku 1882 partię socjalno-rewolucyjną "Proletariat", której skład i działalność mają pozostać tajemnicą dla władz państwowych. Ta podziemna mafia podburza robotników, organizuje strajki i demonstracje, niby przeciwko fabrykantom, naprawdę zaś po to, aby doprowadzić - jak ustaliło śledztwo i akt oskarżenia - do "dezorganizacji istniejącego mechanizmu państwowego" a potem do obalenia ustroju. Szczęście, sprawna akcja organów porządku i prawa pokrzyżowała plany tych "doredców" klasy robotniczej, a proces sądowy obnażył ich prawdziwe zamiary. Tylko dlatego dzisiejsi obrońcy ładu i bezpieczeństwa publicznego składają hołd pięćci zeszłowiecznych burzycieli, anarchistów, wyrostków, z których prawie żaden w chwili zatrzymania nie przekroczył 30 roku życia? Czy dlatego, że już dawno martwi? Gdyby Waryński ożył, czekałby przecie teraz na sąd wojskowy - w Mokotowie, bo Pawilon zamieniony na muzeum.

Co się tyczy gospodarki, to może już rychło skończy się ta rozchełstana wolność, bo właśnie zbiera się sejm, żeby uchwalić rządowy program antyinflacyjny - odtąd więc pewno będzie można i trzeba tylko przytakiwać. Ale póki co, ludzie piszą dużo i rozmaicie.

Jedni piszą, że jest źle, inni, że nieźle, ponieważ miało być jeszcze gorzej, a nie jest. Oficjalnie przedstawiciel Rządu mówi zaś, że jest dobrze, chociaż jest źle. Tak więc w komunikacie Biura Prasowego z posiedzeniu Rady Ministrów /18 III/, na którym dokonano oceny reformy gospodarczej po pierwszym roku jej wdrażania, czytamy: "Trzeba też było utrzymać, w b r e w p o d s t a w w e m u z a ł o ż e n i u r e f o r m y, rygorystyczne rozdzielnictwo surowców i materiałów oraz reglamentację...", a w następnym zarządzeniu, że "pomimo tych trudności reforma w s w y o h p o d s t a w o w y c h z a ł o ż e n i a c h zdaje egzamin..." Podkreślenia moje, dialektyka rządowa.

Wytrawnym dialektykiem okazał się też Pełnomocnik Rządu do Spraw Reformy Gospodarczej. "Ton relacji ministra Baki na posiedzeniu rządu - czytam w "Zyciu Warszawy" - był bardziej optymistyczny aniżeli komunikat oficjalny, jaki tego dnia ukazał się w prasie. Później jednak w odpowiedzi na pytania dziennikarzy wyjaśniło się, że ten optymizm dotyczy g e n e r a l n e j o c e n y, choć jak to się mówi, diabeł ukryty jest w s z c z e g ó ł a c h, a te prezentują się w kolorach rzeczywistych, a więc ani na różowo, ani całkiem czarno. /.../ Jednak g e n e r a l n e rezultaty są obiecujące i świadczą o tym, iż jesteśmy na dobrej drodze." Co przepisawszy podkreślając co trzeba, oddechnądem z ulgą, na krótko jednak, bo zaraz okazało się, że "ó s m i e r t e l n y m zagrożeniem dla reformy - jak to ujął prof. Baka - jest nierównowaga gospodarcza, a zwłaszcza inflacja.

Ludzie sercowi powinni czytać raczej "Trybunę Ludu", w której "informacja własna" z tej samej konferencji prasowej ministra Baki brzmi znacznie przyjemniej, a tytuły, jakimi zostało zaopatrzone, wręcz radośnie: "OŻYWIENIE W ZAKŁADACH PRACY. WZROST PRODUKCJI. POMYŚLNY BILANS PIERSZEGO ROKU REFORMY GOSPODARCZEJ". I dalej: "Zahanowaliśmy regres..." /Myślę, że redaktor Bek powiedział na kolegium: Towarzysze, piszcie prawdę, ale dość już tego czarnowidztwa, przynajmniej tytuły muszą być różniejsze!/.

Tymczasem diabeł ukryty w szeregach wystawia rogi i kopyta na każdej szpalcie. Plan produkcji odzieży, bielizny i tkanin jest "poważnie zagrożony": handel zdołał zakontraktować na I półrozie 1983 ledwie połowę tego co zaplanowano. "Producenci ogłaszają bezsilność: brakuje im komponentów, dodatków, ludzi do pracy". Skup mięsa spada i "będzie maleć aż do późnej jesieni". Na pocięchę "dwa razy większy niż przed rokiem jest skup rzodkiewek".

Profesor Wiktor Boniecki w rozmowie z "Przeglądem Tygodniowym" twierdzi, że u nas z tony węgla otrzymuje się tylko 500 kg efektywnego paliwa, a do odbiorców dociera jeszcze mniej. Sześćdziesiąt procent złowionej ryby idzie na śmietnik a połowa mięsa ginie w drodze od hodowcy do klienta. Do punktu skupu - powiada profesor - "świnia przychodzi na czterech nogach, a wychodzi na dwóch". "I coż się robi w tej sytuacji? Głównie wydaje się zarządzenia". Takie to i inne diabelskie sztuczki przynosi codzienna porcja prasy.

Ci jednak - a znam takich - co zacierają ręce ze złośliwej uciechy, że czerwonym nic nie wychodzi, zachowują się, po trochu, jak pasażerowie autobusu pędzącego zygzakami po przepaściściej drodze, podśmiewający się z tego, że kierowca nie ma prawa jazdy albo zdobył je na lewo. Dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby władzy coś jednak zaczęło wychodzić.

Niestety, prognozy są wciąż mało zachęcające. Doktorzy z zawodu, z powołania i z dobrych chęci, licznie zgromadzeni przy łożu chorej bredzącej w marnie gospodarce polskiej, proponują różne i wzajem się wykluczające sposoby kuracji. Jedni, na przykład Bronisław Żagowski, którego artykuł w "Polityce" /N i e c h c e s t a ć w k o l e j c e, nr 7 z 12 II/ wywołał wiele hałasu, proponuje puścić gospodarke na pełny luz: kartki i ochronę starych konsumentów znieść, świadczenia socjalne drastycznie zredukować bez oglądania

się na "opinie publicznej", a ceny niechaj sobie rosną aż do zrównania się popytu z podażą. Kuracja ta zakłada, że z chwilą osiągnięcia takiego punktu równowagi, to jest przywrócenia funkcji rynku, inflacja zatrzyma się sama. Jest to założenie wielce wątpliwe, bo wzrost cen i płac podwyższa z kolei koszty produkcji i usług, aż inflacja krusząca przechodzi w galopującą, banknoty tracą wartość z dnia na dzień i o żadnym normalnym rynku nie ma mowy.

Inni, przeciwnie, żądają dławienia inflacji przez państwo, surowej dyscypliny wydatków, gilotyny fiskalnej tnącej wysokie zyski i "luksusową" konsumpcję, a więc spłaszczenia piramidy dochodów przy jednoczesnym zachowaniu, może nawet rozszerzeniu reglamentacji, cen chronionych i świadczeń socjalnych. Przyjęcie tej recepty obróciłoby oczywiście wniwec efekty reformy gospodarczej utrwalałoby stagnację produkcji i chroniczny niedobór towarów. Nie mówiąc o tym, że kuracji takiej nie wytrzyma budżet państwa.

Partia, rząd i sejm szamoczą się między tymi dwiema skrajnymi poradami, raz czyniąc krok w stronę NEP-u, to znów w stronę komunizmu wojennego. W chwili, gdy to piszę, nie znam jeszcze tekstu "programu antyinflacyjnego", ale wnosząc z zapowiedzi prasowych, jest to zapewne dokument elektryczny, próbujący zestroić wybrane elementy obu strategii, co chyba w obecnej sytuacji jest jedyną możliwością. Nie zawsze bowiem konsekwencja w działaniu jest rzeczą najlepszą.

Jedno jest pewne: że teraz k a ż d a polityka gospodarcza musi pociągnąć za sobą dalszy spadek stopy życiowej. Wyczerpały się bowiem oszczędności, jakie można było poczynić przez cięcia funduszu akumulacji i programu inwestycyjnego. Równowagę budżet i rynek można już odciąć tylko przez zmniejszenie funduszu spożycia - indywidualnego i zbiorowego. Politycy i dziennikarze mówią o tym otwarcie, przygotowując psychologicznie społeczeństwo do dalszych ofiar. Nie uważają się jednak obciążeni bez charakterystycznych dla naszej propagandy eufemizmów. Tak np. sekretarz KC, Manfred Gorywoda, jeden ze sterników tej rozklekotanej żąbzy, tak powiada w rozmowie z redaktorami "Polityki" /nr 12 z 19 III/: "Dla mnie bardzo niepokojące jest postępujące rozwarcie między oczekiwaniami a możliwościami ich spełnienia. Te pierwsze rosną z n a c z n i e s z y b c i e j niż realnie ocenione możliwości gospodarki" /podkr. moje/ Po czym dodaje, że "dalece niewystarczające jest zrozumienie skali załamania gospodarki i nieuchronnych tego skutków dla poziomu życia...! Wszystko byłoby w porządku, gdyby p. Gorywoda zamiast "rosnąć szybciej" powiedział "spadają wolniej". Rosną bowiem na razie tylko ceny oraz ludzka desperacja. I rośnie pytanie, które sekretarzom spędza sen z oczu: jak długo wytrzyma napinana do ostateczności struna i ile w związku z tym trzeba nowych etatów dla policji?

Podobnie komentator "Życia Warszawy", Henryk Chądziński, wyjaśnia /22 III/, że "mimo ogromnego wyczerpania, w warunkach kryzysu, na niesorwiecaliwość społeczną, trzeba zachować zdrowy rozsądek, zajmować się s e d n e m s p r a w y". Walka z inflacją - ciągnie - "wymaga przede wszystkim wyrwania się z kręgu iluzji, z ciągłego rozpatrywania skutków, a zajęcia się tym, co stanowi s e d n o s p r a w y".

O jakie "iluzje" chodzi, domyślamy się: iluzją, której należy się poznać, jest niewygasła jeszcze do końca wiara ludzi w to, że Przewodzący Ustrój zapewni im godzive życie - w sto lat po śmierci Proroka. Ale gdzie tkwi owo "secre sprawy? Czy, jak chce Chądziński, w takiej zmianie systemu płac i wynagrodzeń, aby zaczęły one wreszcie pobudzać produkcję - o czym mówi się bez przerwy ponad trzydzieści lat? Czy w tej świni, która zgubiła dwie nogi? Czy może całym, ale to całkiem gdzie indziej?

Odpowiedzi na powyższe pytanie prosimy kierować do /---/
/Dekret z dn. 12 XII 1961, O stanie wojennym, rozdz. II, art. 17, pkt. 4
/Dz.U. nr 29, poz. 154//.

KRONIKA

/wrzesień-grudzień 1982/

LITERACKA NAGRODA NOBELA dla Gabriela Garcii Marqueza nie była zaskoczeniem, co nie znaczy, że nie wywołała tzw. mieszanych uczuć. Bo - mógłby ktoś zapytać - czy w czasach, gdy dramatycznie narastają totalitarne zagrożenia, godzi się przyznawać najważniejszą nagrodę literacką powiernikowi Fidela Castro, podczas gdy jeden z kandydatów do nagrody pokojowej był więziony przez polskiego odpowiednika tego ostatniego? Wątpliwość ta rzecz jasna, jest przejawem skrajnej instrumentalizacji kultury, sprowadzeniem jej do roli narzędzia w rękach potężnych sił zmagających się w manichejskim świecie polityki. Ale z drugiej strony, ignorowanie politycznych uwarunkowań w imię "niezależności" sądu oznaczać może zamknięcie oczu na jej nieuchronne konsekwencje. Te zaś w odniesieniu do Nobla dla Garcii Marqueza widoczne są choćby w machinacjach naszej propagandy, eksponującej przy tej okazji przede wszystkim poglądy polityczne i działalność publiczną kolumbijskiego pisarza. W końcu jednak nagroda jest formą uznania dla literatury i przede wszystkim jej miarą powinna być oceniana. Choć prawdą jest, że jeden z "wysokich" wymogów etosu pisarza stanowi jedność dzieła i życia, to przecież gdyby trzymać się ściśle tego kryterium, należałoby odebrać Nobla Knutowi Hamsunowi i nie przyznawać go Andre Gide'owi. Tym, za co pisarz ponosi odpowiedzialność przede wszystkim, jest Słowo. Ono jest rzeczowym świadectwem i trwałym śladem obecności w świecie. Dzieło Garcii Marqueza jest zaś świadectwem wielkiej miary; wyrazem latynoskiej samoświadomości etnicznej, czerpiącej w równej mierze z nawastrwionych źródeł kulturowych i z dramatycznych doświadczeń historycznych. Jest nie tylko nostalgicznym wspomnieniem "raju utraconego" - jest zarazem interwencją w procesy modernizacji kultury, włączając ją w podstawowe sprzeczności współczesnych transmatacji historycznych. Katastrofa arkadyjskiego świata Macondo w *S t u l a t a c h s a m o t n o ś c i* jest przecież skutkiem imperialnej ekspansji obcej kultury, narzucającej nie tylko swą władzę administracyjną, lecz także swój układ wartości: ekonomicznych, politycznych, moralnych. Wir polityki wyrwa ludzi z harmonijnego współbywania i rzuca ich w obłądną grę, z której wychodzą okaleczeni, wyjąłowieni, niezdolni do nawiązania najprostszyc kontaktów. Baśniowa aura wyostrza deprawujący wymiar narkotyku władzy, prowadzącego w niezmiennym następstwie od fanatyzmu do cynizmu i zubożenia. Groteskowy obraz rewolucji wymierzony jest w fałsz stereotypu heroicznego, obnażając skłonność zwycięzców do powielania błędów zwyciężonych, do rezygnacji ze szczytnych ideałów w obliczu "opornej" materii rzeczywistości.

Fenomen władzy stanie się głównym tematem *J e s i e n i p a t r i a r c h y*, brawurowej monografii zjawiska despotyzmu: uzurpacji i degeneracji, wszechmocy i stygmatu samozagłady, wyłączenia społeczeństwa z jego praw i samowładztwa ze zdolności do panowania nad uruchomionym mechanizmem. Utwór czerpie wiele z realiów południowoamerykańskich, jest jednak na tyle bogaty i uniwersalny, że może być zwierciadłem do wielu pokrewnych wynaturzeń politycznych. Wydany w Polsce w 1980 roku, funkcjonował - na podobnej zasadzie jak *C e s a r z* Kapuścińskiego - jako "zastępcza" diagnoza rodziwej rzeczywistości politycznej. Dziś ta przypowieść o tragicomicznym generał-patriarsze jeszcze lepiej, ma nieszczęście, przylega do naszych doświadczeń. I tak piarstwo Marqueza dewaluuje jakby jego oficjalne polityczne deklaracje.

KĄŁUZYŃSKI W BOJU: W każdym numerze "Polityki" któryś z autorów musi się podjąć niewdzięcznej /lecz heroicznej/ funkcji liberała. Zazwyczaj jest to Daniel Passent, powołujący się na swoje koneksje ze światem internowanych,

bań też ośmielający się polemizować z rzecznikiem rządu Urbanem. Bohaterstwo Passenta musi od czasu do czasu zostać stonowane: równoważnikiem są najczęściej teksty Zygmunta Kałużyńskiego. W maju 1982 Kałużyński postanowił dać odpór narastającej na świecie fali antykomunizmu, przejawiającej się m.in. zapowiedzią wznowienia R o k u 1 9 8 4 -Orwella i planami nakręcenia filmu wg C i e m n o ś c i w p o ł u d n i e Koestlera. Świat współczesny - pisze Kałużyński - dzieli się na zwolenników Białego Domu i miłośników Kremia. Tertium non datur; odnosi się to również do wewnętrznych, polskich podziałów. Każdy, kto czytał R o k 1 9 8 4 Orwella wie, że jest to rozwinięta metafora totalizacji życia społecznego we współczesnym świecie. Orwell demaskuje każdy totalizm - faszystowski czy komunistyczny. Kałużyński natomiast z rozbrajająca prostotą odczytuje książkę dosłownie. Orwella a także Koestlera nazywa dezertierami z obozu komunistycznego, zarzucając temu ostatniemu; że jego akces do komunistycznej idei zrodził się z pobudek ideologicznych, bowiem, w przeciwieństwie do mas proletariackich, nie został do komunizmu "przyniany przez głód". Po takim wywodzie należy oczekiwać, że w kolejnych esejach Kałużyński opowie nam o innych przypadkach ludzi, którzy również nie zostali do komunizmu "przynieseni przez głód". Na początek tego cyklu proponujemy Aleksiego Tokstoję, Peliksa Dzierżyńskiego i Włodzimierza Uljanowa.

AFERA TEATRALNA: 18 X w Urzędzie Rady Ministrów odbyło się spotkanie ok. 100 przedstawicieli teatrów z całej Polski z wicepremierem Rakowskim. Dyskusję zdominowała sprawa "bojkotu" środków masowego przekazu przez aktorów i reżyserów. Wystąpił m.in. prof. Bohdan Korzeniewski /członek Rady Artystycznej ZASP/, przypominając, że nie bojkot jest wyrazem wewnątrzśrodowiskowego konfliktu między aktorami a telewizją, lecz konfliktu między społeczeństwem i władzą. Wydawało się, że ZASP po raz kolejny wyjdzie z pertraktacji z rządem obronną ręką, stojąc konsekwentnie na stanowisku, że sprawa występów w TV i PR dotyczy indywidualnych decyzji aktorów, związek zaś "odwiesić" bojkotu nie może, bowiem nigdy go nie proklamował. W dyskusji głos zabrał jednak K. Dejmek, wysuwając propozycję zobowiązania dyrektorów teatrów - drogi i najłatwiejszego zarządzenia - do udostępnienia Radiokomitetowi przedstawicielstwa w teatrach. Propozycja wyraźnie zainteresowała Rakowskiego. Kilka dni później wydane zostało zarządzenie wicepremiera: powołując się na "opinie środowiska aktorskiego", zobowiązał on dyrektorów teatrów do udostępniania spektakli teatralnych Teatrowi Telewizji. Nazajutrz po naradzie /19 X/ trzech członków Rady Artystycznej ZASP, której przewodniczącym był Dejmek, na znak sprzeciwu przeciwko nieuzasadnionemu wystąpieniu swego prezesa, złożyło rezygnację z dalszej pracy w Radzie - byli to: prof. Bohdan Korzeniewski, Zbigniew Raszewski oraz Wojciech Kłynarski. W tej sytuacji podał się do dymisji również Dejmek zaś okaleczona Rada rozwiązała się.

Jakie cała sprawa może mieć konsekwencje?

Z jednej strony wiadomo, że w świecie aktualnie obowiązujących przepisów prawnych nie sposób jest bez osobistej zgody aktorów na występ w studio TV zrobić nadające się do emisji przedstawienie. Obowiązując bowiem decyzja sądu Najwyższego z 1962 roku, która mówi: "Odtwórstwo jest dziełem /.../ należącym do sfery prawnej, majątkowej i osobistej artysty, który je stworzył. Z orzeczenia tego wynika, że wykorzystanie odtwórstwa w sposób inny, niż objęty zgodą wykonawcy, może być uznane za naruszenie jego dóbr osobistych i majątkowych i znaleźć ochronę na gruncie prawa cywilnego".

Zarządzenie premiera obowiązuje jedynie na drodze służbowej rząd - dyrektor. Jeśli dyrektor w myśl tego przepisu zgodzi się udostępnić przedstawienie telewizji, a zrobi to wbrew woli aktorów - możliwe będzie jedynie sfilmowanie przedstawienia w teatrze w trakcie trwania normalnego spektaklu, a potem emitowanie go na ekranach. Ale kto choć trochę zna specyfikę teatru, wie dobrze, że materiał tak nakręcony rzadko kiedy zachowuje rzeczywistą wartość.

Z drugiej strony, skutki wystąpienia K.Dejmka trudne są do przewidzenia. Dąły już efekt przynajmniej dwuznaczny - pozwoliły bowiem Rakowskiemu na podparcie swojej decyzji "prośbą środowiska aktorskiego". Rozwiązanie się Rady Artystycznej jako widomy znak podziału wśród ludzi teatru, stwarza warunki do sprytnego dokonywania następnych.

BO TYMCZASEM, 23 października, wiceprezes Rady Ministrów, Mieczysław F. Rakowski wystosował pismo następującej treści: "Warszawa, dnia 23 października 1982 r. Wzależny rozwój kultury narodowej wymaga dbałości zarówno władz kulturalnych jak i środowisk twórczych o długotrwałe istnienie dzieł sztuki. Dotyczy to tych gatunków, których żywot jest znacznie ograniczony z racji ich specyfiki, a zwłaszcza teatru. Ponadto interes kultury narodowej wymaga rozszerzenia oddziaływania przedstawienia teatralnego jako zjawiska artystycznego. Zasięg ten ograniczają różniary widowni teatralnej. Utrwalenie spektaklu na taśmie magnetycznej lub filmowej, a następnie emisja, umożliwiają niepomierne większym kręgom społeczeństwa obcowanie ze znaczącymi dziełami teatralnymi.

Niedocenianie tego zjawiska spowodowało w okresie bujnego rozwoju teatru w Polsce nieodwracalne straty. Szereg wybitnych przedstawień przestało istnieć bezpowrotnie.

Wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu oraz inicjatywie środowiska teatralnego /m.in. zgłoszonej na spotkaniu, które odbyłem z przedstawicielami tego środowiska w dniu 18 X br./ istnienie potrzeba znacznego rozszerzenia utrwalania i emisji przedstawień teatralnych.

W związku z powyższym:

1. Proszę Obywatela Wojewodę /Prezydanta Miasta/ o zalecenie teatrom udostępnienia Komitetowi do Spraw Radia i Telewizji "Polskie Radio i Telewizja" spektakli teatralnych w celu przeniesienia na nośnik materialny - z zachowaniem przepisów prawa autorskiego.
2. Komitet do Spraw Radia i Telewizji uzyskuje prawo do przeniesienia spektaklu na nośnik materialny oraz prawo do jego emisji na zasadach odpłatności na podstawie umowy z teatrem.
3. Autorowi utworu literackiego podlegającego ochronie oraz współtwórcom spektaklu przysługuje wynagrodzenie na zasadach określonych odrębnymi przepisami.

/-/ Mieczysław F. Rakowski

Otrzymują: 1. Minister Kultury i Sztuki 2. Minister Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska 3. Przewodniczący Komitetu do Spraw Radia i Telewizji "Polskie Radio i Telewizja" 4. Obywatele Wojewodowie /Prezydenci Miast/.

TŁOK NA PÓLKACH: tłok panuje na półkach, na których spoczywają filmy polskie nie przeznaczone aktualnie do pokazywania w kinach. Od momentu zakończenia II wojny światowej do sierpnia 1980 r. cenzura PRL zabroniła wyświetlenia 16 filmów fabularnych. Były to: O smy dzień tygodnia A.Forda, Ręce do góry Skolimowskiego, Zasięki A.Piotrowskiego, Przeprowadzka J.Gruzy, Pięć i pół bladego Józka H.Kłuby, Diabeł A.Zużawskiego, Meta A.Krauzego, Jak żyć M.Lozińskiego, Indeks J.Kijowskiego, Spokój K.Kieślowskiego, Palace Hotel E.Kruk, Pełnia nad głowami A.Czekalskiego, Głowy pełne gwiazd J.Kondratiuka, Laureat J.Domaradzkiego, Pięć lat z m. A.Trzosa, Historia pewnej miłości W.Wiszniewskiego. Do tej listy należałoby dodać jeszcze film Zużawskiego Na srebrnym globie oraz parę filmów wycofanych z kin po kilku dniach projekcji /m.in. Zagubione uczucia Zarzyckiego/.

Po sierpniu 1980 większość z tych filmów doczekała się swojej publicznej prezentacji. Pięć lat z m., Indeks i Jak żyć weszły do nor-

malnego repertuaru kinowego. Spokój i Meta - zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem - zostały pokazane w telewizji. Pozostałe - były wyświetlane w czasie festiwalu w Gdańsku w 1981 r., bądź podczas XIII Lubuskiego Lata Filmowego w Żagowie /również 1981/ a także w DKF-ach. Jedyne filmy Żuławskiego - nieukończony Na srebrnym globbie oraz Diabeł z woli twórcy/ nie były nigdzie pokazywane. Po ogłoszeniu stanu wojennego żaden z tych 16 filmów nie znalazł się w rozpowszechnianiu; dotyczy to również tych, które wcześniej znalazły drogę do publiczności. Za to półki z filmami zubożyły się o szereg nowych pozycji. Z grupy filmów, które były pokazywane w części konkursowej gdańskiego festiwalu, w 1981 r., do tychczas na ekrany nie weszły: Wojsna światów Szulkina, Klękoty swobodnego sumienia G.Królikiewicza, Okno Wójcika. Podzielili ich los filmy ukończone przed grudniem 1981: Przypadek Kiesłowskiego, Był ja z Falka. Nie ukazał się na ekranie żaden z filmów, których produkcję przerwano w grudniu 1981, mimo że wkrótce filmy te ukończono. Są to: Polana Gruzy, Niech cię odleci mara A.Barańskiego, Odwet Zygadły, Przesłuchanie Bugajskiego, Układ zamknięty Krauzego. Ich los podzieliły filmy wyprodukowane przez TVP: Wielki bieg Domezadzkiego, Widok z okna Kiesłowskiego, Zderzenie G.Skurskiego oraz... Kto ty jesteś R.Filipskiego. Nie trafiły w 1982 roku filmy, które były wcześniej - tj. przed 13 XII - wyświetlane krótko i nie zdałyby zaistnieć w pełni w świadomości zbiorowej: Człowiek z żelaza Wajdy, Dreszcz W.Marczewskiego, Gorączka Holland, Dziecinne pytania J.Zaorskiego, W biały dzień E.Żebrowskiego oraz Władzko Bajona.

Wyjazd części twórców za granicę, brak możliwości realizacji wcześniejszych pomysłów, wstrzymywanie reformy kinematografii, niepewność co do losu zespołów filmowych to dodatkowe czynniki, składające się na bilans spustoszeń, jakie stan wojenny wprowadził do polskiej kinematografii.

SESJE NAUKOWE są jeszcze od czasu do czasu organizowane. I tak Katedra Literatury KUL-u zorganizowała sesję pod hasłem "Wartościowanie i ocena badań literackich /Lublin, 19-21 X 82/. Wśród uczestników znaleźli się uczeni o wielkim dorobku i autorytecie. Ks. prof. Józef Tischner w referacie wyślenie o żywiole piękna mówił - na przykładach Heideggera, Nietzschego i Kierkegaarda - o relacjach piękno-dobro-prawda, o wadze wyborów aksjologicznych, jakie stoją przed twórcami. Stefan Morawski w osobistym tonie opowiedział o podróżach w labiryncie aksjologii z nym. S.Dąbrowski, J.Jarzębski, M.Gołaszewska, T.Cieślakowska, S.Sawicki szukali odpowiedzi na pytania o podstawę wartościowania dzieł literackich. Michał Głowiński ukazywał jak mechanizm wartościowania przenikają z języka potocznego na grunt publikacji naukowych, a Edward Balcerzan - na przykładzie poezji Majakowskiego z okresu wojny polsko-radzieckiej - o przymusach aksjologicznych i aksjologicznym szoku. W ostatnim dniu sesji wystąpił B.Pociej /muzyka/, K.Zwolińska /peryferie sztuki/, J.Burski /film/. Sesję zamknęło niezwykle interesujące wystąpienie W.Stróżewskiego na temat wartości estetycznych, otwierających człowieka na wartość ponadestetycznego istnienia, prawdy, moralności.

HEASKO A FIIM - pod takim hasłem odbyło się w DKF "Kwant" /17-19 XI/ trzydniowe seminarium filmowe. Czy rzeczywiście filmowe, jak wskazywałoby na to miejsce imprezy i pretekst dla seminarium, który stanowiła projekcja kilku adaptacji ekranowych prozy Hżaski? Autor ósmego dnia tygodnia nie miał do filmu szczęścia, to pewne. Z pokazanych utworów /Koncert nocny i trójki reżyserów, Pętla Hasa, Spotkanie Lernerowicza, Ósmy dzień tygodnia Forda, Baza ludzi umarłych Petelskiego oraz kilkunastominutowa etiuda Zbieg Jędrzyki/ dwa filmy /Koncert nocny i Spotkanie/ zostały do programu seminarium wtłoczone trochę na siłę, gdyż ich związek z twórczością Hżaski jest bardzo luźny, z jednego - Hżasko jeszcze w trakcie realizacji

wycofał swoje nazwisko, protestując przeciwko politycznemu wydwinięciu zmian, jakie wprowadził do jego scenariusza reżyser Petelski: paradoksalnie jednak właśnie B a z a... oglądana po dwudziestu pięciu latach stosunkowo najlepiej wytrzymała konfrontację z wrażliwością dzisiejszego widza. Dla reportera Kronik miłym zaskoczeniem był Z b i e g, szkolna etiuda sprzed dwudziestu z górą lat, film artystycznie dość ubogi, lecz bodaj jako jedyny z przedstawionych dzieł, oddający charakterystyczny dla Hłaski pejzaż miejski. Największym rozczarowaniem dla wszystkich był owiany legendą "owocu zakazanego" O s m y d z i e Ń t y g o d n i a - film, w którym reżyser dokonał prawdziwego cudu, by usunąć wszystko to, co stanowiło o sile artystycznej opowiadania, w efekcie czego powstała pretensjonalna, pseudo hollywoodzka chała. W tej sytuacji największą atrakcją seminarium stanowiła część "niefilmowa": referaty Ryszarda Turckiego o pokoleniu '56, Leszka Kurpiewskiego o prozie Hłaski oraz Krzysztofa Mętraka o związkach Hłaski z filmem, kroniki filmowe z "epoki" oraz prowadzona przez Piotra Bratkowskiego kończąca dyskusja, w której wzięli udział m.in. autorzy w/m referatów, matka pisarza a także Stefan Bratkowski, Andrzej Werner, Elżysz Lasota, Agnieszka Osiecka, Jan Himilbach, Andrzej Roman i Roman Śliwnik. Ten dobór dyskutantów oddaje najlepiej pewną dwoistość, która cechowała całą imprezę: z jednej strony próby analiz socjologicznych, z drugiej - anegdotyczne opowieści Himilbacha i Osieckiej. Główny bohater seminarium, Marek Hłasko, momentami był w tej powodzi grandilo kwencji mało widoczny.

SESJA MIŁOSZOWSKA została zorganizowana przez IBL PAN w dniach 16-17 X. Pomysłana była jako rozwinięcie i dopełnienie pierwszej konferencji, przygotowanej pośpiesznie w kilka tygodni po przyznaniu pocie literackiej Nagrody Nobla.

Sesja pozostawiła pewien niedosyt. Przeważa opinia, że referentom nie udało się osiągnąć równowagi między drobniagową analizą, a próbą oglądu syntetycznego. Kilka tytułów referatów zilustruje wystarczająco tę tezę: ks. J. Frankowski - Kilka uwag na temat przekładów Czesława Miłosza z Pisma św., J. Błoński Próba uchwycenia konwencji stylizacyjnych na przykładzie «Pan da siłę swojemu ludowi», M. Głowiński «Przedmieście» Czesława Miłosza. Próba interpretacji, St. Balbus - Retoryka wersyfikacji. Najciekawiej chyba mówił człowiek "spoza branży", historyk Marcin Król, który poświęcił referat kategorii polskości w twórczości Miłosza oraz Zygmunt Kubiak, który przy okazji niezwykle kompetentnej analizy przekładów greckich Miłosza, mówił m.in. o wpływie "narodowego samopoczucia" na losy języka, degenerację współczesnej polszczyzny wiążąc z poczuciem "dziejowej beznadzieiności". Na uwagę zasługiwał też oryginalny referat Z. Łapińskiego pod tytułem S p o t k a n i a a u t o r s k i e.

MAŁO ORIGINALNA, OPRAWĘ miał zorganizowany w Warszawie już po raz ósmy Tydzień Kultury Chrześcijańskiej /20-30 XI 82/. Imprez rozparcelowanych po różnych parafiach było rzeczywiście sporo /wystawy, seanse teatralne, projekcje filmów, wieczory poezji, koncerty chórow i zespołów młodzieżowych/ lecz brakowało skoordynowania całości /wieczne wieczory poezji Miłosza, w doskonałej obsadzie aktorskiej: Zapasiewicz, Zachwatowicz, Opania, Kolberger, Rayzacher, ale czy na Miłoszu kończy się kultura?/. Być może należy przemyśleć sprawę scentralizowania imprez następnym wokół intelektualnego środka i pogłębienia intelektualnego problematyki, inaczej imprezom grozi niebezpieczeństwo schematyzmu i jałowości.

"POEZJA" 8/82 pojawiła się przed kilkoma dniami w kioskach i natychmiast znikada. Nic dziwnego, okładka zapowiadała numer o "Trubadurach" - Aznawo-urze, Brassensie, Cohenie, Lennonie, Kudźwiewie, Wysockim. Redakcja "N.Z." postanowiła pocieszyć strapiionych, którym owego rewelacyjnego numeru się dostać nie udało i zreferować największe osiągnięcia translatorsko-edytorskie redakcji pod dowództwem B. Drozdowskiego.

Na początek - fragment przekładu ballady L. Cohena "Famous Blue Raincoat?".

"Sławny niebieski płaszcz od deszczu". "Jest czwarta rano koniec grudnia /Piszę do ciebie abyś dowiedzieć się czy ci lepiej/ W Nowym Jorku zimno ale lubię to miejsce/Żyła na Clinton przez cały wieczór/.../ Jane przyszła z puklem twoich włosów /Powiedziała że dostała go od ciebie/ tej nocy kiedy zaplanowałeś zwierzenia/ Czy zrobisz to?/ Ostatnio kiedy widzieliśmy cię wyglądałeś dużo starszej/ Twój sławny niebieski płaszcz od deszczu był porwana na ramionach" itd. Istnieje niezły przekład tego tekstu piora Macieja Zembatego. Klumacz jest jednak w niełasce, czytelnicy otrzymali więc takie oto szkaradztwo, obciążone ponadto błędami merytorycznymi /"to go clear" to "zwiąć" a nie "zwierzać się"/.

W rubryce "John Lennon" znajdujemy trzy teksty: "Get Back", "All Yu!/ Need Is Love" i "Hey Jude". Prawdziwe harce zaczynają się jednak dopiero przy okazji pieśni Włodzimierza Wysockiego. Oto fragment szkicu Barbary Dohnelik: "Jeśli chcemy już koniecznie usystematyzować utwory Włodzimierza Siemionowicza, można to zrobić następująco: cykl pieśni o wojnie /.../. Przepuszczalnie, to uczucia, które wywołają, to katharsis - oczyszczenie przez wstrząs. Następny cykl to pieśni błatnyje, w których chrypieli złodziejski, sutenserski światek marginesu wielkiego miasta. /.../ Cykl pieśni sportowych - to cały wachlarz dyscyplin /jedną z nich jest nawet hodowla byków zarodowych/ - utwory drapieżne, ale nie pozbawione liryzmu i przekornego morału. /.../ Są też pieśni autobiograficzne, społeczno-obyczajowe i cykl dumek-skażek". Cytaty nie są dobrane żośliwie, nie opuszczamy żadnego punktu tej "typologii". Autorka pamiętała o bykach zarodowych, ale zapomniała o całym, może dla legendy Wysockiego najważniejszym, wątku pieśni łagrowych - pieśni - satyry politycznej. Pisze to do ludzi, którzy "Pratapi ty mnie bańku do hielowo" znają choćby z parafrazy Kaczmarzkiego. Nie jest to chyba wiadomość. Raczej świadoma manipulacja, przykrwanie Wysockiego do "błagołucznych" rożmiarów. Na tym nie koniec. W "Piosienkie pro szientimentalno baksiora" bez żenady zmieniono ostatni wers. Oryginał: "lieżał on i dumał, szto żiżn chorosza /komu chorosza a komu nie szysza". Wersy z "Poezji": "lieżał on i dumał, szto żiżn chorosza/ komu chorosza a komu nie oczeń". Szczegółowe analizy przekładów zostawiamy fachowcom z "Literatury na Świecie". Zacytujemy na koniec tylko jeden wers. Po rosyjsku brzmi on: "Łoj sosied objezdził - łes Sojuz". Adam Łoskiewicz przekłożył to jako "Śasiad mój zna świata wszystkie kąty". Niby drobiazg, a cieszy.

LISTOPADOWA "LITIERATURNAJA GAZIETA" przyniosła artykuł Victora Coppi **W i e c n a r o z s t a j a c h**, prezentujący tą pośrednią lecz wiarygodną drogą m.in. poglądy literatów zrzeszonych w nowej egzekutywie partyjnej ZLP. Cytowane fragmenty nie wymagają komentarza:

"Szkwał antysocjalistycznej działalności - pisze Coppi - zalał w ubiegłym roku mętną wodą również stowaryszczenia twórcze. Z piany na tej feli powstało m.in. nowe kierownictwo Związku Literatów. Weszli do niego przeważnie luźni i poglądach reakcyjnych. Pisarze - członkowie PZPR faktycznie utracili wyżyje, z których mogli oddziaływać na procesy literackie". Większość z nich, jak rozmówca dziennikarza radzieckiego - Jerzy Grzymiowski - znaleźli się w sytuacji najwyższego zagrożenia. Opozycja grozi im stryckiem.

"- Za co ten stryck, Jerzy? - zapytałem kontynuując rozmowę.

"- Za to, że zrobić postronkę ze mnie jest znacznie trudniej niż na mnie. I za to, że nie chcę milczeć, że nazywam rzeczy po imieniu, że jestem komunistą. Polska inteligencja komunistyczna, ci którzy zaskugują na to miano, głoszą dzisiaj otwarcie i zdecydowanie swoje credo: walczyć z kontrrewolucją, przyczynić się do umacniania i rozwoju - na socjalistycznej drodze - tego państwa, które nazywa się Polska Rzeczpospolita Ludowa. A nie do jego burzania".

"- Tak, roboty jest bardzo wiele - powiedziała mi następnego dnia inna, znany również w naszym kraju pisarz, uprawiający beletrystykę historyczną - Zbigniew Safjan. - Poza wszystkim innym musimy uczciwie, dokładnie, bez uprzedzeń i bez podtekstów pisać o historii naszego kraju. Historia jest bo-

wiem jest integralną częścią tej prawdy, o którą dzisiaj walczymy. Wrogiom socjalizmu historia Polski - starannie spreparowana, świadomie i umiemytnie zafałszowana - służyła i służy do wywoływania polsko-mocarstwowego egocentryzmu, neojonalizmu - przedstawianego jako święty patriotyzm. Wykorzystuje się to do niweczenia poczucia internacjonalizmu, z którego zawsze słynęli i którym zawsze szczylicili się Polacy. Stawia się na przykład znak równości między stosunkami polsko-rosyjskimi za czasów carów i stosunkami polsko-rodzieckimi po drugiej wojnie światowej. Marne to fałszerstwo? Na pewno tak. A przecież nierządki osiąga swój cel. Ludzie, którzy przyswajają sobie taką historię...

- ... idą mówiąc nikczemności na pomnikach radzieckich żołnierzy - dokończyłem zdanie za Saffjana /.../

"...W Krakowie działa klub pracowników twórczych i działaczy kultury - «Kuznica». Jak mi mówiono, klub zreszta ludzi postępowych, mających lewicowe przekonania i jest jak gdyby przeciwagą dla dyktatury katolickiego kleru, dla którego Kraków jest polskim Watykanem. «Kuznica» ma własny miesięcznik społeczno kulturalny «Zdania». /.../

Rozmawiałem z jednym z członków kolegium redakcyjnego «Zdania». Marian Stępień jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, znanym filologiem. W 1980 r. kategorycznie odmówił wstąpienia do «Solidarności». Był publicznie znieważany zarówno przez kolegów, jak i przez studentów. Jednak wytrwał i wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego wystąpił w TV, popierając Radę Ocalańia Narodowego, która położyła wreszcie kres anarchii.

- Wielu spośród nas utraciło ostatnio rozsądek - powiedział profesor. Ale rozsądnie myślący ludzie zdają sobie sprawę z potrzeby i konieczności sojuszu Polski z naszym krajem. Rozumieją to. Jest sprawą bardzo ważną, abyście Wy nas właściwie zrozumieli. /.../

Już po tej rozmowie czytałem w «Zdaniu» refleksje mojego rozmówcy na temat wyników zorganizowanej przez KC PZPR konferencji poświęconej walce ideologicznej. Artykuł był jasny, rozsądny i konstruktywny. Chociaż nawet profesorowi w innych wystąpieniach nie udało się uniknąć np. pomieszenia marksizmu z katolickimi dogmatami.

W tym samym zeszycie «Kuznicy» w rubryce «cudzym zdaniem» znalazłem cytata z... Karola Marksa. A obok niego - rzeczywiście cudze zdanie - Leszka Kołakowskiego, jednego z «zagranicznych klientów» KSS KOR, zajadłego antymarksisty, który już dawno z Polski uciekł i swe reakcyjne poglądy głosi w Anglii i Stanach Zjednoczonych. /.../ A obok - przedstawione jako sensacja i zapowiedziane jako «dokumentalne» - opowiadanie dotyczące wydarzeń z lat pięćdziesiątych. Cały sens, a ściślej zamyśł opowiadania sprowadza się do tego, by zasugerować czytelnikowi, że sojusz z ZSRR już wtedy mądrym i wpływowym Polakom wydawał się czymś negatywnym. «Dokument» podpisał Maciej Szumowski, ten sam, który jako redaktor naczelny «Gazety Krakowskiej» w latach 1980-81 udostępnił tamy dziennika dla jawnie antysocjalistycznych i antyrodzieckich publikacji".

"Sekretarz do spraw ideologicznych warszawskiego wojewódzkiego komitetu PZPR Jerzy Mazurek poddał analizie niezwykle skomplikowaną sytuację panującą w stowarzyszeniach twórczych. Podawał mi cyfry, mówiąc otwarcie - zasmucająco. Na przykład organizacje partyjne pracowników teatru i filmu zmniejszyły się o dwie trzecie. Niektórzy wyjechali na Zachód. Inni, oczekując, aż wybije ich godzina, uszkuźnie i zarliwie łowią każde słowo Andrzeja Ważydy, przebywającego w Paryżu i dyktującego linię obstrukcji, bojkotu twórczości socjalistycznej. Ale stan szoku, w którym niedopuszczalnie długo trwali także i oddani socjalistycznym ideom inteligencji powołtuku ustępuje na rzecz twórczej aktywności.

Jerzy Mazurek ma rację. Konfrontacja postaw komunistycznych i antykomunistycznych trwa. Profesor Andrzej Grzegorzczak ma etat i otrzymuje profesorską pensję na wydziale logiki Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Aka-

dyrektorów Biblioteki Narodowej. Prof. Lorentz przewidywał odejście ze swego stanowiska z początku 1983 r. W dniu 23 XI w swym własnym gabinecie odebrał z rąk Ministra Kultury i Sztuki urzędowe przyjęcie wniosku o dymisję, a także - niespodziewanie dla siebie, jak i dla wszystkich pracowników Muzeum - wywołanie pracy z trzydniowym terminem wykonania. Tego samego dnia w Dziale Kadr MKiS dwóm wicedyrektorom MNW - dr Andrzejowi Rottemundowi oraz dr Jerzemu Baranowskiemu wręczono podobne wywołania z tym samym terminem wykonania, mimo że żaden z nich nie ubiegał się o dymisję. 26 XI nowo-mianowany Dyrektor Muzeum, mgr Andrzej Michałowaki oświadczył pracownikom, że do przyjęcia tego urzędu został zmuszony, informując ich jednocześnie, że od tej pory MNW kierowane będzie przez Radę, w skład której wchodzi poza nią wiceminister Kultury i Sztuki oraz komisarz wojskowy. Zapowiedziano reorganizację wśród kadr kierowniczych Muzeum.

W RAMACH "KOMPLEKSU DZIAŁAŃ" zmierzających - jak głosi komunikat PAP - do zapewnienia warunków niezbędnych do urzeczywistnienia programu polityki kulturalnej rządu, dla wzmożenia mecenatu państwa, wzmożenia kulturalnej roli stolicy i wyraźnego podziału zadań, a także uwzględniając propozycje środowisk twórczych", podjęto dwie decyzje: o zastąpieniu dyrektora Teatru Narodowego Adama Hanuszkiewicza - Jerzym Krasowakiem oraz o przekazaniu siedziby Teatru Dramatycznego na rzecz cudownego dziecka ministra Żyglulskiego: Teatru Rzeczypospolitej. Trudno sądzić na ile istotnie służyć one będą "nowej polityce kulturalnej" bo charakteru można się jedynie domyślać. Niezależnie od moralnego i politycznego aspektu sprawy, rodzą się wątpliwości podstawowe. Czym np. umotywowany jest ów rzadki pośpiech, każący zmienić dyrektora wielkiej sceny w połowie sezonu, co nigdy nie wychodzi na dobre ani zespołom ani publiczności. I drugie: co mianowicie prezentować będzie Teatr Rzeczypospolitej przez trzysta kilkadziesiąt wieczorów, skoro wiadomo, że w najlepszych swych okresach wszystkie sceny terenowe nie są w stanie przygotować łącznie nawet 30 przedstawień wartych prezentacji poza rodzimą sceną; skąd weźmie się publiczność skłonna zapłacić za transport dekoracji, przejazdy aktorów i zespołów technicznych, hotele, diety etc. Zaś likwidacja Teatru Dramatycznego nie wydaje się dobrą gwarancją "wzmożenia kulturalnej roli stolicy".

OSTATNIE DWA MIESIĄCE pokazały, że władze, wbrew deklaracjom, wcale nie dążą do dogadania się ze środowiskami twórczymi, lecz do narzucenia im swej woli metodami administracyjnymi, odsuwając ludzi niemyślących, i usiłując doprowadzić do rozbitcia środowisk. Brastycznym przykładem takiej metody było rozwiązanie ZASP 27 listopada; po okresie zaciekłych napaści na środowisko aktorskie, prymas Józef Glemp wygłosił na zakończenie Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej - kazanie m.in. wywołujące aktorów do przzerwania bojkotu: wyrażając nadzieję, że w czasie świąt Bożego Narodzenia wszyscy razem spotkają się przed telewizorami. Wezwanie Prymasa, które w założeniach miało być sposobem na godne zakończenie bojkotu, zawierało jednak wiele sformułowań, które zostały przyjęte z zdziwieniem przez część środowiska. Tym niemniej głos prymasa Glempego prawdopodobnie doprowadziłby do zaniechania bojkotu przez ZASP. Okazało się jednak, że władzom wcale na takim rozwiązaniu nie zależy: nazajutrz po kazaniu Prymasa, bez czekania na jego ewentualne konsekwencje, ZASP został - "decyzją prezydenta m.st. Warszawy" - rozwiązany. Rzeczywistą intencją władz było bowiem, jak się wydaje, nie - doprowadzenie do przzerwania bojkotu z inicjatywą środowiska, lecz demonstracja siły: wymuszenie takiej decyzji represjami.

ODWOŁANO Z FUNKCJI dyrektora Teatru Narodowego Adama Hanuszkiewicza. Jego funkcję objął Jerzy Krasowaki. W ostatnim dniu dyrekcji Hanuszkiewicza odbyła się ostatnia przezeń reżyserowana w Narodowym premiera: S p i e w n i k d o m o w y. Zakończyła się wielką owacją na rzecz odchodzącego dyrektora.

Posypały się rezygnacje aktorów z pracy w Narodowym na znak solidarności z Hanuszkiewiczem, przerwane dopiero apelem teatralnej komórki ZASP o nierozbijanie zespołu w celu skutecznego przeciwstawienia się ewentualnym represjom ze strony nowej dyrekcji. Czyż mógł o czymś takim marzyć Hanuszkiewicz, kiedy w 1968 roku, w atmosferze infamii obejmował dyrekcją Narodowego, zwolnioną przez wyrzuconego po D z i a d a c h z hukiem Dejmka /obecnie - Narodowa Rada Kultury/?

TEATR WIELKI I TEATR NARODOWY, a także nowoutworzony Teatr Rzeczypospolitej przekazano pod bezpośredni zarząd Ministra Kultury i Sztuki. Warto przypomnieć, że powrócono w ten sposób do modelu organizacyjnego, obowiązującego w życiu teatralnym czasów stalinowskich.

19 GRUDNIA funkcjonariusze SB "zdemaskowali" drukarnię niezależnego wydawnictwa, znajdującą się w Popowie, w letnim domku Mariusza Dmochowskiego. Dmochowski ani jego żony nie aresztowano, prawdopodobnie z braku dowodów na to, że drukarnia w Popowie działała za ich wiedzą. Nie przeszkodziło to telewizji i prasie w rozpoczęciu kolejnej aberracyjnej kampanii przeciwko Dmochowskiemu i środowisku teatralnemu. Intencją tej prawdziwie zenującej kampanii, w której celuje zresztą dziennikarz Jerzy Urban, jest prawdopodobnie nieudolna próba społecznej popularyzacji tezy, iż "bunt" środowiska teatralnego wynika z faktu, iż jego najwybitniejsi przedstawiciele utracili obecnie przywileje, jakie posiadali za czasów Gierka.

Z DNIEM 1 stycznia 1983 "byłe władze byłego ZASP-u" postanowiły zawiesić aktorski bojkot środków masowego przekazu. Bojkot może być wznowiony w razie niezaprzestania represjonowania aktorów. Twórcy teatralni powinni nadal odmawiać udziału w programach i widowiskach, które w sposób jawny godzić będą w dobre imię instytucji i wartości ułożonych z Sierpniem, odmawiać współpracy z ludźmi skompromitowanymi politycznie.

24 STYCZNIA odbyło się pierwsze posiedzenie Narodowej Rady Kultury, powołanej przez prezesa Rady Ministrów jako organ doradczy rządu. Przewodniczącym mianowano - już wcześniej prof. Bogdana Suchodolskiego, autora łaskawych dla ery gierkowskiej D z i e j ó w k u l t u r y p o l s k i e j. Wiceprzewodniczącym wybrano Wiesława Wyślińskiego i Emilię Krakowską, a sekretarzem generalnym dymisjonowanego prezesa SZSP - Tadeusza Salca. Poza przedstawicielami władz państwowych i partyjnych /Rakowski, Żygulski, Kubiak, Feron, Swirgon, Kukuryka/ do Rady weszła członkowie organizacji i stronnictw oraz regionalnych stowarzyszeń. Pośród olbrzymiej ilości nazwisk prawie anonimowych wyróżniają się ludzie bardziej znani, którzy już u początku stanu wojennego ogłosili swą dyspozycyjność wobec władz jak: Jerzy Adamski, Ignacy Gogolewski, Wanda Jakubowska, Michał Krajewski, Klemens Krzyżagórzki, Andrzej Iam, Józef Lenart, Czesław Petelski, Zbigniew Safjan, Artur Sandauer, Włodzimierz Sokorski, Szymon Szurmiej. Ale - last but not least - w Radzie znalazła się grupa twórców cieszących się autorytetem artystycznym i moralnym. Kazimierz Dejnek, Aleksander Gieysztor, Władysław Hasior, Jerzy Lisowski, Janusz Odrowąż-Pieniążek /są to w większości ludzie na stanowiskach kierowniczych/. Wreszcie przedstawiciele władz związkowych i stowarzyszeń twórczych poza ZLP i SFP. Co z tego wszystkiego wyniknie nie wiadomo, wydaje się jednak, że Rada jest i pozostanie teatrem typowo fasadowym.

JAK DOTYCHCZAS najbardziej spektakularną formą działalności powołanego 27 I Teatru Rzeczypospolitej było niezawieszane odwołanie dorocznego Warszawskich Spotkań Teatralnych, które miały się odbyć w dniach 22-30 I w Teatrze Dramatycznym.

W STYCZNIU miały miejsce rewizje w imieniu pisarzy, publikujących w wyda-

nictwach podziemnych pod swoimi nazwiskami. Z otrzymanych informacji wynika, że UB przeprowadziła rewizję, a także poddała przesłuchaniu Marka Nowakowskiego, Piotra Wierzbickiego, Wiktora Woroszyńskiego, Aleksandra Ortosa i Jerzego Ficowskiego.

TUŻ PRZED NOWYM ROKIEM odbyło się w Jadwisinie pod Warszawą szkolenie redaktorów naczelnych prasy centralnej. Wykładowcami byli m.in. Barcikowski, Nakowski, Milewski, Kiszczak i Głowczyk. Wiele miejsca poświęcono realizacji polityki kulturalnej państwa w propagandzie. Ludzie, którzy piszą w imieniu RSW, nie mogą - jak stwierdzono - udawać, że się gniewają na państwo. Sugerowano przywrócenie "zapisów" personalnych, dotyczących twórców, występujących przeciwko władzom wojskowym. Zamiast reklamowania osiągnięć twórców, którzy "obrazili się na władzę", wychować należy nową elitę intelektualno-artystyczną. Tezy te zgodne są z wypowiedzianymi w tym czasie na łamach prasy sugestiami Jerzego Urbana, rzecznika rządu.

.....

cena: 200zł



WYDAWNICTWO
KRAG
WARSZAWA
1983